

ZBIÓR TEKSTÓW Z 2023 ROKU  
OPUBLIKOWANYCH NA  
"PRZEWODNIKPONRD.BLOG" ORAZ  
FANPAGE'U "JA VOLIM FUTBAL  
TRAVELING&GROUNDHOPPING"

# ZA KULISAMI FUTBOLU W BYŁEJ NRD

*Mateusz Kasprzyk*





WSTĘP

# Czym jest “Za kulisami futbolu w byłej NRD”?

Cześć!

Kończący się właśnie 2023 rok był bez wątpienia najbardziej twórczym okresem w historii mojej szeroko pojętej działalności groundhopperskiej – ze szczególnym naciskiem oczywiście na tereny byłej NRD, którym poświęcam na swoich łamach zdecydowanie najwięcej miejsca.

Duża liczba napisanych tekstów, coraz więcej sugestii ze strony czytelników, że można byłoby to jakoś uporządkować oraz świadomość, że takie miejsca w internecie jak strona na Facebooku niekoniecznie są nam dane na zawsze i w każdej chwili – z różnych powodów – mogą bezpowrotnie wylecieć w kosmos, skłoniły mnie do zmontowania ebooka, który właśnie oddaje w Wasze ręce.

Nie jest to kolejna część “Piłkarskiego przewodnika po byłej NRD”, choć możecie tę publikację potraktować jako coś w rodzaju – mam nadzieję wartościowego – suplementu. Prawdziwą bombę szykuje dopiero na 2024 r., a to tylko projekt, który traktuję jako pożyteczną rozgrzewkę.

W tym ebooku zebrałem wszystkie najciekawsze teksty o futbolu w byłej NRD, jakie w kończącym się roku napisałem na blogu “[www.przewodnikponrd.blog](http://www.przewodnikponrd.blog)” oraz przede wszystkim na fanpage’u na Facebooku “Ja Volim Fudbal – Traveling&Groundhopping”.



Z racji tego, że w tej publikacji nie ma niczego nowego (choć na pewno wiele osób znajdzie teksty, które gdzieś po drodze im uciekły), to ebooka oddaje w Wasze ręce całkowicie za darmo i jedynie w formie elektronicznej.

Mam nadzieję, że “Za kulisami futbolu w byłej NRD...” okaże się ciekawą alternatywą dla Netflix’a na długie zimowe wieczory.

Dzięki, że jesteście i to wszystko czytacie! Do zobaczenia w 2024!

*Mateusz Kasprzyk*



## SPIS TREŚCI

|                                                                                                                                           |            |
|-------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|------------|
| - Miedzany odcień futbolu w Finow                                                                                                         | <b>3</b>   |
| - Futbol w miejscu, gdzie przez pół wieku kręcono serial dokumentalny                                                                     | <b>6</b>   |
| - BFC Dynamo - 1. FC Lokomotive Lipsk                                                                                                     | <b>9</b>   |
| - 1. FC Frankfurt - Dynamo Schwerin. Miasto, którego nie ma na mapach. Kibice, którzy nie zaakceptowali, że 30 lat temu zmienił się świat | <b>17</b>  |
| - Futbolowy Stralsund                                                                                                                     | <b>29</b>  |
| - Kraj, w którym narodziła się Liga Mistrzów                                                                                              | <b>35</b>  |
| - SV Babelsberg 03 - St. Pauli z byłej NRD                                                                                                | <b>38</b>  |
| - Czy polska Husaria ze Schwedt podbije Kreisklasse?                                                                                      | <b>50</b>  |
| - Erzgebirge Aue. Klub kumpli z miasta, gdzie ludzie żyli krótko, ale dostatnie                                                           | <b>53</b>  |
| - Polski odcień regionalnego Pucharu Niemiec                                                                                              | <b>67</b>  |
| - Stahl Riesa                                                                                                                             | <b>71</b>  |
| - Wjazd z bramą po berlińsku                                                                                                              | <b>74</b>  |
| - 1. FC Lokomotive Lipsk. 120 tys. kibiców, Maradona i rekord świata w 11. Lidze                                                          | <b>80</b>  |
| - Bazar otoczony zabytkami z listy UNESCO                                                                                                 | <b>94</b>  |
| - Hokejowy cud na łużyckiej prowincji                                                                                                     | <b>98</b>  |
| - Tutaj strzelał Roman Kosecki                                                                                                            | <b>104</b> |
| - Jedyne piłkarz z Afryki w historii NRD                                                                                                  | <b>107</b> |
| - Miasto Czterech Bram                                                                                                                    | <b>110</b> |
| - RB Lipsk - Crvena zvezda Belgrad                                                                                                        | <b>115</b> |
| - Czy 70 km od polskiej granicy będzie wielka piłka?                                                                                      | <b>121</b> |
| - Zasieki                                                                                                                                 | <b>124</b> |

# Miedziany odcień futbolu w Finow



Finow od 1970 r. jest dzielnicą miasta Eberswalde, które do 1993 r. nosiło nawet nazwę Eberswalde-Finow. Wokół znajduje się jeszcze kilka innych miejscowości, co powoduje, że cała dolina przypomina coś w rodzaju małej konurbacji. Przez wieki ten obszar był zagłębiem przemysłowym, które wyrosło przy najstarszej sztucznej drodze wodnej w Niemczech, czyli kanale Finow wybudowanym już w 1605 roku! Jego znacznie spadło dopiero w 1914 r., kiedy nieco bardziej na północ przekopano nowoczesny kanał Odra-Hawela.

luty

Samo Finow powstało wokół mającej wielowiekową historię huty mosiądzu, która odcisnęła wyjątkowo robotnicze piętno na krajobrazie tej miejscowości. Nad Finow góruje wybudowana w 1918 r. wieża ciśnień. Ma prawie 50 metrów, a z jej szczytu przy dobrej widoczności można dotrzeć słynną wieżę telewizyjną w centrum Berlina. Obiekt w Finow swoją pierwotną funkcję przestał pełnić w latach 60-tych i dzisiaj jest po prostu zabytkiem wraz z małym muzeum oraz tarasem widokowym.

Wokół huty wyrosło robotnicze osiedle mieszkaniowe, które na dobre rozbudowało się w latach 30-tych, ale pierwsze chałupa stała tutaj już w XVIII w. Jego symbolem są tzw. domy miedziane postawione z prefabrykatów w postaci blachy miedzianej. Takie konstrukcje miały stać się hitem sprzedaży, ale na dobrą sprawę nigdy nie wyszły poza fazę prototypu (łącznie w Niemczech powstało ich ok. 40).



Dlaczego? W drugiej połowie lat 30-tych zaczęto przygotowania do wojny i miedź była potrzebna do „obsługi” przemysłu zbrojeniowego. Za osiedlem domków miedzianych znajduje się natomiast hutnicze osiedle, które może nieco przypominać katowicki Giszowiec, choć na zdecydowanie mniejszą skalę.

Pod samą wieżą znajduje się też boisko piłkarskie „Sportplatz am Wasserturm”. Gospodarzem obiektu jest Stahl Finow. To jeden z najbardziej zasłużonych klubów w tej części Brandenburgii (północno-wschodniej).



Stahl została założona już w 1946 r. i zaledwie cztery lata później odniosła pierwszy sukces – 1/8 finału Pucharu NRD. Czasy największego prosperity przyszedł w latach 70-tych, kiedy Stahl spędziła trzy sezony w DDR-Lidze (1974–1977), czyli na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej, a potem dorzuciła jeszcze jeden (1981/1982).

Dawna huta miedzi zmieniła się w wielką walcownię, która wyprodukowała np. 50 milionów podków. Robiono też tutaj uchwyty do skrzynek na piwo.

W latach 70-tych, gdy Stahl grała na zapleczu elity, to regularnie rywalizowała w lidze m. in. z Unionem Berlin.



Były momenty, że zespół z Finow był w regionie wyżej notowany od lokalnego rywala z większym potencjałem, czyli Motoru Eberswalde. W swoim okręgu radził sobie też z silniejszymi drużynami ze Schwedt czy Frankfurtu nad Odrą.

Nazwa Stahl wzięła się oczywiście od przemysłu metalurgicznego, który w czasach NRD też na pełnych obrotach funkcjonował w Dolinie Finow.

Frekwencja na meczach Stahl z Unionem na stadionie pod więżą ciśnien często dobijała nawet do 3 tys. widzów. Union choć za czasów NRD sportowo był w cieniu BFC Dynamo, to cieszył się popularnością jako klub antysystemowy.

Najsłynniejszym wychowankiem Stahl jest Mike Rietpietsch, który po zjednoczeniu Niemiec grał m. in. w Bayerze Leverkusen, Bochum czy Freiburg.

Dzisiaj Stahl gra tylko w 9. Lidze i choć w lokalnych mediach nadal określana jest mianem „Traditionsverein”, czyli zasłużonego klubu z tradycją, to po dobrych czasach zostały już tylko wspomnienia.

W sezonie 2017/2018 Stahl – z wiadomych względów (kadrowych, finansowych) – musiała połączyć się z drużyną z sąsiedniego Lichterfelde, żeby zabezpieczyć sobie w miarę spokojną przyszłość w kwestiach kadrowych.

Od tego momentu zespół występuje pod nazwą SpG Finow/Lichterfelde i większość meczów rozgrywa właśnie w Lichterfelde.

Jedną z nielicznych okazji, żeby zobaczyć piłkarzy z Finow w akcji na starym stadionie był styczniowy sparing z Rot-Weiss Prenzlau. I chyba nie tylko ja stwierdziłem, że to wyjątkowe wydarzenie, bo frekwencja na zwykłym meczu kontrolnym była wyższa niż na spotkaniach ligowych w Lichterfelde, a wokół stadionu co chwilę zatrzymywały się samochody.



# Futbol w miejscu, gdzie przez pół wieku kręcono serial

Oderbruch, czyli po polsku Kotlina Freienwaldzka to jeden z najbardziej malowniczych, ale i tajemniczych oraz wyludnionych obszarów byłej NRD. To wąski pas o długości 60 km rozciągający się wzdłuż Odry i jej wszelkich rozlewisk. Z polskiej perspektywy zaczyna się gdzieś na wysokości Cedyni a kończy kawałek za Kostrzynem.

Rozlewająca się wiosną po polderach rzeka oraz pobliskie wzgórza wokół miejscowości Seelow w kwietniu 1945 r. były ostatnią naturalną przeszkodą przed Berlinem, którą forsowało blisko milion żołnierzy Armii Czerwonej oraz prawie 80 tys. z podporządkowanej jej operacyjnie 1. Armii Wojska Polskiego, która Odrę przekraczała właśnie w okolicach Cedyni.

W efekcie prawie każda miejscowość w regionie Oderbruch została zmasakrowana, a Niemcy jeszcze przed głównym atakiem wysadzili większość wież kościelnych, żeby utrudnić przeciwnikowi orientację w płaskim terenie.

Jedną z ciekawszych miejscówek w okolicy jest liczące zaledwie nieco ponad 800 mieszkańców Golzow, które w swojej pełnej nazwie ma specjalny dopisek „Ort der Kinder von Golzow”, czyli „Miejscowość dzieci z Golzow”.

luty





W latach 1961–2007 we wsi kręcono serial dokumentalny pod tytułem „Dzieci z Golzow”. Na początku lat 60-tych duet reżyserów wybrał 18 osób urodzonych w latach 1953–1955 z miejscowej szkoły i potem towarzyszył im przez całe życie. To najdłuższy format tego typu w historii kina. Łącznie nakręcono 20 odcinków.

„Ich brauch’ keinen Westen”, czyli „Nie potrzebuję Zachodu” – rzucił ze łzami w oczach jeden z bohaterów w odcinku nakręconym na początku lat 90-tych.

Dzisiaj w miejscowości znajduje się muzeum poświęcone tej wieloletniej produkcji.



8. odcinek sagi pod tytułem „Biografie” w 1985 r. trafił do książki rekordów Guinnessa jako najdłużej kręcony film w dziejach.

Serial cieszył się dużą popularnością nie tylko ze względu na losy poszczególnych bohaterów. Pokazywał również realia życia na nrdowskiej prowincji (Golzow było polskim odpowiednikiem PGR-u), a w latach 90-tych trudną rzeczywistość po zjednoczeniu Niemiec.

W serialu czasami przewija się motyw miejscowego klubu sportowego, czyli założonego w 1948 r. Golzowera SV, który aktualnie posiada trzy sekcje: piłkarską, darta i bardzo popularnego w byłej NRD tenisa stołowego.

Dwa sezony temu Golzower SV zakończył zmagania w 11. Lidze na ostatnim miejscu. Na szczęście to liga, z której niżej spaść się już nie da.

Mimo wszystko podjęto decyzję, że należy coś zmienić, dlatego doszło do fuzji z klubem z sąsiedniej miejscowości – SV Gorgast/Manschnow, który w tym samym czasie zleciał z 10. ligi ze 105 straconymi bramkami na koncie. To tłumaczy, dlaczego w ogłoszeniu dla zainteresowanych grą w tej drużynie głównym kryterium było zdanie „jeśli umiesz wypić kilka piw”.

Aktualnie zespół występuje pod nazwą SpG Gorgast/Manschnow/Golzow i fuzję może uznać za udaną, bo stał się ligowym średniakiem oraz jednocześnie klubem, który reprezentuje aż trzy miejscowości.

Żeby było sprawiedliwie, to co sezon następuje rotacja obiektu, na którym rozgrywa się mecze domowe. W trwających rozgrywkach jest to boisko w Golzow.



|                                  |        |
|----------------------------------|--------|
| Berliner Pilsener 0,4l           | 2,00 € |
| Radler, Potsdamer, Diesel 0,4l   | 2,00 € |
| Rote Fassbrause 0,3l             | 1,50 € |
| Fanta, Cola, Sprite, Seiter 0,3l | 1,50 € |
| Kaffee                           | 1,50 € |
| Tee                              | 1,00 € |
| Kümmerling                       | 1,25 € |
| Sahnelikör                       | 1,25 € |
| Klarer                           | 1,50 € |
| Bockwurst/ Toast                 | 2,00 € |
| Knacker/ Toast                   | 2,20 € |





Handwritten signature or initials, possibly 'LVC', in black ink.

**EAST COMPANY**  
*Berliner Fussballclub Dynamo*

**BFC Dynamo – LOK Lipsk**



**A-MC**  
BERLIN



22 marca 1986 r. 1. FC Lokomotive Lipsk na oczach ok. 13 tys. widzów gra na własnym stadionie ligowy mecz z BFC Dynamo. Wspierany przez Stasi klub ze stolicy NRD od prawie dekady dosłownie grasuje w DDR-Oberlidze i w sezonie 1985/1986 zmierza po ósmy z rzędu mistrzowski tytuł. Łącznie zdobędzie ich dziesięć. Wszystkie rok po roku.

Ale finansowani przez państwowe koleje gospodarze z Lipska to też zespół ze ścisłej ligowej czołówki. Przed pierwszym gwizdkiem ciągle liczą się w walce o mistrzowski tytuł. W meczu z BFC już w 2. minucie wychodzą na prowadzenie i utrzymują je do końca regulaminowego czasu gry. Sędzia Bernd Stumpf konsekwentnie przedłuża jednak spotkanie i w końcu dyktuje kontrowersyjny rzut karny dla gości z Berlina (wcześniej pokazuje jeszcze piłkarzowi Lokomotive drugą żółtą kartkę za przedwczesne wybiegnięcie z muru przy rzucie wolnym). Z jedenastu metrów do siatki trafia Frank Pastor i BFC wywozi remis z Lipska. Jak się później okazało bardzo cenny, ponieważ Dynamo ostatecznie sięga po mistrzowski tytuł finiszując... dwa punkty przed Lokomotive (wówczas za zwycięstwo przyznawano dwa oczka).

Sędzia Stumpf został dożywotnio zdyskwalifikowany, a sytuacja przeszła do historii jako "Schand-Elfmeter von Leipzig", czyli "Karny wstydu z Lipska". Po latach wyłynęło co prawda nagranie z innej kamery, na którym widać, że zawodnik Lokomotive Lipsk faktycznie faulował swojego rywala, ale cała sytuacja i tak pozostała symbolem protekcji, jaką sędziowie rozpościerali nad BFC Dynamo (i na którą w ostatecznym rozrachunku nikt nie miał twardych dowodów, co nie pozwala zakończyć tej dyskusji).

Dwa lata później (sezon 1987/1988) Lokomotive jest jeszcze bliżej zdetronizowania BFC Dynamo. Oba zespoły kończą sezon z taką samą liczbą punktów, ale tytuł zostaje w stolicy tylko dzięki lepszemu bilansowi bramkowemu berlińczyków. Zdesperowany zespół z Lipska w jednym z kluczowych spotkań (z Carl Zeiss Jena) w samej końcówce zdecydował się nawet przestawić swojego rosnącego bramkarza René Müllera do ataku, a między słupki na kilka minut wstawić rezerwowego golkipera. Niestety dla Lokomotive gole w tym meczu nie padły.

\*\*\*

Lokomotive to jeden z najbardziej znanych klubów byłej NRD, który szczególnie w latach 80-tych święcił wielkie sukcesy (do dwóch wicemistrzostw w tamtej dekadzie dorzucił jeszcze cztery brązowe medale i trzy Puchary NRD!).

Poza tym kapitalnie spisywał się na europejskiej arenie. W 1987 r. doszedł do finału Pucharu Zdobywców Pucharów, w którym przegrał 0:1 z Ajaxem Amsterdam po голу Marco van Bastena. Wcześniej, w półfinale, LOK wyeliminował francuskie Bordeaux. Rewanż w Lipsku (gospodarze awansowali po serii rzutów karnych) oficjalnie oglądało 73 tys. widzów, ale tak naprawdę na ówczesnego kolosa (dzisiaj to zmodernizowany dom RB Lipsk) wpuszczono... ok. 120 tys. osób.

A jeszcze przed złotą dekadą, w 1974 r., Lokomotive dotarło do półfinału Pucharu UEFA. Kibice w Lipsku przez lata, w europejskich pucharach, mogli oglądać wielkich piłkarzy. LOK rywalizował z zespołami, w których grali Eusebio, van Basten czy nawet Diego Maradona w swoim prime z Neapolu.

Lokomotive widziało i wygrało naprawdę wiele, ale nigdy nie przechytrzyło... BFC Dynamo. Klub z Lipska zajmuje czwarte miejsce w tabeli wszech czasów *DDR Oberligi* nie mając na koncie ani jednego mistrzostwa kraju w trakcie aż 36 sezonów zaliczonych w najwyższej klasie rozgrywkowej!

Chichot losu jest tym większy, że złoto w gablocie ma nawet lokalny rywal – Chemie Lipsk, który miał być tym gorszym i mniej uprzywilejowanym klubem, do którego trafiali piłkarze teoretycznie zbyt słabi na Lokomotive. Oczywiście w dłuższej perspektywie Chemie mogło tylko pomarzyć o takich sukcesach i pozycji, jaką miał LOK, ale w gablocie ma coś, co dla bogatszego przeciwnika pozostało tylko niespełnionym marzeniem.

Obsesyjne pragnienie mistrzostwa po części zostało jednak zrealizowane w 2021 r. Wtedy doszło do fuzji z VfB Lipsk, bo Lokomotive uważa się za prawowitego kontynuatora przedwojennej historii tego klubu. W związku z tym od tego sezonu piłkarze w niebiesko-żółtych koszulkach biegają po boiskach z herbem wzbogaconym o srebrną gwiazdkę, która symbolizuje trzy mistrzostwa zdobyte przez VfB w 1903, 1906 i 1913 r. Do tego oficjalna data założenia klubu to teraz 1893 r.

\*\*\*

Aktualnie obie drużyny solidarnie kopią się w czyścicu zwanym Regionalliga Nordost (4. Liga), który prawdopodobnie jest opušić jeszcze trudniej niż ten katolicki.

Mecz BFC Dynamo – LOK Lipsk to, ze względu na historię, absolutny postnrdowski klasyk, którego nie mogłem sobie odpušić.

Od mojej ostatniej wizyty na Sportforum w klubie ze wschodniego Berlina trochę się pozmieniało.

Po pierwsze sportowo. Spektakularny triumf 4:1 nad zdecydowanie wyżej notowanym rywalem z Chociebuża wyraźnie natchnął piłkarzy BFC Dynamo, którzy po słabym początku sezonu zaczęli regularnie wygrywać i zaskakująco szybko dogonili ligową czołówkę. W klubie znowu zaczęto po cichu sprawdzać papiery pod kątem wymagań związanych z ewentualną grą w 3. Lidze (BFC od upadku muru berlińskiego nigdy nie zagrało na szczęblu centralnym). Tydzień przed spotkaniem z LOK berlińscy ponieśli jednak pierwszą porażkę w 2023 r. i ulegli na wyjeździe – w innym postnrdowskim klasyku – Carl Zeiss Jena 0:2. Z Lipskiem zegrali więc o to, żeby znowu nie wylądować w środku ligowej stawki ze sporą stratą do najlepszych.

Po drugie organizacyjnie. Choć klub jeszcze wstrzymuje się z oficjalnym ogłoszeniem, to już na 100 proc. jest pewne, że od nowego sezonu BFC Dynamo wróci do swojego starego herbu z charakterystyczną literą „D”. To właśnie z nim kojarzone są największe sukcesy Die Weinroten.

Zespół ze wschodniego Berlina stracił prawa do swojego historycznego emblematu w latach 90-tych. Pograżony w pozjednoczeniowym chaosie klub w nowej rzeczywistości próbował zerwać z resortową przeszłością i zmienić nazwę na FC Berlin. Po niecałej dekadzie kibice stwierdzili jednak, że nie warto odcinać się od korzeni i szukać sztucznej tożsamości, dlatego należy wrócić do starego herbu. Okazało się, że w międzyczasie prawa do niezastrzeżonego znaku towarowego za kilka marek nabył znany kibic Herthy i handlarz pamiątkami Peter Mager.





Przepychanki trwały przeszło dekadę, a biedujące BFC Dynamo nie miało środków, żeby odkupić prawa do swojego logo. W 2009 r. zdecydowano się więc zaprojektować nowy herb, którego głównym elementem stał się berliński niedźwiedź. Kibice oczywiście go nie zaakceptowali i nadal produkowali swojego gadżety z charakterystycznym „D”.

Na początku stycznia, przy okazji 57. urodzin klubu, wschodni Berlin obiegła informacja, że klub nareszcie odzyskał prawa do historycznego logotypu. Cała operacja – wg. mediów – miała się wiązać z wydaniem pokażnej, sześciocyfrowej sumy, co pokazuje, że BFC Dynamo nareszcie złapało finansową stabilizację. Oficjalna prezentacja kultowego herbu ma się odbyć dopiero przed startem nowego sezonu, ponieważ aktualnie Die Weinroten mają stroje, umowy sponsorskie itd. jeszcze z tymczasowym emblematem i do końca trwających rozgrywek nie można tego zmienić. Poza tym klub chętnie wyczyściłby się z gadżetów z niedźwiadkiem, na które za kilka miesięcy nie będzie już żadnego popytu.

Po trzecie kibicowsko. Doping, oprawy i szeroko pojęte aspekty klimatu ultras nigdy nie były mocną stroną kibiców BFC Dynamo. Od zawsze kibicowało się tutaj bardziej w brytyjskim stylu, bo trzon trybun stanowią panowie po 40., 50., czy nawet 60. urodzinach. Emerytowani chuligani bez tzw. talentu wokalnego. Ale przez ponad dekadę na meczach aktywnie działała grupa Ultras BFC, która miała za zadanie nieco zaktywizować młodsze pokolenie – zajmując się zorganizowanym dopingiem i choreografiami. W ostatnich miesiącach – oczywiście na miarę potencjału oraz możliwości – załoga Ultras BFC były bardzo aktywna.

Jeszcze podczas styczniowego spotkania z SV Lichtenberg 47 zaprezentowała oprawę nawiązującą do odzyskania przez klub praw do historycznego herbu. Jej motywem przewodnim było hasło „Es kommt nach hause, was nach hause gehört!”, czyli „To, co należy do domu, wraca do domu!”.

Ale po meczu z Lichtenbergiem osoba, która wracała z flagami *UBFC* została napadnięta pod domem (sprawcy na razie nie są znani, jednak akcja była skrupulatnie zaplanowana) i okradziona z kilku płócien. Grupa podjęła błyskawiczną decyzję o samorozwiązaniu. To był spory cios dla szeroko pojętego ruchu kibicowskiego na BFC Dynamo. Na szczęście te najstarsze, najładniejsze i najbardziej *oldschoolowe* flagi są przeważnie w prywatnych rękach poszczególnych kibiców i nie zostały stracone.

Na razie za podtrzymanie atmosfery na trybunach zabrała się przede wszystkim najbardziej znana grupa *Fraktion H*. W ostatnim czasie powstała też bardzo ładna, duża flaga *Fanszene BFC Dynamo*, która jest wywieszana w centralnym punkcie *młynka* i mają za nią stać wszyscy ci, którzy chcą aktywnie wspierać *Die Weinroten*. Niewykluczone, że kiedyś urodzi się z tego grupa, która docelowo wypełni lukę po *UBFC*.

\*\*\*

Na najciekawsze mecze BFC Dynamo warto przyjść już mniej więcej godzinę przed pierwszym gwizdkiem, ponieważ klub – jak już kiedyś pisałem – nie prowadzi internetowej sprzedaży biletów. Wejściówki dostępne są tylko w kasach. I nie chodzi o to, że ich zabraknie, tylko można sobie oszczędzić stania w kolejce, która z każdą minutą rośnie.

Aktualnie *Sportforum Hohenschönhausen* może pomieścić około 5 tys. widzów. Kiedyś mogło ich wejść nawet cztery razy więcej (20 tys. osób oglądało starcie z Liverpoolem w Pucharze UEFA za czasów NRD), ale dzisiaj jedna trybuna na łuku jest wyłączona z użytku, bo grozi zawaleniem, a na tej głównej zamontowano krzeselka.

Ale gdy do OstBerlin przyjeżdża rywal znakomicie znany jeszcze z czasów NRD (a tych w 4. Lidze nie brakuje), to część starszych kibiców – niczym zainfekowani z *The Last of Us* – nagle i niespodziewanie pojawia się na stadionie. W sumie niektórzy z nich faktycznie wyglądają, jakby ostatnie dwie dekady przeleżeli gdzieś pod ziemią,

Fot. Marcel Scharnow



Generalnie BFC Dynamo jest jednym z najbardziej stabilnych klubów w tej części Europy, jeśli chodzi o frekwencję na swoich meczach. I to niezależnie od wyników, bo w trwających rozgrywkach średnia widzów na trybunach jest nieco wyższa niż w poprzednim sezonie, kiedy *Die Weinroten* wygrali ligę.

Gdy BFC gra z jakimś mało atrakcyjnym (kibicowsko, historycznie) przeciwnikiem, to frekwencja na stadionie oscyluje pomiędzy 1300–2000 osób. Wydaje się, że nawet pogoda nie gra dużej roli.

Ale najważniejsze, że w szafie nadal wisi kurtka z patką Stone Island. Na takich meczach przedział widzów to 2000–2500.

Godzinę przed pierwszym gwizdkiem pod kasami jest jeszcze pusto. Podchodząc do okienka po dwa bilety widzę, jak pani je sprzedająca – przed naszą transakcją – pociąga jeszcze mocny tyk Berlinera z butelki. I robi to absolutnie bez żadnej krępacji. I właśnie za takie niuanse uwielbiam klimat na BFC Dynamo. #AgainstModernFootball w pełnym tego hasła znaczeniu.

U nas w takiej sytuacji PIP zaraz wjechałby do klubu na sygnale, a tutaj po prostu wzajemnie życzymy sobie viel spass. Jedyne, co można by wreszcie ogarnąć, to bilety. Najwyraźniej nadal trwa czyszczenie zapasów sprzed kilku lat, kiedy wydrukowano mnóstwo jednakowych wejściówek z planem Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark, na którym BFC nie gra już od prawie dwóch lat. Naprawdę... nawet w 6. Lidze niektóre zespoły robią dedykowane bilety na poszczególne mecze.

Temat wejściówki warto odhaczyć sobie wcześniej, żeby później spokojnie usiąść sobie na murku z piwkiem i obserwować, jak kibice powoli schodzą się na mecz.

Niejednokrotnie opisywana przeze mnie rewia mody stadionowej jest fantastycznym zjawiskiem socjologicznym nadającym specyficzny mikroklimat temu miejscu.

Na pewno warto odnotować fakt, że z każdym spotkaniem przybywa kibiców, którzy mają na sobie gadżety zaprzyjaźnionej Pogoni Szczecin. Aktualnie, ze względu na aurę, zdecydowanie najczęściej w oczy rzucają się zimowe czapki. A obiektywnie trzeba przyznać, że ten element garderoby jest faktycznie mocnym punktem portowców, jeśli chodzi o gadżety produkowane zarówno przez klub, jak i kibiców.

\*\*\*

Mecz z LOK oglądało 2325 widzów, co jest drugą najwyższą frekwencją na Sportforum Hohenschönhausen w tym sezonie. Więcej fanów przyciągnęło do tej pory tylko listopadowe starcie z Energie Cottbus. Wówczas na trybunach pojawiło się 2543 kibiców.

W sektorze gości zameldowało się około 400 fanów z Lipska i okolic. Byli nieźle oflagowani, mieli kilka przyzwoitych momentów, jeśli chodzi o jakość dopingu, ale generalnie – podobnie jak zresztą Energie Cottbus – rozczarowali. Moment prawdziwego wybuchu fanatyzmu mieli w sumie tylko w 88. minucie, kiedy LOK doprowadził do wyrównania. Wtedy chyba kilka osób znalazło się nawet na murawie. Nieoczekiwanie najlepszą – przynajmniej jak do tej pory – grupą kibiców gości, którą zobaczyłem na żywo na *Sportforum Hohenschönhausen* są fani z Oldenburga, który w zeszłym roku na baraże o 3. Ligę przygotowali oprawę i trochę pirotechniki. Trzeba jednak oddać, że sektor gości znajdujący się na łuku jest bardzo oddalony od murawy i ma fatalną akustykę, a odpalaniu pirotechniki bardziej sprzyjają spotkania rozgrywane przy sztucznym świetle (te możliwe są w zasadzie tylko w piątki), z czego ostatnio (10 lutego) skorzystali kibice Chemnitzera FC – prezentując racowisko.

Doping ze strony BFC Dynamo też nie porwał, co grupa *Fraktion H* szczerze przyznała w krótkim poście opublikowanym na swoim FP po zakończeniu spotkania. Widać, że ostatnie wydarzenia odbyły się na stadionowej atmosferze i upływie jeszcze trochę czasu, zanim uda się wszystko przeorganizować. Brakowało przede wszystkim podłączenia się do dopingu całego stadionu, co w przypadku kilku przyśpiewek daje konkretny efekt. Na meczu z LOK bez zarzutu działało w sumie tylko śpiewanie na dwie trybuny *BFC! Dynamo!* Warto jednak pamiętać, że na spotkaniach BFC doping to tylko dodatek do całej otoczki oraz specyficznego klimatu, który na szczęście pozostaje niezmienny i nadal fascynuje swoją hermetycznością.



Na boisku w pierwszej połowie zdecydowanie dominował LOK, który nie potrafił jednak przekuć swojej przewagi na gola. BFC grało brzydko i nieskładnie, ale w 32. minucie niespodziewanie wyszło na prowadzenie. Marvin Kleihs kąśliwie uderzył z rzutu wolnego, piłka odbiła się jeszcze od słupka i wpadła do siatki.

Ta sytuacja zemściła się w 88. minucie. Kapitan BFC Dynamo Niklas Brandt zanotował prostą stratę na własnej połowie, LOK przejął piłkę i wyprowadził szybką akcję, która zakończyła się golem wyrównującym. W ten sposób berlińczycy w zasadzie stracili szansę na walkę o awans do 3. Ligi.



W drugiej części spotkania goście musieli się otworzyć, co spowodowało, że mecz zrobił się bardziej atrakcyjny dla oka. Dynamo grało zdecydowanie lepiej i co chwilę kontrowało zespół z Lipska, który nie bez powodu ma najgorszą defensywą spośród drużyn z szerokiej ligowej czołówki. BFC miało nawet piłkę meczową w końcowej fazie, ale jeden z zawodników zamykających głową dośrodkowanie z lewej strony trafił z kilku metrów w słupek. Gdyby był bardziej precyzyjny, to gospodarze niechybnie rozstrzygnęliby to spotkanie.

Nie wszyscy kibice dotrwali do końcowego gwizdka, ponieważ przed czasem trybuny opuściło kilkudziesięciu amatorów mocniejszych wrażeń, którzy prawdopodobnie ruszyli gdzieś w okolice sektora gości.

Po meczu – siedząc już w samochodzie – faktycznie można było dostrzec jakieś *ganiarki* i zwiększoną aktywność nieco zdezorientowanej policji, ale szczegóły ewentualnej *dogrywki* pozostają tajemnicą.



# 1. FC FRANKFURT



# DYNAMO SCHWERIN

MIASTO, KTÓREGO NIE MA NA MAPACH. KIBICE, KTÓRZY NIE ZAAKCEPTOWALI,  
ŻE 30 LAT TEMU ZMieniŁ SIĘ ŚWIAT



*Wodka-Cola, Frankfurt Oder. Ganz normaler Freitagabend* – nawija jeden z najpopularniejszych przedstawicieli postnrdowskiej sceny muzycznej, czyli raper Finch. Odpowiadając tym samym na pytanie, co można robić w piątkowy wieczór w mieście, które zamieniło się w dom spokojnej starości.

W drugiej połowie lat 80-tych, kiedy dni NRD były już w zasadzie policzone, Frankfurt nad Odrą mógł pochwalić się rekordową liczbą mieszkańców w swojej historii, która dochodziła do 90 tys. To oznaczało się, że znajduje się w dwudziestce największych miast w kraju.

Już w 1959 r. powstała tutaj fabryka półprzewodników, która była największym producentem mikroelektroniki w NRD (celowo zlokalizowana daleko od granicy z RFN, żeby specjalistom nie chciało się szukać okazji do ucieczki na zachód). Trzydzieści lat później zatrudniała ok. 8 tysięcy osób, w tym wielu Polaków. Zarówno wykształconych w tym kierunku, jak i zwykłych mieszkańców pobliskich Ślubic. Po upadku NRD fabryka została zamknięta, a jej losy idealnie opisują powojenną historię miasta. Czasy prosperity i czasy zapaści. Bo dzisiaj mieszka tutaj tylko nieco ponad 55 tys. ludzi, z czego być może nawet połowa dobija do wieku emerytalnego.

\*\*\*

Wojenne zniszczenia w ponad 90 proc. spowodowały, że dzisiaj Frankfurt nad Odrą ma zadziwiającą konstrukcję architektoniczną. Centrum miasta wygląda tak, jakby jego planistą zostało dwuletnie dziecko, które bez zastanowienia próbuje połączyć puzzle, które w ogóle do siebie nie pasują.

Charakterystyczny, wybudowany już w XIII wieku (dzięki czemu jest najstarszym murowanym budynkiem we Frankfurcie) Kościół Pokoju, którego dwie strzeliste wieże znakomicie widać z polskiego brzegu Odry, został po wojnie otoczony wianuszkami z bloków.

Siermiężna architektura NRD brutalnie wdarła się też w okolice historycznego rynku, gdzie ratusz i Kościół Mariacki sąsiadują z Oderturm, czyli mierzącym prawie 100 metrów wieżowcem. Na dole znajduje się centrum handlowe, w którym sklepy zostały już w zasadzie tylko na parterze. Przy okazji dowiedziałem się też, że Polacy przychodzą tutaj nie tylko poszukać tańszych ciuchów, ale także oddawać osocze. Oczywiście odpłatnie, w euro. Niektórzy nie zważają przy tym na fakt, że – z perspektywy własnego zdrowia – nie jest to najlepszy pomysł na codzienny zastrzyk gotówki i po tak regularnym turnusie empatii na drugą stronę Odry wracają bladzi jak ściana.

\*\*\*

A w owych Ślubicach tzw. dzień powszedni zaczyna się zdecydowanie wcześniej niż w większości innych miast w Polsce. Jeśli koło 4, 5 rano spojrzysz przez okno, to bloki wokół będą już mocno rozświetlone. Ślubice szykują się do codziennego, zbiorowego szturmu na drugą stronę Odry, gdzie zarabia się w euro.

W weekend Ślubice odsypiają trudy tygodnia, a po blokowiskach hula wiatr.

Do południa miasto zostaje przejęte przez Niemców, którzy kupują, tankują i od wczesnych godzin porannych obsiadają wszelkie czynne knajpy, gdzie obsługa już na starcie wita cię po niemiecku.



Siły wyrównują się dopiero po południu i wieczorem, kiedy Słubice wychodzą na miasto wydać zarobiony hajs. Są jednak miejsca, gdzie Polacy w defensywie są przez całą dobę. To Biedronka, której ekosystem tworzy konglomerat ukraińsko (personel) – niemiecki (klientela) i bazar.



Zawsze myślałem, że z tym bazarem to taka miejska legenda, która ma nieco zrekompensować tęsknotę za *dzikim zachodem* z lat 90-tych i, że takie miejscówki to już przeżytek. Szczególnie że w Szczecinie i okolicach przygraniczne targowiska *czasy prosperity* mają już chyba dawno za sobą. Ale Słubice to zupełnie inny kaliber.

Przyjeżdżając tam w sobotnie południe można się było poczuć co najmniej jak gdzieś w okolicach zabytku wpisanego na listę UNESCO. I przy okazji trzeba pamiętać, że można tutaj płacić tylko w euro, a stawki są – delikatnie rzecz mówiąc – umowne i próżno szukać metek.

Tłumy samochodów na płatnych parkingach (źle zaparkowanych na poboczach też, ale przecież nie ucina się ręki, która cię karmi, więc o blokadach nie ma mowy), autokary, z których wychodzą babinki wspomagające się balkonikiem – jakby kumulujące energię przez cały tydzień, żeby ten jeden dzień oddychać pełną piersią. A to wszystko po to, żeby przekopać się przez tony podrób, niemodnych ciuchów spod szyldu Camp David, a nawet płyt CD. Czas zatrzymał się 20 lat temu.

Nie do końca wierzyłem też w to, że po straganach tak chętnie buszują kibice BFC Dynamo – niekoniecznie skłonni wydać kilkaset euro na oryginalne ciuchy Stone Island.

A mający przecież świadomość, że „patka” na Sportforum Hohenschönhausen jest jak kawa i wuzetka w „Misiu” – zestaw obowiązkowy.

No i okazało się, że w Słubicach podróby Stone Island faktycznie są na każdym kroku i już za 30, 40 euro można skompletować stosowny outfit.

Kibice BFC Dynamo muszą naprawdę często tutaj zaglądać, bo na stoiskach z różnym szmelcem jest mnóstwo quasi-klubowych gadżetów. Prawie tyle samo, co Bayernu Monachium i Borussia Dortmund. Większość to chałupnicza robota (na przykład krzywo nadrukowane kubki), ale warto odnotować, że wszystkie są ze starym, klasycznym herbem z literą „D”, więc miejscowi wiedzą o co chodzi. BTW. chciałbym zobaczyć tych wszystkich wielkich chłopów, którzy kładą się do snu na poduszeczce z herbem BFC Dynamo, a rano zakładają na plecy szmaciany workoplecak, na którym logo nie lubianego Unii jest rozwalone na strzępy.

\*\*\*

Kolejny mit, który padł to (nie)istnienie *Stutfurtu*. Myślałem, że to tylko takie hasło reklamowe, ale Słubice i Frankfurt nad Odrą naprawdę wzajemnie się uzupełniają (mają nawet wspólną komunikację autobusową) i sprawiają wrażenie jednego organizmu. Często nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego jest tak duży kontrast pomiędzy Kostrzynem i Słubicami pomimo tego, że oba miasta mają dość podobną liczbę ludności. W Kostrzynie jest tak prowincjonalnie, a w Słubicach ciągle korki, dużo ludzi na ulicach, a wieczorami ciasnawo w niektórych knajpach. Po prostu na Słubice nie można patrzeć jak na liczące 17 tys. mieszkańców miasteczko, tylko trzeba wziąć pod uwagę, że tworzą z Frankfurtem jedno miasto, w którym mieszka prawie 80 tys. ludzi, którzy łąą w tę i z powrotem (choć przede wszystkim do Słubic, bo Frankfurt pustoszeje z każdym rokiem). Odpyły ludności i starzenie się społeczeństwa byłyby jeszcze bardziej widoczne, gdyby nie uniwersytet *Viadrina*, na którym studiuje ok. 5 tys. osób, co nieco reanimuje wskaźniki demograficzne.

Oczywiście sztucznie, bo w weekendy i latem zbyt wielu żaków tutaj nie uświadczysz. *Viadrina* to taka hipsterownia, a nawet egzotyka, jeśli jesteś na przykład z Bawarii. Fajnie mieć w papierach takie miejsce, jednak też nie ma sensu tutaj zbyt długo przesiadywać.

W przypadku Słubfurtu mamy więc do czynienia z chichotem losu i sytuacją, w której to ogon kręci psem. Bo dzisiaj to znacznie mniejsze Słubice, które przed wojną były tylko dzielnicą Frankfurtu o nazwie *Dammvorstadt*, zdają się być właściwym centrum tego europejskiego miasta. Nawet jeśli wszystko rozbija się przede wszystkim o usługi, paliwo i night cluby.

W każdym razie choć takiego miasta nie znajdziemy na żadnej mapie, to *Stutfurt* naprawdę istnieje.

\*\*\*

Ale dlaczego tak naprawdę tutaj przyjechałem?

\*\*\*

Marcowe spotkanie 1. FC Frankfurt z Dynamem Schwerin było najprawdopodobniej wydarzeniem bez precedensu w całej piłkarskiej Europie. Na piątym poziomie rozgrywkowym spotkały się bowiem zespoły, które mają w swojej historii zapisane występy w europejskich pucharach.

\*\*\*

Wojskowy klub Vorwärts został założony w 1951 r. w Lipsku, ale w Saksonii przetrwał tylko dwa lata. Potem został przeniesiony do wschodniego Berlina.

Aparat musiał ratować wizerunek stolicy NRD. Wówczas miasto nie było jeszcze podzielone murem i najlepsi piłkarze mogli uciekać do klubów w zachodniej części. W konsekwencji przez wiele lat nie udało się zbudować silnej drużyny z Ost-Berlina w DDR-Oberlidze. Z propagandowego punktu widzenia było to absolutnie nie do przyjęcia

Wydawało się, że stołecznym (i krajowym) *nummer eins* zostanie Dynamo, które przejęło silniejszą drużynę. Drezdeńscy przed przymusową wyprowadzką do Berlina sięgnęli po mistrzostwo i brązowy medal. Vorwärts przetransferował natomiast słaby zespół z Lipska, który na pożegnanie zlecił z ekstraklasy NRD.



W związku z tym armia w 1953 r. zdecydowała się na przeniesienie swojego wojskowego zespołu Vorwärts z Lipska do Berlina. Niedługo później podobny manewr zastosowała też bezpieka, która również dokonała transferu wewnętrznego. Dynamo Drezno stało się Dynamem Berlin. Drużyny należące do sił mundurowych miały być bardziej odporne na emigrację do zachodniej części miasta. Bo z tych zespołów nie można było sobie tak po prostu odejść, skoro np. wszyscy piłkarze Vorwärts mieli stopnie wojskowe.

Rzeczywistość okazała się jednak zaskakująca. Vorwärts przebudował swoją kadrę i stał się czołowym zespołem DDR-Oberligi przełomu lat 50 i 60-tych. W trakcie złotej dekady z delikatnym okładem (1957-1970) sięgnął po sześć tytułów mistrzowskich, trzy wicemistrzowskie i dwa krajowe puchary.

Poza tym znakomicie spisywał się też w europejskich rozgrywkach (ćwierćfinał Pucharu Europy i Pucharu Zdobywców Pucharu).



Vorwärts – sportowo i pod względem popularności – zdecydowanie zdystansował Dynamo, które w tamtym okresie rzadko potrafiło się wzbicić ponad przeciętność (notorycznie dostając też w czapkę w derbach). Ale przepotężny szef Stasi Erich Mielke nie był człowiekiem, który wyznawał filozofię w stylu: „To nieprawda, że dach przeciekał. Zwłaszcza że prawie w ogóle nie padało”. Musiał znowu wziąć sprawy w swoje ręce i utorować ukochanemu BFC Dynamo drogę na szczyt.

\*\*\*

W 1971 r. Vorwärts został więc przeniesiony do... Frankfurtu nad Odrą. Głównym prowodyrem tego transferu był oczywiście Mielke wspierany przez lokalnego kacyka Ericha Mückenbergera, który liczył, że posiadanie silnego klubu w DDR-Oberlidze nieco ożywi przygraniczny region. Szczególnie że piłkarska historia Frankfurtu nad Odrą przed 1970 r. nie była specjalnie imponująca, a mówimy przecież o stolicy okręgu (czyli z naszej perspektywy województwa). SC Frankfurt, którego losy krzyżowały się z FSG Dynamo Frankfurt wspólnymi siłami dosłownie na moment tylko liźnęły zaplecza najwyższej klasy rozgrywkowej, a przeważnie były zaledwie klubami prowincjonalnymi.

\*\*\*

Na otwarcie ery frankfurckiej rozegrano sparing z bułgarskim Czerno More Warna (wygrana 5:4) w sierpniu 1971 r. Spotkanie zaczęło się z półgodzinnym opóźnieniem, ponieważ piłkę na środku boiska miał umieścić spadochroniarz, którego zastępowały niekorzystne warunki pogodowe.

\*\*\*

I choć Vorwärts Frankfurt nie był w stanie nawiązać do sukcesów z czasów berlińskiego prime'u, to mieszkańcy tzw. Oderstadt i tak nie mieli powodów do narzekania. Resortowa wojenka w stołecznych gabinetach sprezentowała im silną drużynę, która przez dwie dekady – z małymi przerwami – należała do szerokiej nrdowskiej czołówki. Największe osiągnięcia zespołu z Frankfurtu nad Odrą na krajowym podwórku to: wicemistrzostwo w 1983 r. oraz dwa finały Pucharu NRD. Gdy Vorwärts sięgnął po srebro DDR-Oberligi, to średnia frekwencja na trybunach dobijała do 10 tys.

Kibice we Frankfurcie nad Odrą z największym sentymentem wspominają jednak występy w europejskich pucharach. Łącznie Vorwärts w latach 1971-1991 (tzw. era frankfurcka) uzbierał 12 meczów na międzynarodowej arenie (wszystkie są efektem pięciu startów w Pucharze UEFA).

Najstłynniejszy jest oczywiście dwumecz z Juventusem Turyn w 1. rundzie Pucharu UEFA w sezonie 1974/1975. W pierwszym spotkaniu rozgrywanym przed własną publicznością Vorwärts sprawił sensację i – na oczach 20 tys. widzów zgromadzonych na Stadionie Przyjaźni – wygrał z włoskim gigantem 2:1. Trudno było wymarzyć sobie lepszy debiut w europejskich pucharach podczas frankfurckiej ery wojskowego klubu niż zwycięstwo z zespołem, w którym zagrali Dino Zoff i Fabio Capello.

Normalnie obiekt mógł pomieścić 16 225 kibiców (taką frekwencję można też znaleźć w niektórych protokołach z tego meczu), ale z racji gigantycznego zainteresowania dostawiono tymczasową trybunę i zwiększono pojemność do 20 tys. Po stronie gospodarzy były też komary, które z racji płynącej obok Odry obsiadły gości z Turynu jeszcze w tunelu na murawę.

W rewanżu Juventus odrobił straty, wygrał 3:0 i awansował do kolejnej rundy.

– Jadąc do Turynu mieliśmy nadzieję na awans, ale ostatecznie i tak byliśmy dumni, że przynajmniej raz ograliśmy Juventus – wspomina obrońca Gerd Schuth.



– Po tym dwumeczu od razu stało się jasne, że chcemy znowu zagrać w Europie. Naszym motto stało się hasło: musimy tam wrócić.

I choć na kolejne przepustki do Europy trzeba było trochę poczekać, to w latach 80–85 Vorwärts Frankfurt aż cztery razy wystartował w rozgrywkach Pucharu UEFA.

Kibice nad Odrą mogli oglądać pojedynki z takimi drużynami, jak Werder Brema, Nottingham Forest czy PSV Eindhoven. Czasami udawało się osiągać dobre wyniki w poszczególnych spotkaniach, ale drużyna z Frankfurtu w historii występów w Europie wyeliminowała tylko jednego rywala.

W pierwszej rundzie Pucharu UEFA w sezonie 1980/1981 wyrzuciła za burtę zespół Ballymena United z Irlandii Północnej. A i tak trzeba było się przy tym trochę napocić, ponieważ rywalizacja zaczęła się od niespodziewanej porażki na wyjeździe 1:2. W rewanżu 15 tys. widzów na Stadionie Przyjaźni obejrzało jednak przekonującą wygraną 3:0. W kolejnej rundzie zbyt silny okazał się Stuttgart z RFN.

\*\*\*

Dynamo Schwerin w swojej historii nigdy nie dotarło do najwyższej klasy rozgrywkowej (29 sezonów na jej zapleczu i dwa przegrane baraże o awans do elity), ale i tak zagrało w Europie.

W sezonie 1989/1990 zespół z Meklemburgii zaliczył spektakularny rajd w Pucharze NRD. Po wyeliminowaniu m. in. FC Magdeburg i Lokomotive Lipsk dotarł do wielkiego finału. Ostatecznie trofeum nie pojechało do Schwerina, ponieważ w decydującym meczu 2:1 wygrało Dynamo Drezno, ale drugoligowcy i tak dostali bardzo wartościową nagrodę pocieszenia.

W tamtym sezonie zespół z Drezna sięgnął po podwójną koronę, więc tym samym zwolnił miejsce w Pucharze Zdobywców Pucharów dla finalisty krajowego pucharu.

W 1. rundzie (1/16 finału) los skojarzył zespół ze Schwerina z Austrią Wiedeń. Archaiczny stadion Paulshöhe oczywiście nie spełniał europejskich wymagań, dlatego Dynamo (wówczas występujące pod nazwą PSV Schwerin) mecz u siebie z konieczności rozegrało w oddalonym o 100 km Rostocku. Na Ostseestadion należącym do Hansy.

19 września 1990 r. pogoda była wyjątkowo niesprzyjająca, dlatego na trybunach w Rostocku zameldowało się zaledwie 835 widzów, którzy – na miarę możliwości – postarali się jednak o głośne wsparcie dla swoich zawodników. Niestety doping nie pomógł, a losy dwumeczu rozstrzygnęły się w zasadzie w ciągu dwóch minut (od 34. do 36.), kiedy Austria zdobyła dwie bramki i wygrała pierwsze spotkanie 2:0.

3 października w Wiedniu odbył się rewanż, w którym PSV zaprezentowało się z bardzo przyzwoitej strony, remisując 0:0. O walce o awans do kolejnej rundy nie było oczywiście mowy, ale zespół ze Schwerina nie przyniósł wstydu w rywalizacji ze zdecydowanie silniejszym rywalem.

Zresztą ten mecz tak naprawdę nikogo – poza garstką kibiców – nie interesował, ponieważ dokładnie tego dnia doszło do oficjalnego zjednoczenia Niemiec. Kraje związkowe z NRD przystąpiły do RFN. Fani ze Schwerina na rewanż do Wiednia wyjeżdżali więc z jednego kraju, a wrócili do innego. Ten dwumecz – pomimo że w zasadzie zupełnie zapomniany i rozegrany gdzieś za kotarą przełomowych wydarzeń w tej części Europy – jest jedną z najważniejszych chwil w całej historii klubu.

Gdy byłem na meczu w Schwerinie, to w mobilnym punkcie sprzedaży klubowych gadżetów, do kupienia były nawet okolicznościowe koszulki nawiązujące do tamtych wydarzeń. Ten jeden, jedyny występ w Europie trzeba bowiem celebrować. Niezależnie od tego, jaki by nie był. Szczególnie że Dynamo dotarło do Europy kuchennymi drzwiami. Nigdy nie grając na najwyższym szczeblu rozgrywkowym.

\*\*\*

Po upadku NRD Vorwärts stał się Victorią, potem Viktorią, a od 2012 r. 1. FC Frankfurt. Zmiany nazw niestety nie niosły ze sobą zmian w kwestii wyników sportowych. Cała pozbawiona rzeczywistość naznaczona jest wegetacją na amatorskich szczeblach rozgrywkowych. Mecze, na których frekwencja na Stadionie Przyjaźni po 1991 r. była czterocyfrowa można policzyć w zasadzie na palcach jednej ręki.

Młode pokolenie nie zagląda na miejscowy stadion, choć na ulicach widać, że w mieście jest spore zainteresowanie piłką, ponieważ infrastruktura drogowa jest areną quasi-wojny na vleпки. Dominuje Hertha Berlin, za czasów gry w 1. i 2. Bundeslidze mocną pozycję miało też Energie Cottbus, które dzisiaj zostało wyparte przez zmierzający do Ligi Mistrzów Union Berlin.

Stara gwardia też coraz rzadziej zamienia wyludnione blokowiska północnej części miasta na stadion położony na południowych rubieżach Frankfurtu.

A jeśli już, to przede wszystkim po to, żeby posiedzieć w klubowym budynku i, pijąc piwo, powspominać stare, dobre czasy oraz powzdychać do relikwii (pamiątek) z pamiętnego spotkania z Juventusem Turyn.



Starzy kibice mają problem z akceptacją aktualnej nazwy, nowych barw itd. Jeśli kilka razy w roku się zmobilizują, to i tak wywieszają tylko stare flagi oraz ubierają się na czerwono-żółto.

A wydawało się, że w tym sezonie może coś drgnąć.

Poza tym Frankfurt to beniaminek Oberligi.

Sportowy sukces oraz możliwość rywalizacji z kilkoma niezłej klasy rywalami też pozwalały mieć nadzieję, że klub przestanie oddychać tylko przeszłością i nareszcie odnajdzie się w pojedynczeniowej rzeczywistości.



We wrześniu na sparing przyjechała Hertha Berlin, która ściągnęła na trybuny ok. 4 tys. widzów. Organizatorzy nie mieli wątpliwości, że gdyby mecz odbył się trochę później (to był czwartek), to liczba kibiców mogła dobić nawet do 6 tys., ale brak sztucznego oświetlenia nie pozwolił nieco dłużej czekać na pierwszy gwizdek. I choć Hertha wygrała aż 8:0, to miejscowi świetnie się bawili. Na Stadion Przyjaźni wróciło wiele osób, które od lat tutaj nie zaglądały, na płotach pojawiły się stare, pamiętające lata 80-te flagi.

Pierwsze spotkanie z rezerwami Hansy Rostock (porażka aż 1:5) ściągnęło na trybuny prawie 500 osób.

Potem było już tylko gorzej i frekwencja na tak dużym stadionie (pojemność szacowana w tej chwili na 12 tys.) zaczęła się kręcić w okolicach setki.

Nie pomogli też sami piłkarze, którzy – poza serią kilku niezłych meczów – grają słabutko i niestety zmierzają z powrotem do 6. Ligi.

Miałem nadzieję, że spotkanie z najbardziej atrakcyjnym w lidze rywalem ze Schwerina (też beniaminkiem) również zmobilizuje miejscową starą gwardię do wizyty na stadionie. Szczególnie że oba zespoły nie grały ze sobą od 1990 r. (w latach 1988–1990 Vorwärts na chwilę spadł na zaplecze najwyższej klasy rozgrywkowej, gdzie prawie zawsze grało Dynamo Schwerin). Poza tym kibice ze stolicy Meklemburgii wyznają analogiczną filozofię życiową, jak fani we Frankfurcie. To także przede wszystkim grupa niedostosowanych do współczesności facetów po 40. urodzinach, którzy weekendowo wzdychają do dawnych czasów.

\*\*\*

W chłodną, marcową niedzielę – przynajmniej rano – przez zachmurzone niebo nad Słubicami nieśmiało przebijało się słońce. Wraz z moim przyjacielem, który spędził tutaj kilka lat życia minęliśmy kultowy sklep *24h Zigaretten*, gdzie znajduje się specjalna rampa do ładowania wagonów szlągów prosto do bagażnika i po diagnozie, że interes nawet w niedzielę kręci się należycie, przejechaliśmy na drugą stronę Odry.

W Niemczech od razu przywitała nas śnieżca. Niedzielne przedpołudnie, weekend bez studentów na Viadrinie, fatalna pogoda i wyludniające się miasto. Frankfurt w takich momentach naprawdę robi nieprawdopodobne wrażenie.

Przemierzasz samochodem kolejne puste ulice, czasem minie cię co najwyżej wiozący powietrze tramwaj. Czujesz się jak w jakimś zbudowanym symulatorze miasta typu *SimCity*. Ktoś postawił budynki i całą infrastrukturę, ale zapomniał dorzucić w pakiecie mieszkańców.

Ewentualnie przyszła mi do głowy jeszcze pierwsza scena z *Misia*, w której milicjanci w szczerym polu stawiają makiety domów, żeby móc wyłapywać kierowców przekraczających prędkość w terenie zabudowanym. Zarówno na tamtym, jak i tym frankfurckim osiedlu życia jednak nie było.

Później – pozostając przy klasykach polskiej kinematografii – nie pozostało nic innego, jak dokonać delikatnej parafrazy i zawołać: *Kierunek – stadion! Tam musi być jakaś cywilizacja!*

\*\*\*

*Stadion der Freundschaft* został oddany do użytku w 1953 r. z okazji 700-lecia miasta. Inauguracyjne spotkanie oglądało 25 tys. widzów na rywalu Dynamo Frankfurt była Wisła Kraków, która wówczas grała pod nazwą Gwardia.

Obiekt niewiele zmienił się od czasów, kiedy w latach 70-tych zagościł tutaj przeniesiony z Berlina Vorwärts i rozegrał kilka niezapomnianych meczów w europejskich pucharach. W ostatnich latach wybudowano jedynie nowy budynek klubowy wraz z trybuną główną oraz zdemontowano trzy z czterech masztów oświetleniowych, ponieważ groziły zawaleniem. Ten ostatni stał się natomiast masztem telekomunikacyjnym.

Spacer po stadionie jest fantastyczną podróżą do przeszłości. Szczególnie że nie ma żadnych ograniczeń i można zrobić pełną rundę wokół, a nawet bez problemu wejść do sektora gości. A to wszystko za jedyne sześć euro, bo tyle kosztuje bilet na mecze 1. FC Frankfurt (obiekt jest otwarty także w tygodniu i można zrobić sobie lekcję historii zupełnie za darmo).

Nie będę ukrywał, że choć klimat tego spotkania był wspaniały, to sama atmosfera na stadionie nieco rozczarowała.

Zaledwie 140 widzów – nawet pomimo przenikliwego zimna oraz opadów śniegu – było frekwencją zdecydowanie poniżej oczekiwań.

Obok siebie powiesili nawet flagi. Płótno Dynama Schwerin (szkoda, że jedno z mniej ciekawych) zawisło nieopodal trzech flag gospodarzy. Dwóch oldschoolowych klasyków pamiętających momenty chwwały Vorwärts z czasów NRD oraz jednej flagi dedykowanej już bezpośrednio 1. FC Frankfurt.



Szpeciallynie że na tę liczbę składała się grupa kibiców ze Schwerina oraz kilkunastu groundhopperów, którzy kręcili kółka po stadionie z taką częstotliwością, jakby przygotowywali się do dwudziestoczworgodzinnego wyścigu *Le Mans*.

Goście stanęli razem z gospodarzami, żeby móc przy piwie oraz grzonym winie, które w tej temperaturze zdawało się wybawieniem, wspólnie powspominać złote lata 70 i 80-te.

Tym bardziej śmieszyła mnie *skitrana* pod stadionem policja, która po końcowym gwizdku stała na trasie do centrum z jakimiś kamerami. Nie mam pojęcia, co chcieli nagrywać, bo chyba nie liczyli, że 50-latkowie wypiją po piwku, pogadają, zbiją pionę, a potem zaczną się napier\*alać.

Sam mecz oglądało się bardzo dobrze i zleciał błyskawicznie. 5. Liga jest gwarantem radosnego futbolu, o czym świadczą wyniki Frankfurtu, który tydzień po tygodniu potrafi przegrać 1:5, wygrać 7:0



Tym razem padł tylko jeden gol, ale na murawie działo się sporo pod obiema bramkami. Trzeba jednak zaznaczyć, że wiele akcji było dziełem przypadku, bo murawa bardziej przypominała kartoflisko niż plac do gry.

Dynamo wygrało 1:0 po szybkiej akcji lewą stroną, którą z zimną krwią wykończył 24-letni Francuz Steve Njemane Tanga, który prawdopodobnie uprawia coś w rodzaju turystyki futbolowej. W swojej stosunkowo krótkiej przecież karierze – poza Francją i Niemcami – grał też w klubach z Mołdawii, Grecji, Słowenii i Belgii.

Generalnie towarzystwo na boisku było międzynarodowe, ponieważ w barwach drużyny ze Schwerina zagraли też m. in.: urodzony w Atenach bramkarz Ibrahim Suaib, który ma... ukraiński paszport czy pomocnik z Mołdawii. I co ciekawe w kadrze Dynama Ukraińcy funkcjonują razem z Rosjanami.

Gospodarze odpowiedzieli z kolei desygnowaniem do gry 18-letniego Uzbeka Ayyubbeba Kulbekova.

Z polskich akcentów po murawie w barwach 1. FC Frankfurt biegał (choć to delikatne nadużycie) mający swojsko brzmiące nazwisko Paul Karaszewski. Teoretycznie jeden z najbardziej doświadczonych zawodników drużyny, który otarł się o FC Magdeburg, a w praktyce tysiącej 30-latek, który był chyba jednym z najgorszych defensywnych pomocników, jakich widziałem w życiu. Wszystko na alibi, wszystko do najbliższego, wszystko do tyłu. Z takim liderem środka pola nic dziwnego, że drużyna znajduje się w strefie spadkowej.

\*\*\*

Wizyta w Frankfurcie nad Odrą był fantastyczną podróżą do przeszłości oraz kolejnym miejscem na mapie byłej NRD, gdzie odnalazłem futbol w takim wydaniu, jakiego poszukuję. Surowy, prawdziwy, zgodny z maksymą #againstmodernfootball. Gdybym miał określić go możliwie zwięźle, dwoma słowami, to posłużyłbym się hasłem, które przyświeca czwartoligowemu SV Babelsberg 03, czyli *fussball unplugged*.



# FUTBOLOWY STRALSUND



Stralsund to jedno z najważniejszych i najstarszych miast Pomorza Przedniego, do którego przez wiele wieków geograficznie należał też Szczecin i jego okolice, które po 1945 r. – z racji polskiej perspektywy – musiały się delikatnie przebiegunować i w konsekwencji stały się Pomorzem Zachodnim. Tym samym rozdzielające tę historyczną krainę na dwa odrębne organizmy. Na początku XVII wieku Stralsund mógł pochwalić się większą liczbą mieszkańców niż Szczecin, a jeszcze w 1905 r. był drugim najludniejszym miastem prowincji Pomorze (Pommern). Oczywiście już daleko za Szczecinem, ale przed Koszalinem i Słupskiem.

Podczas wojny zabytkowe stare miasto Stralsundu uległo praktycznie całkowitej zagładzie, a w czasach NRD peryferia zaczęły być gęsto zabudowywane tzw. plattenbau, czyli blokami z wielkiej płyty. Wówczas miasto żyło przede wszystkim ze stoczni, która była jedną z największych nad Bałtykiem.

Po upadku NRD Stralsund udowodnił, że zjednoczenie Niemiec we wschodnich landach wcale nie musi być jednoznacznie z chaosem i biedą. Udało się zrewitalizować hanzeatycką starówkę, która razem z tą w Wismarze została wpisana na listę UNESCO. W niektórych miejscach „szpary” pomiędzy poszczególnymi kamienicami zieją jeszcze pustką, ale generalnie spacer ulicami Stralsundu to dzisiaj czysta przyjemność.

Miasto określiło się jako destynacja turystyczna, bo ma do zaoferowania zdecydowanie więcej niż tylko odrestaurowana starówka praktycznie ze wszystkich stron otoczona wodą. Wystarczy zaledwie kilka minut, żeby z głównego rynku dojść do morza, gdzie znajdują się: marina i oceanarium.

Stralsund wraz z sąsiednimi: Greifswaldem oraz Rugią (największą niemiecką wyspą), która od miasta jest oddzielona tylko wąską cieśniną o nazwie Strelasund tworzą prawdopodobnie najbardziej atrakcyjny pod kątem turystycznym – obok kilku zakątków Saksonii – obszar w byłej NRD. O Rugii można by napisać osobny artykuł, ale koniecznie trzeba wspomnieć o jej znaku firmowym, czyli nieprawdopodobnym Jasmundzkim Parku Narodowym z zapierającymi dech w piersiach kredowymi klifami.

Uniwersytecki Greifswald to z kolei sprzężone ze Stralsundem niemal bliźniacze miasto oddalone o zaledwie 30 kilometrów. Oba ośrodki mają po 59 tys. mieszkańców i bogatą, hanzeatycką historię. Starówka Greifswaldu być może nie jest tak efektowna, jak ta u bliskich sąsiadów z północy, ale ma jeden niezaprzeczalny atut – nie została zniszczona w trakcie wojny. Ówczesny komendant miasta Rudolf Petershagen w kwietniu 1945 r. udał się na negocjacje z Armią Czerwoną i zapewnił, że Greifswald podda się bez walki, w zamian za uniknięcie standardowej dla przybyszów ze wschodu demolki. To jeden z nielicznych tego typu przykładów na terenie dzisiejszego niemieckiego i polskiego Pomorza, gdzie w 1945 r. Sowietci palili wszystko, co spotkali na swojej drodze.

W Greifswaldzie lepiej grają też w piłkę, ponieważ miejscowy Greifswalder FC występuje aktualnie na czwartym poziomie rozgrywkowym, czyli jest drugim najlepszym klubem piłkarskim w całym landzie Meklemburgia-Pomorze Przednie. Ma też słynnego wychowanka – Toniego Kroosa.

TSV 1860 Stralsund występuje natomiast tylko w 7. Lidze.



Drużynie zdecydowanie lepiej wiodło się za czasów NRD. W 1967 r. do Stralsundu przeniesiono z Rostocku wojskowy klub ASG Vorwärts, który do zjednoczenia Niemiec spędził aż 25 sezonów w DDR-Lidze, czyli na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej. To daje wysokie, piąte miejsce w tabeli wszech czasów tej ligi.

Po upadku NRD klub oczywiście tułał się po niższych ligach, przechodził przez kilka fuzji i zmieniał nazwy. Finalnie z tego chaosu ostatecznie wyłonił się FC Pommern Stralsund, który uważał się za prawowitego kontynuatora tradycji wojskowego ASG Vorwärts i dorobił się nawet zorganizowanej grupy kibiców.



Największym sukcesem są jednak dwa sezony spędzone w Oberlidze, czyli nrdowskiej ekstraklasie (1971/1972 i 1974/1975). W trakcie pierwszego podejścia do elity ASG Vorwärts legitymował się średnią prawie 8 tys. widzów na mecz (to więcej niż w tamtych rozgrywkach miało BFC Dynamo).

W 1984 r. – z okazji 750. urodzin miasta – Vorwärts Stralsund rozegrał na swoim stadionie sparing z Legią Warszawa, który zakończył się wynikiem 4:4.

Fani działali w klimacie ultras – paląc sporo pirotechniki oraz prezentując oprawy. Większość z nich była też oczywiście sympatykami Hansy Rostock.

W 2018 r. FC Pommern Stralsund przeszedł jednak do historii: wykreślając się z rejestru i dołączając do TSV 1860 Stralsund (wcześniej losy obu klubów przecięły się na początku lat 90-tych, kiedy szukano pomysłu na to, jak zapełnić lukę po ASG Vorwärts). Decyzja była oczywiście podyktowana czynnikami ekonomicznymi.

Koniec FC Pommern był również jednoznaczny z końcem ruchu kibicowskiego w Stralsundzie, który nie zaakceptował decyzji o połączeniu i zmianie nazwy. Ostatni mecz w czerwcu 2018 r. z TSV Friedland był manifestacją tego niezadowolenia i smutnym pożegnaniem z klimatem „ultras”.

\*\*\*\*\*

Po publikacji tego tekstu napisał do mnie Florenz – były zawodnik i kibic FCP (danke!), który podesłał krótki tekst przede wszystkim o historii ruchu kibicowskiego na FC Pommern oraz kilka klimatycznych zdjęć.



„Die Fans sind eine Macht, wer keine hat – gute Nacht!” (Kibice są siłą. Jeśli ich nie masz, to dobranoc!) – głosił jeden z wywieszonych transparentów. Po starych czasach na stadionie zostały już tylko vleпки oraz coraz mniej wyraźny ślad po skrócie FCP, który kiedyś „wysprejowano” na betonowej trybunie bez ławek i krzesełek.

Stadion Przyjaźni (dzisiaj Primus Immobilien Arena) to obiekt naruszony zębem czasu, niezwykle klimatyczny i pięknie położony.

Poniżej wrzucam więc jego tekst jako post scriptum do opisaney wcześniej historii:

„Mecz z Legią Warszawa w Stralsundzie oglądało 5000 kibiców, ale to nie był jedyny pojedynek towarzyski pomiędzy tymi zespołami, które w 1983 r. spotkały się także w stolicy Polski. Wtedy Legia wygrała 6:3.

Vorwärts często rozgrywał też sparingi z Arką Gdynia, ale na temat tych spotkań nie ma aż tak dokładnych informacji.

W latach 1988–1989, tuż przed upadkiem NRD, grałem w Vorwärts Stralsund. Po zmianach politycznych klub, który był powiązany z armią został rozwiązany, a wszyscy zawodnicy przeszli do drugiego klubu w mieście – BSG Motor Stralsund. Ale ten klub – jako kolejny relikw upadającej NRD – też zaraz został zlikwidowany.

Wówczas w mieście reaktywowano z kolei bardzo popularny wielosekcyjny klub sportowy TSV 1860 Stralsund (piłka nożna, piłka ręczna, podnoszenie ciężarów, hokej, lekkoatletyka).

Ale i tutaj zabawa w futbol nie wypaliła, bo klub miał bardzo małe środki finansowe i już w 1991 r. zrezygnowano z sekcji piłkarskiej, którą pozostawiono samej sobie. Wtedy doszło też do piłkarskiego zjednoczenia Niemiec i porzucony zespół zleciał z drugiej do piątej ligi. Najlepsi zawodnicy błyskawicznie wyjechali na zachód.

Na meczach pojawiała się garstka fanów, nikt nie potrafił identyfikować się z klubem, który stał się dziwnym tworem. Zawodnicy, którzy zostali nie zamierzali funkcjonować w taki sposób, dlatego w 1994 r. od podstaw założyli nowy klub od nazwie FC Pommern Stralsund.

Ale FC Pommern też miał bardzo ciężkie życie od pierwszego do ostatniego dnia swojego funkcjonowania. Sytuacja ekonomiczna regionu po zjednoczeniu była bardzo słaba, a sportowa konkurencja w mieście duża. Piłka ręczna (1. i 2. Bundesliga), podnoszenie ciężarów (1. Bundesliga), żużel (Superliga).

W ciągu pierwszych trzech lat klub miał zbudować solidne fundamenty finansowe, ale celu nie udało się zrealizować. Dlatego zespół grał wiele lat w 5., 6., a nawet 7. lidze.

W 2017 r. kilka osób w klubie przedstawiło propozycję ponownej fuzji (z TSV 1860 Stralsund – red.). Oczywiście my, jako zorganizowana grupa kibicowska byliśmy przeciwko. Przegraliśmy głosowanie jednym, oszukany głos. To był cios, po którym nie byliśmy już w stanie podjąć żadnych innych kroków.

Jak wyglądał ruch kibicowski na meczach FC Pommern?

W 1997 r. powstała nowa generacja kibiców w mieście, którzy utworzyli grupę „VS-Crew’97” (Vorwärts Stralsund Crew – Pommern i Hansa). W 2011 r. narodziła się kolejna „Stralsunner!”. Obie działały do 2018 r. (moment fuzji) i liczyły od 30 do 80 osób. VS Crew utrzymywali dobre relacje z pobliskim Greifswalderem SC. Co ciekawe w Greifswaldzie – w przeciwieństwie do Stralsundu – była tylko piłka nożna, więc ich zespół grał w wyższej lidze.

Oni w 2004 r. też rozpadli się z powodu braku pieniędzy. W ich miejsce powstał Greifswalder SV 04, ale zaangażowani kibice tego nie zaakceptowali. Do reszty klubów z miasta (np. Greifswalder FC, który teraz gra w 4. Lidze – red.) nie byliśmy przyjaźnie nastawieni. Podobnie jak do innych drużyn z Pomorza. Poza kibicami 1. FC Neubrandenburg oraz Rostockera FC (czasami nadal dającymi znaki życia), którzy byli u nas zawsze mile widziani.”





# Kraj, w którym narodziła się Liga Mistrzów

W poprzedniej kolejce kibice Dynamo Drezno zaprezentowali ciekawą oprawę na wyjazdowym meczu w Saarbrücken. Hasło "Die Ikone aus der Zone" uzupełniła sektorówka z flagą NRD, w którą został wpisany herb klubu. Prezentacja była jednym z pokazów zorganizowanych z okazji 70-lecia powstania klubu, ale miejsce, w którym ujrzała światło dzienne wcale nie było przypadkowe.

kwiecień

Nie wszyscy pamiętają, że po wojnie Niemcy nie zostały podzielone tylko na dwie części (RFN i NRD), ale tak naprawdę na trzy, ponieważ trzecim organizmem, który powstał był Protektorat Saary (Kraj Saary) właśnie ze stolicą w Saarbrücken. Było to małe państwo quasi-państwko istniejące w latach 1947–1956 w całości zależne od Francji.

Siłą rzeczy musiało mieć też swoją drużynę narodową. Reprezentacja Saary w latach 1950–1956 rozegrała 19 meczów międzypaństwowych i jako członek FIFA wzięła udział w eliminacjach do mundialu w 1954 r. W grupie eliminacyjnej trafiła na Norwegię i... RFN. Z Niemcami piłkarze z Saary przegrali oba spotkania, natomiast z Norwegią wygrali na wyjeździe w Oslo 3:2, a u siebie zremisowali 0:0. Na mundial kadra Saary nie pojechała, ale wstyd też absolutnie nie przyniosła. Szczególnie że terminarz ułożył się w ten sposób, że ostatni mecz rozegrano z RFN – na oczach 53 tys. widzów – w Saarbrücken i decydował on o awansie.

Szkoleniowcem reprezentacji Saary był wówczas Helmut Schön, który później poprowadził Niemców m. in. do mistrzostwa świata w 1974 r.

Protektorat Saary miał też komitet olimpijski, który wysłał 36 sportowców na letnie igrzyska olimpijskie w Helsinkach w 1952 r. Najlepszy wynik osiągnęła kajakarka Therese Zenz, która dotarła do finału "jedynek" na dystansie 500 metrów.

Dwa lata później sięgnęła natomiast po mistrzostwo świata i był to największy sportowy sukces w historii tego państewka. Pierwszy i ostatni moment, kiedy sportowiec z Saary zgarnął medal na imprezie rangi mistrzowskiej.

Wracając do piłki nożnej, to w Saarze istniały też oczywiście rozgrywki ligowe. W latach 1948–1951 rozegrano trzy sezony "Ehrenliga Saarland". Potem lokalne zespoły wróciły natomiast do niemieckiego systemu ligowego. W rozgrywkach brało udział od 12 do 14 zespołów, a w tabeli wszech czasów przewodzi VfB Neunkirchen, który ma na koncie mistrzostwo i wicemistrzostwo.

Co ciekawe – najbardziej znany klub z Saary, czyli 1. FC Saarbrücken desygnował do rywalizacji w lidze tylko swój zespół rezerw, ponieważ uważano, że lokalne rozgrywki są zbyt słabe i mało atrakcyjne dla tak silnej oraz uznanej drużyny, która nie chciała trwonić potencjału.

W zamian stołeczny klub w sezonie 1948/1949 wystartował w zmaganiach na zapleczu francuskiej ekstraklasy jako FC Sarrebruck. Rozniósł konkurencję, ale pozostałe zespoły zablokowały awans do elity i jednoznacznie dały do zrozumienia francuskiej federacji, że nie życzą sobie klubu z Saary w swoich strukturach.

Do zgarnięcia była nagroda w wysokości 2 mln franków, a w pierwszej edycji (1949/1950) wzięło udział aż 15 zespołów nie tylko z Europy, ale także drużyna z Chile. Wygrali gospodarze, którzy w finale ograli Rennes 4:0. Drugiej edycji nie dokończono, bo w międzyczasie 1. FC Saarbrücken wróciło do niemieckich struktur.

Fot. instagram/football\_city\_travel



Drużyna nie została oficjalnie sklasyfikowana w tabeli, a jej udział w lidze uznano za towarzyski.

W 1. FC Saarbrücken stwierdzili więc, że skoro tak, to oni stworzą sobie swoje własne rozgrywki pod nazwą Międzynarodowy Puchar Saary (Internationaler Saarlandpokal), które można uznać za pierwowzór Pucharu Europy (czyli dzisiejszej Ligi Mistrzów).

Klub świetnie spisywał się również w meczach towarzyskich, pokonując Real Madryt czy Liverpool, a środkowy, napastnik Herbert Binkert zapracował na tytuł największego ambasadora Kraju Saary. 1. FC Saarbrücken stał się popularnym klubem w Europie, który – organizując międzynarodowy turniej – wyprzedził swoje czasy i zapracował na przychylność m. in. Julesa Rimeta, który bardzo chciał, żeby zespół dołączył do francuskiej federacji.



Żeby historia mogła się dopełnić, to 1. FC Saarbrücken – tuż przed wcieleniem Kraju Saary do RFN – zdążył jeszcze wystąpić w pierwszej edycji Pucharu Europy w sezonie 1955/1956 (coś na zasadzie dzisiejszego FC Vaduz, które występuje w lidze szwajcarskiej, ale w Europie reprezentuje Lichtenstein). W pierwszym meczu 1. rundy sensacyjnie ograł na wyjeździe AC Milan 4:3, ale w rewanżu przegrał 1:4 i odpadł.

W 1957 r. Protektorat Saary został włączony do RFN, w 1963 r. 1. FC Saarbrücken było jednym z założycieli Bundesligi, z której od razu spadło. Aktualnie klub gra w 3. Lidze i w tym sezonie walczy o awans do 2. Bundesligi, a średnia frekwencja na trybunach przekracza 10 tys. widzów. Miejscowa grupa ultras nazywa się z kolei Virage Est, co od razu zwraca uwagę na francuskie wątki w historii tego regionu.



**BABELSBERG**

**03**

**SV Babelsberg 03,  
czyli St. Pauli z byłej  
NRD**

**TUTAJ PIĘKARZE WALCZA NAWET ZE ŚLADEM  
WĘGLOWYM...**



Największe kluby z byłej NRD – przynajmniej tak z grubsza – można skategoryzować w dwóch grupach. Pierwsza to zespoły, które sukcesy święciły tylko w poprzednim ustroju, a teraz tułają się po niższych ligach i oddychają za pomocą respiratora zwanego historią, nadal mogąc jednak liczyć na wsparcie wielu kibiców (np. BFC Dynamo, Dynamo Drezno, Lokomotive Lipsk, Carl Zeiss Jena). Druga to z kolei drużyny, które już za czasów NRD miały ugruntowaną pozycję i popularność, ale sportowy *prime* – choć czasami tylko na kilka lat – osiągnęły dopiero po zjednoczeniu Niemiec (np. Union Berlin, Energie Cottbus, po części też Hansa Rostock i na swój sposób Erzgebirge Aue).

Jest jednak jeden klub (i nie chodzi o RB Lipsk), którego nie da się dopasować do żadnej z tych kategorii, a i tak prawie zawsze jest wymieniany jednym tchem razem ze wszystkimi postnrdowskimi markami – generując przy okazji niezłą frekwencję na wielu stadionach we wschodnich Niemczech. Ten klub to SV Babelsberg 03. Nazywany też *St. Pauli des Ostens*, czyli wschodnim St. Pauli.

\*\*\*

W pewien sposób wyjątkowy jest też sam Poczdam. Piłkarska historia miasta za czasów NRD jest uboga. Szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę, że mówimy o jednym z dziesięciu największych miast tego kraju, które u schyłku jego istnienia liczyło ponad 140 tys. mieszkańców.

Protoplastą SV Babelsberg 03 był klub BSG Motor Babelsberg, który nigdy nie dotarł do najwyższej klasy rozgrywkowej, spędzając 20 sezonów w DDR-Lidze, czyli na jej zapleczu (co daje 23. miejsce w tabeli wszech czasów tych rozgrywek).

Kibice w Poczdamie poznali jednak smak gry w elicie, ponieważ w latach 50-tych dziewięć sezonów w DDR-Oberlidze spędził drugi klub z miasta, czyli BSG Rotation Babelsberg. Trzeba jednak od razu zaznaczyć, że po pierwsze nie odegrał tam żadnej roli, przeważnie broniąc się przed spadkiem, a po drugie na początku lat 60-tych wyładował w rozgrywkach okręgowych, skąd już nigdy się nie wygrzebał i tym samym nie pozostawił po sobie żadnej wartościowej spuścizny. Dzisiaj kontynuatorem tradycji BSG Rotation jest grająca w 7. Lidze Fortuna Babelsberg.

\*\*\*

Zanim przejdziemy dalej, to najpierw musimy znaleźć odpowiedź na pytanie, które z pewnością was nurtuje. Dlaczego jesteśmy w Poczdamie, a wszystkie kluby mają w nazwie *Babelsberg*?

Babelsberg jest bowiem największą i najbardziej znaną dzielnicą miasta, która w niektórych środowiskach jest nawet bardziej popularna od samego Poczdamu. Poza tym, biorąc pod uwagę fakt, że jest oddzielona od ścisłego centrum szeroko rozlewającą się w tej okolicy Hawelą, to można odnieść wrażenie, że funkcjonuje jako osobny organizm. I na pewno nie jest to wrażenie złudne, ponieważ Babelsberg został włączony do Poczdamu dopiero w 1939 r. Dlatego posiada na przykład ratusz, który kiedyś był siedzibą władz autonomicznego miasta.

Miasta, które długo nazywało się *Nowawes*, co było czeskim odpowiednikiem nazwy *Neuendorf*.

A skąd wzięli się tutaj nasi południowi sąsiedzi?



W XVIII wieku w okolicy zaczęli się osiedlać czescy protestanci, którzy z racji swoich religijnych upodobań zostali wygnani z ojczyzny. Goście z południa żyli więc sobie w miejscowości *Nowawes*, a miejscowi Niemcy egzystowali w klasycznym *Neuendorfie*.

Sam Babelsberg wziął się natomiast od nazwy okolicznego wzniesienia, które jeszcze w czasach bardzo dawnego słowiańskiego osadnictwa nazywało się *Buberow*, czyli po prostu miejsce, gdzie są bobry. Nie chodzi więc o żadną biblijną Wieżę Babel.



Czesi zajmowali się przede wszystkim tkactwem, co na przestrzeni kilku wieków zaowocowało powstaniem dużego ośrodka przemysłowego oraz zbliżeniem się pierwotnej kolonii *Nowawes* z *Neuendorfem* i – w konsekwencji – otrzymaniem wspólnych praw miejskich w 1924 r. (oraz późniejszą zmianą nazwy na dzisiejszy Babelsberg).

Dzisiaj Babelsberg to także piękny park wraz ze zbudowanym na wzór angielskiego Zamku Windsor pałacem cesarskim wpisanym na listę UNESCO oraz przede wszystkim słynne studio filmowe o tej samej nazwie. Największe w Europie i najstarsze na świecie (otwarte w 1911 r.). W ostatnich dwóch dekadach produkcje, które wyszły z Babelsbergu zgarnęły łącznie 15 Oscarów w różnych kategoriach. W studiu w Poczdamie kręcono m. in. *Bękarty Wojny* (niektóre sceny dogrywano m. in. w niemieckiej części Zgorzelca), *Atlas chmur*, *Grand Budapest Hotel* (też dogrywany w Zgorzelcu), *Pianiste*, *Ultimatum Bourne'a* czy *Most szpiegów*.

Przy nakręconym przez Stevena Spielberga *Moście szpiegów* warto się na chwilę zatrzymać. Tytułowy most znajduje się w Babelsbergu i nazywa się *Glienicker Brücke*. Na swój przydomek zapracował właśnie w trakcie zimnej wojny, kiedy przebiegała przez niego granica pomiędzy NRD a Berlinem Zachodnim. USA i ZSRR trzykrotnie wykorzystywały go do wymiany szpiegów.

Tak w ogóle to Poczdam jest jednym z nielicznych miast byłej NRD, które zjednoczenie Niemiec mogą ocenić jednoznacznie pozytywnie. Przede wszystkim ze względu na swoją geografie. Poczdam jest w zasadzie przylepiony do stolicy Niemiec, znajduje się nawet wewnątrz autostradowego Berliner Ringu. Za czasów NRD sąsiadował jednak z zachodnią częścią Berlina, do której dostęp – z wiadomych względów – było mocno utrudniony. Dojazd do jedynie słusznej, wschodniej części wiązał się natomiast z nużącą wyprawą okrężnymi drogami kiepskiej jakości, co powodowało, że Poczdam tak naprawdę w ogóle nie odczuwał bliskości Berlina. Wyjazd do stolicy NRD był czasochłonną eskapadą.

Po zjednoczeniu liczba mieszkańców Poczdamu – w przeciwieństwie do innych miast na wschodzie kraju – zaczęła natomiast rosnąć. Dzisiaj mieszka tu ponad 180 tys. ludzi (w 1989 r. tylko 140 tys.), a bezrobocie na tle byłej NRD jest wyjątkowo niskie. Poczdam określił się jako ceniony ośrodek akademicki i badawczy, nareszcie pełnymi garściami czerpiący z bliskości wielokulturowego Berlina, co z pewnością też miało wpływ na klimat, jaki zapanował na trybunach SV Babelsberg O3.

– *W Poczdamie żyło się naprawdę dobrze. To fajne, nowoczesne i zarazem kameralne miasto, w którym było wszystko, co trzeba. Na ulicach oczywiście sporo studentów, ale także i Polaków* – opowiada Mateusz Szczur, który w sezonie 2011/2012 był zawodnikiem SV Babelsberg O3. – *Poza tym korzystne jest też samo położenie. Blisko Berlina i Polski. Świetnie połączenie S-Bahnem ze stolicą Niemiec. Naprawdę było co robić w wolnym czasie po treningach i meczach. Myślę, że Poczdam jawi się jako idealny punkt wypadowy dla turystów.*

\*\*\*

10 grudnia 1991 r. – niedługo po zjednoczeniu kraju – drużyna piłkarska oddzieliła się od wielosekcyjnego Motoru i w ten sposób powstał SV Babelsberg O3. Cyfra na końcu nazwy ma podkreślać, że klub odwołuje się nie tylko do historii Motoru, ale także przedwojennego Sport-Club Jugendkraft 1903.

W pierwszej połowie lat 90-tych SV Babelsberg O3 kopał w rozgrywkach amatorskich i nie wyróżniał się na tle ligowej konkurencji niczym szczególnym.

Frekwencja na trybunach była co najwyżej trzycyfrowa, ruch kibicowski nie istniał. Klub był jak bohater jednego z utworów PRO8L3M-u: *Nikt o kogo by ktoś pytał.*

I wtedy na stadionie pojawili się rezydenci poczdamskich squatów, którzy szukali w okolicy jakiegoś sposobu na zabicie nadmiaru wolnego czasu. Mieli spore pole do popisu i całe, niezagospodarowane trybuny dla siebie.

W ten sposób narodziła się jedna z nielicznych (obok m. in. Chemie Lipsk czy Carl Zeiss Jena) lewicowych grup kibicowskich w byłej NRD. Z pewnością w swojej lewicowości najbardziej radykalna oraz najbardziej zbliżona do St. Pauli, które jeśli chodzi o ten klimat, jest wzorcem do naśladowania niczym metr z Sevres. Nikogo nie powinien zdziwić więc fakt, że kibice obu klubów mają mocną zgodę już od lat 90-tych. Bo wśród squattersów, którzy zawitali wtedy na stadion w Babelsbergu było też sporo ludzi z Hamburga.

– *Ta przyjaźń faktycznie była widoczna. A raz w roku rozgrywaliśmy ze St. Pauli mecz towarzyski* – wspomina Mateusz Szczur.

Sam Babelsberg – szczególnie okolice stadionu, które przed wojną były obszarem zamieszkanym przez robotników – ma zresztą bardzo silne tradycje lewicowe. Miejsowość była nawet nazywana *Roten Nowawes*, co miało wyraźnie podkreślać, że to bastion wyznawców jasno określonej myśli politycznej.

A Liebknecht w Babelsbergu to naprawdę człowiek-instytucja, co jeszcze dobitniej podkreśla alternatywno-lewicowy charakter dzielnicy. Jest patronem nie tylko grupy kibicowskiej, ale także stadionu oraz... ulicy, przy której obiekt się znajduje. Tutaj mówi się na niego pieszczotliwie i zdrobniale – po prostu *Karli*.



W 1999 r. powstała grupa *Filmstadt Inferno*, która do dzisiaj rozdaje karty na trybunach miejscowego stadionu. W swoim logo ma postać Karla Liebknechta, czyli marksisty i założyciela *Komunistycznej Partii Niemiec*, który na przełomie 1918 i 1919 r. był jednym z przywódców rewolucji mającej na celu stworzenie *Socjalistycznej Republiki Niemiec*. Finalnie zryw został brutalnie stłumiony, a Liebknecht oraz Róża Luksemburg zamordowani.

Wystarczy tylko pobieżnie przestudiować wykresy ze średnią frekwencją na trybunach w poszczególnych sezonach, żeby zauważyć, że pojawienie się zorganizowanego ruchu kibicowskiego miało wydatny wpływ na zainteresowanie klubem, który szybko zaczął zbierać profity z alternatywnego wizerunku, jaki udało się wykreować. W połowie lat 90-tych liczba widzów błyskawicznie wzrosła o 200% (z 500 do 1500).



Absolutnie rekordowy był sezon 2001/2002, kiedy średnia frekwencja na Karlim wynosiła aż 4480. Rzetelność wymaga jednak uzupełnienia, że na taki wynik złożyły się także sukcesy na boisku, ponieważ stricte piłkarsko był to najlepszy rok w historii klubu. SV Babelsberg jeden sezon spędził wówczas w 2. Bundeslidze, w której – pomimo obiecującego startu – nie był w stanie się utrzymać.

Ofiarą własnego sukcesu stał się wtedy trener (i były zawodnik) Hermann Andrejew, który najpierw sensacyjnie awansował na zaplecze elity, a potem dostał wypowiedzenie, bo nie potrafił tam zostać na dłużej. Kibice nie zapomnieli jednak jego zasług i po zwolnieniu wtłaczyli się nocą na stadion, żeby na murawie namalować imię szkoleniowca.

\*\*\*

Kolejny okres sportowego prosperity to z kolei lata 2010–2013, kiedy *null drei* wrócili na szczybel centralny i spędzili trzy sezony w 3. Lidze.

To właśnie wtedy – w sezonie 2011/2012 – piłkarzem SV Babelsberg 03 był cytowany już wcześniej Mateusz Szczur. Był to dość nieoczywisty ruch ze strony młodego obrońcy, który do Poczdamu trafił z... Polonii/Sparty Świdnica.

– *Po jednym z meczów na polskich boiskach podpisałem z managerem autoryzację na ewentualne transfery do kilku krajów. Między innymi właśnie do Niemiec. To był Polak mieszkający na co dzień w Berlinie. Ten, z którym słynny Vanna Ly chciał później kupować Wisłę Kraków – wyjaśnia kulisy swojego transferu do Poczdamu mój rozmówca, który dzięki temu zaliczył ciekawy epizod w karierze.*

– *Pojechałem na mecz testowy, w którym zmierzyliśmy się z reprezentacją Niemiec U-17, w której grali ter Stegen, Rüdiger, Mustafi, Leitner czy Volland. Na sparingu było mnóstwo skautów, więc dwuletni kontrakt podpisałem w zasadzie od razu po końcowym gwizdku. Bo później dowiedziałem się, że chciało mnie również Energie Cottbus i raczkujące RB Lipsk. Sam klub z Babelsbergu kojarzyłem, ale kompletnie nie miałem pojęcia, jak wygląda od środka i jaka jest wokół niego otoczka.*

Za jego kadencji prawie 7 tys. widzów potrafiło przyjść na mecz ligowy z Carl Zeiss Jena. Klub próbował też swoich sił w Pucharze Niemiec, gdzie przed własną publicznością przegrał z MSV Duisburg 0:2.

– *W tym meczu z Duisburgiem siedziałem na ławce rezerwowych. Pamiętam całą otoczkę, dużo ludzi na trybunach – opowiada Mateusz Szczur. – Frekwencyjnie nawet taka 3. Liga, jak jechało się gdzieś na wyjazd, to był inny świat niż Polska. Dla Niemców klub i mecz to religia. To obowiązek jak pójście do kościoła. Babelsberg był wówczas jednym z mniejszych klubów w 3. Lidze, ale i tak 1000 osób potrafiło przyjść na trening przed ważnym meczem. Do tego dobre kontrakty, premie meczowe, a nawet samochód służbowy od Hondy,*

Polaków nie przewinęło się przez Babelsberg zbyt wielu, ale widzieli w zasadzie wszystko, co najważniejsze, bo za czasów gry w 2. Bundeslidze gwiazdą *null drei* był Sławomir Chęłaskiewicz, który w Poczdamie łącznie spędził aż cztery lata (1999–2003).

– *Za moich czasów jeszcze dużo kibiców chodziło w koszulkach z numerem 18. To była dla nich taka mała legenda.*

– Do Babelsbergu trafiłem w wieku 21 lat. Musiałem nauczyć się miejscowej mentalności i niemieckiej kultury piłkarskiej, ale szybko zauważyłem, że to bardzo tolerancyjny klub. Kibice niezwykle szanowali obcokrajowców – mówi Mateusz Szczur.



I nie chodzi tylko o piłkarzy, bo w 2014 r. – w zasadzie w przededniu kryzysu migracyjnego – przy klubie powstała nowa drużyna o nazwie Welcome United 03, która składała się tylko i wyłącznie z uchodźców. Rok później zespół został zgłoszony do rozgrywek, a jego zawodnicy uznani za pełnoprawnych członków całego klubu SV Babelsberg 03.

Projekt miał znacznie szerszy aspekt niż tylko sport. Chodziło o łatwiejszą adaptację, naukę języka, pomoc w znalezieniu pracy. Za sprawą Welcome United 03 o null drei zrobiło się głośno w kraju, a klub zgarnął kilka nagród za swój pomysł. Jeden z treningów poprowadził nawet Felix Magath.

Zespół złożony z uchodźców spędził w niższych ligach trzy sezony, a potem został wycofany z rozgrywek. W klubie stwierdzono bowiem, że udało się zrealizować nadrzędny cel projektu. Coraz trudniej było kompletować kadrę drużyny, bo większość jej członków założyła rodziny i chodziła do pracy – nie mając już tyle czasu na treningi w amatorskiej lidze.

Największą gwiazdą był młodzieżowy reprezentant Somalii Abdihafid Ahmed, który musiał uciekać z kraju, po tym jak terroryści z Asz-Szabab zabili jego ojca, który nie chciał oddać swoich synów w ich ręce. Na łodzi, która płynęła do Włoch było 100 osób. Był jedną z pięciu, które przeżyły.

Oczywiście nie zawsze rzeczywistość była tak kolorowa, jak opisywały to media. Piłkarze Welcome United 03 na boisku szybko się grzali, regularnie zamykając listę we wszystkich klasyfikacjach fair-play (zbierając mnóstwo kartek). Niektórzy zawodnicy przebywali w Niemczech nielegalnie i nagle po prostu znikali z treningów, bo zostali np. deportowani.

Zdarzały się też mecze na prowincji, gdzie miejscowi nie podzielali filozofii *null drei* – nie witając gości chlebem i solą. Dlatego nie każdemu też pasował zwyczaj, żeby po końcowym gwizdku grillować z Welcome United O3.

\*\*\*

W sezonie 2019/2020 klub z Poczdamu za darmo oddał miejsce na środku koszulek organizacji *Seebücke*, która zajmuje się ratowaniem uchodźców docierających do Europy drogą morską.

\*\*\*

Wizyta na popularnym *Karlim* już do dłuższego czasu była w moich planach, ale czekałem na mecz, który będzie gwarantem niezłej frekwencji i wrzuci na ruszt trochę podtekstów. Finalnie wybór padł na kwietniowe spotkanie z BFC Dynamo, czyli starcie klubów funkcjonujących pod banderą *#againsmodernfootball*, ale z zupełnie innych frakcji.

O Dynamo nie będę tutaj pisał zbyt wiele. Na moim blogu jest tyle tekstów o *Die Weinrotten*, że po kilkudziesięciu minutach lektury możecie się wręcz doktoryzować z wiedzy o Dynamo.

\*\*\*

Policja w dzień meczowy zorganizowała znany z filmu *Miś* – dzień pieszego pasażera. Z związku z tym samochód dla własnej wygody lepiej było zostawić na parkingu przy Netto 1,5 km od stadionu.

Na początku konieczność nieco dłuższego spaceru nie spowodowała, że byłem łagodnie uśmiechnięty, ale *post factum* moje odczucia były zupełnie inne.

Babelsberg to naprawdę urokliwe i zadbane miejsce otoczone wpisanym na listę UNESCO parkiem, o którym pisałem już wcześniej. Kosteczka, odpicowane, parterowe domki robotnicze, a do tego sporo kameralnych kawiarenek i małych punktów usługowych. W ogóle nie czułem się jak w byłej NRD.

I spośród tych domków – zupełnie niespodziewanie – nagle wyrasta sobie stadion. Może nie tyle sam stadion, co jupitery, które w ogóle tutaj nie pasują, zaburzając sielski i małomiasteczkowy charakter okolicy. Dlatego właśnie maszty oświetleniowe zostały zaprojektowane w ten sposób, że są... składane. Jupitery dominują więc krajobraz tylko na kilka godzin podczas meczów, a na co dzień w ogóle ich nie widać.

Sam spacer na stadion okazał się nieco dłuższy, bo przez przypadek wszedłem na ulicę, która prowadziła na sektor gości i była wyłączona z ruchu oraz przeznaczona tylko dla kibiców BFC Dynamo. Nawet nie tyle wyłączona, co po prostu odcięta od reszty dzielnicy przez policję, która zablokowała wszystkie przejścia, przełączki i przecznice. Jako kibic Pogoni Szczecin na pewno odnalazłbym się wśród sympatyków BFC, ale akurat na ten wieczór plan był zupełnie inny. Bliżej poznać klimat na trybunach *null drei*.

Policja niespecjalnie podzielała mój entuzjazm – niechętnie wpuszczając kogokolwiek na pas ziemi niczyjej, który prowadził na drugą stronę obiektu.

Pomogła obecność mojej narzeczonej, która wybrała się ze mną do Babelsbergu i nie wyglądała na osobę, która chce się przedostać się pod kasy gospodarzy, żeby siać tam terror i zniszczenie.



Pod głównym wejściem kottuje się mnóstwo kibiców. Wielu z nich przyjeżdża na *Karliego* rowerem. Nierzadko miejskim, ponieważ razem z biletem na mecz w gratisie są dwa przejazdy (domyślnie tam (na stadion) i z powrotem). Wystarczy tylko zeskanować kod QR z biletu na stacji z rowerami.

Kiedyś gwiazda kanału *Kartofliska*, niestety już ŚP „Ambasador”, zgrabnie określił sytuację himalaistów w nieporozumieniu: *Nie wiedzą gdzie idą, a wiedzą, gdzie idą.*

Tak samo jest z *null drei*. Nawet, gdy trafisz tutaj przez przypadek, z miejsca rozkminisz, jaki panuje *vibe* na trybunach.



Jest też maszt, na którym powiewa tęcza flaga i cytaty z żywej legendy klubu Almedina Civy (byłego piłkarza, dyrektora sportowego oraz trenera): *Jesteśmy jednością. To jest nasza siła.*

Wszystko zawałone rowerami, jak w Kopenhadze, tęcza flaga, a do tego wskazówki, gdzie można znaleźć wegańskie żarcie i jedna z piosenek na przedmeczowej playliście zadedykowana dla przeciwnika.

*Karli* – nie licząc sektora gości – jest podzielony na dwie strefy. Łącznie może pomieścić ponad 10 tys. widzów, co na pierwszy rzut oka wydaje się niemożliwe, bo stadion sprawia kameralne wrażenie. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że tylko jedna trybuna (główna) ma krzeselka i jest ich zaledwie 2 tys. Pozostałe trybuny (za bramką i północna, gdzie zlokalizowany jest młyn) to aż 8 tys. miejsc stojących oraz pełna swoboda poruszania się.

Bilet kosztuje 11 euro i – poza sektorem krzesełkowym (tam jest drożej) – możesz zmieniać perspektywę kilka razy w ciągu meczu. Rekord frekwencji padł w 1977 r. na meczu NRD z Maltą (15 tys. widzów).

Stadion to czysty, klimatyczny #againstmodernfootball. Dużo vlepek i grafów, a do tego stoiska gastronomiczne zlokalizowane w drewnianych budkach. W przerwie zapach grilla miesza się z zapachem jointów. Podobnie jak na St. Pauli nie uświadczycie tutaj globalnych marek. Nie kupicie nawet oryginalnej Coca-Coli, tylko jakiś lokalny zamiennik.

Kawa jest natomiast serwowana wyłącznie z mlekiem owsianym. To nie tylko lewicowa fanaberia, ale zdecydowanie bardziej złożony temat. Głównym sponsorem klubu jest bowiem firma Oatly, czyli największy producent napojów owsianych na świecie. Współpraca jest na tyle zaawansowana, że piłkarze brali nawet udział w ośmiotygodniowym eksperymencie, który miał udowodnić, że dieta sportowca wcale nie musi składać się z mięsa oraz nabiału i może być w 100 proc. roślinna. Bez wpływu na formę piłkarza. Wyniki oczywiście to potwierdziły i mało tego – przy okazji stwierdzono, że zawodnicy biorący udział w badaniu ograniczyli swój ślad węglowy o 30 proc. Bo obie strony aktywnie działają też w kwestiach ochrony klimatu, ekologii itd.

Karli został więc przebudowany w ten sposób (fotowoltaika itd.), że jest pierwszym całkowicie neutralnym pod kątem emisji CO2 stadionem w tej części Europy oraz zarazem pierwszym... bezmlecznym obiektem piłkarskim. Bo pijąc cappuccino z mlekiem (napojem) owsianym (zamiast krowim) możesz zredukować emisję gazów cieplarnianych nawet o 70 proc.

Tak przynajmniej twierdzą Oatly i SV Babelsberg 03.

To kontrowersyjny pomysł, ale sponsor odbija piłeczkę całkiem zgrabnym hasłem wypisanym na bandach reklamowych: *Who drinks milk at a football match anyway?*

\*\*\*

Teraz chyba jesteście w stanie sobie wyobrazić, jak wiele różnic można znaleźć pomiędzy *null drei* a BFC Dynamo, choć oba kluby są przecież godnymi ambasadorami hasła #againstmodernfootball. Nie ma co ukrywać – niektóre akcje wymyślane przez SV Babelsberg 03 aż proszą się o delikatną szyderkę, ale z drugiej strony to wszystko ma swój urok. Jest autentyczne. Sto razy lepsze niż Manchester City, PSG czy inne gówna, które zarzynają futbol, jaki kochamy. A klub z Poczdamu ma motto, które chyba dobrze oddaje klimat na tutejszym stadionie – *fussball unplugged*.

\*\*\*

Spotkanie z BFC oglądało prawie 3400 widzów, co jest jedną z najwyższych frekwencji w tym sezonie. Siłą rzeczy atmosfera na stadionie była całkiem niezła. Szczególnie że gospodarze wystawili dwa młyny. Serce *Karliego* bije oczywiście na trybunie północnej, skąd dopinguje główna grupa *Filmstadt Inferno 1999* wraz ze wsparciem mniejszych przystawek, ale jakiś czas temu w konflikt z głównym nurtem na trybunach *null drei* popadła grupa *Underdogs*, która w konsekwencji wyniosła się na trybunę wschodnią i uformowała własny młyn. Zdecydowanie mniej liczny, ale mający akustyczny handicap w postaci dachu, co powoduje, że często to ich przyśpiewki dominują w eterze.

*Filmstadt Inferno 1999* ewidentnie inspirował się włoskim stylem kibicowania. Dużo małych płócien, flag-transparentów na podwójnych kijach czy zwykłych machajek w barwach. Tematyka analogiczna do St. Pauli. Tęcza, Antifa, zielsko.

Gości ze wschodniego Berlina do Poczdamu dojechało ok. 550. Jak zwykle solidnie i klimatycznie oflagowanych, ale – poza kilkoma momentami – dopingującymi co najwyżej przeciętnie. BFC Dynamo, szczególnie na wyjazdach, w niektórych aspektach kibicowskiego rzemiosła ewidentnie przeżywa kryzys po rozwiązaniu grupy *Ultras BFC* i znowu bardziej przypomina wyspiarską grupę 40-latków bez talentu wokalnego.

Obie strony – delikatnie rzecz ujmując – oczywiście nie darzą się sympatią, co wynika przede wszystkim z zupełnie różnych korzeni obu klubów. Podobnie jest zresztą z samymi kibicami. Fani SV Babelsberg 03 to alternatywa i postęp w myśl lewicowej definicji tego słowa, natomiast BFC Dynamo to ciągle głęboki oldschool i sporo gości, którzy wyglądają, jakby dla nich czas zatrzymał się w okolicach 1990 r. Brak internetowej sprzedaży biletów, mięcho z grilla i wyspiarski styl kibicowania. Trudno się więc dziwić, że berlińczycy ironicznie nazywają SV Babelsberg 03 *klubem brokułów*. Fani *null drei* przez jakiś czas bojkotowali z kolei wyjazdowe spotkania z BFC.

\*\*\*

A czy jest coś co łączy oba kluby? Na pewno napięte relacje z Energie Cottbus. Dla SV Babelsberg 03 to odwieczny rywal nie tylko na płaszczyźnie światopoglądowej, ale także główny przeciwnik w walce o prymat w całym landzie Brandenburgia.

Ostatnio bardzo gorąco zrobiło się też na linii Energie – BFC Dynamo, ponieważ okazało się, że to właśnie kibice z Chociebuża stoją za przejęciem flag grupy *Ultras BFC* (po styczniowym meczu z SV Lichtenberg ktoś czekał pod domem kibica BFC odpowiedzialnego za transport płócien), która w konsekwencji całego zamieszania musiała zostać rozwiązana. Dzień przed publikacją tego tekstu (a w dniu meczu Energie – BFC w Cottbus) kibice *Die Lausitzer* wrzucili do sieci film, w którym palą flagi *Ultras BFC* na... *Sportforum Hohenschönhausen*. Taki ruch to dla kibiców BFC Dynamo otwarte wypowiedzenie wojny.

\*\*\*

Na murawie nie działo się zbyt wiele, ale kibice zdawali się tym zbytnio nie przejmować. Lubię ten klimat, gdy boisko jest tylko dodatkiem, a niektórzy większość meczu spędzają plecami do murawy. Wizyta na stadionie to po prostu pretekst do spotkania towarzyskiego, celebrowania lokalnego patriotyzmu i przywiązania do klubu, który jest ważnym elementem tożsamości oraz nośnikiem do manifestowania swojego światopoglądu. Rozmowy przerywane regularnymi kursami po piwo. *Das ist fußballkultur*. A w przerwie z tyłu trybuny stoją piłkarzyki oraz kartony... z darmowymi ciuchami do zabrania przygotowane przez jednego ze sponsorów.

Cokolwiek nie myśleć o *null drei*, muszę napisać, że podoba mi się to, jak wiele ten klub znaczy dla lokalnej społeczności i w jaki sposób jest opakowany. W internecie, na kanałach społecznościowych mecze są bowiem bardzo słabo promowane – byłem tym aż zaskoczony. Spacer po Babelsbergu uświadomił mi jednak, że tutaj działa się bardziej lokalnie.



W każdym sklepiku w okolicy (nawet w kwiaciarni) wisi meczowy plakat. Czuć, że klub jest obecny na ulicach i każdy, kto ma wiedzieć o meczu na *Karlim*, na pewno się o tym dowie.

BFC strzeliło gola na 1:0 w 30. minucie po szybkim, ładnym kontrataku.

Oba zespoły w przyszłym sezonie znów spotkają się w 4. Lidze. Oba marzą, żeby w końcu awansować na szczebel centralny. SV Babelsberg 03 to klub kontrowersyjny – nie ma z tym co dyskutować. Ale i tak warto przynajmniej raz tutaj przyjechać i zobaczyć inne wydanie futbolu spod szyldu #againstmodernfootball.



W drugiej połowie wydawało się, że goście mają wszystko pod kontrolą, ale w 96. minucie gospodarze strzelili gola wyrównującego, co wywołało na trybunach prawdziwą ekstazę, która wprawiła w drgania płot oddzielający boisko od fanów.

Bo do tej pory stadion uruchamiał się tylko w momentach kontrowersyjnych decyzji sędziego.

Widzów: 3360

Cena biletu: 11 euro

Piwo: 4 euro

Wurst: 4,50 euro

# Czy polska Husaria ze Schwedt podbije Kreisklasse?

Od nowego sezonu w rozgrywkach 1. Kreisklasse (11. Liga, najniższy poziom rozgrywkowy w powiecie Uckermark) w Brandenburgii wystartuje w 100 proc. polski zespół FC Husaria Schwedt.

– Pomysł narodził się w październiku 2022 r. – mówi jeden z dwóch trenerów klubu oraz prezes Jan-Aleksander Marchwicki. – Skontaktował się ze mną Grzegorz Sarnowski i zaproponował rozpoczęcie projektu pod nazwą „Pierwszy polski klub w Schwedt i landzie Brandenburgia”. Chcieliśmy stworzyć w mieście coś dla naszych rodaków, których liczba z dnia dzień rośnie. W kilka dni zebraliśmy aż osiem osób-założycieli i w ten sposób, 4 grudnia 2022 r. powstał klub FC Husaria Schwedt.

\*\*\*

Schwedt to przygraniczne miasto położone nad Odrą – w zasadzie w samym sercu Parku Narodowego Doliny Dolnej Odry, dlatego na tablicach wjazdowych, poza nazwą miejscowości, zobaczycie też dopisek „Nationalparkstadt”. Miasto w różnych kontekstach opisywałem na stronie już kilka razy, pojawiło się też w „Piłkarskim przewodniku po byłej NRD”.

maj



Kiedys nazwałem je „upadłym królestwem Plattenbau”. Zniszczenia wojenne w 85 proc. spowodowały, że Schwedt zostało nominowane przez nowe władze do bycia tzw. socjalistycznym miastem wzorcowym (obok Eisenhüttenstadt i Hoyerswerdy). Okoliczny krajobraz szybki zdominowały więc dziesiątki bloków z wielkiej płyty oraz ciężki przemysł (m. in. rafineria). U schyłku lat 80-tych mieszkało tu prawie 55 tys. mieszkańców, aktualnie nieco ponad 33 tys., ale tylko dlatego, że Schwedt w ostatnim czasie przylącza do siebie okoliczne wioski. W samym mieście nie ma więcej niż 30 tys. ludzi, a północne rubieże słyną z opustoszałych bloków, których kolejne kwartały były wyburzane.

\*\*\*

Aktualnie FC Husaria pozyskuje kolejnych sponsorów, kompletuje kadrę i rozgrywa sparingi (przede wszystkim z polskimi drużynami), które mają lepiej przygotować zespół do startu w rozgrywkach Kreisklasse od nowego sezonu 2023/2024. Pozytywnie układa się też współpraca z władzami miasta.

– W Schwedt są do nas bardzo dobrze nastawieni – cieszy się Jan-Aleksander Marchwicki. – Dostaliśmy do użytku boisko w kompleksie sportowym „Dreiklang”, które nasi zawodnicy szybko nazwali „Estadio de Kauflando” [obok znajduje się supermarket Kaufland – red.]. Koszty użytkowania są naprawdę symboliczne i to będzie już nasz dom na stałe. Tutaj w każdy piątek trenujemy i będziemy rozrywać mecze ligowe, pucharowe oraz towarzyskie.

Klimat na spotkaniach ligowych ma być analogiczny do tego, który panuje na innych stadionach w najniższych klasach rozgrywkowych, czyli bilety i catering.

– Planujemy pobierać symboliczną opłatę za występ. Będzie też możliwość kupienia kawy czy napoju bezalkoholowego – wyjaśnia prezes klubu.

Dlaczego tylko bezalkoholowego? Stadion znajduje się bowiem na terenie szkoły, na obszarze której obowiązuje zakaz spożywania alkoholu. Ale wiadomo jak jest... W Niemczech „zatowarowanie” się na własną rękę nie jest problemem.

\*\*\*

**“Husaria to nie pierwszy polski projekt w Niemczech. Najbardziej znanym biało-czerwonym klubem u naszych zachodnich sąsiadów jest oczywiście Polonia Berlin. Są też niemieckie drużyny, w których grają tylko i wyłącznie Polacy (Nadrensee i wcześniej Preussen Bergholz).”**

– Mieliśmy bardzo miłe i owocne spotkanie z przedstawicielami Polonii Berlin – wyjaśnia Jan-Aleksander Marchwicki.

\*\*\*

W przyszłym sezonie najciekawszym meczem ligowym będą natomiast miejskie derby z SPG City 76 Schwedt/Grünow, które również korzysta z obiektu Dreiklang. Jan-Aleksander Marchwicki był tam przez kilka lat trenerem, a spora część zawodników do Husarii trafiła stamtąd.



– Kadra liczy 20 zawodników i wielu z nich prowadziłem przez pięć sezonów w piłce młodzieżowej w City 76, a potem przez jeden sezon także w Kreisklasse. Dzięki temu mamy już doświadczenie z grania na niemieckich boiskach. Trenerem naszej drużyny jest też Marek Łągiewczyk [były zawodnik m. in. Odry Chojna – red.].

– Na razie chcemy przede wszystkim promować piłkę nożną wśród młodych ludzi i mieć satysfakcję, że możemy reprezentować nasz kraj poza granicami Polski – tłumaczy prezes nowopowstałej Husarii Schwedt. – To ma być fajna społeczność, a zawodnicy emocjonalnie związani z klubem.



Historia pokazuje, że przygraniczne zespoły, które stawiały na Polaków (Nadrensee, Preussen Bergholz) nie miały większych problemów na najniższym szczeblu rozgrywkowym.

Wręcz przeciwnie – szybko dołączały do czołówki i w konsekwencji, prędkiej czy później, świętowały awans do wyższej ligi. Ale Husaria Schwedt na razie tonuje nastroje.

Największym klubem w mieście jest FC Schwedt 02, które aktualnie występuje w Landeslidze Nord, czyli na siódmym poziomie rozgrywkowym (przez ten zespół również przewinęło się sporo naszych rodaków.

Jest kontynuatorem tradycji BSG Chemie PCK Schwedt, które za czasów NRD spędziło dziesięć sezonów na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej.

# ERZGEBIRGE AUE

---

KLUB KUMPLI Z MIASTA, GDZIE LUDZIE ŻYLI KRÓTKO, ALE DOSTATNIE

---

TO HISTORIA KLUBU, KTÓRY WYRÓSŁ NA PLECACH JEDNEGO Z  
NAJWIĘKSZYCH PRODUCENTÓW URANU NA ŚWIECIE...



Rudawy to malownicze pasmo górskie, które przy okazji w naturalny sposób wyznacza sporą część granicy niemiecko-czeskiej. Absolutnie nie są to jednak góry wysokie. Z polskiej perspektywy gabarytowo najbliższe im do Bieszczad. Najwyższym szczytem całego pasma jest położony w Czechach Klínovec (1244 m n. p. m.), a po stronie niemieckiej Fichtelberg (1214 m n. p. m.). Do 1990 r. był to zarazem najwyższy szczyt całej NRD. Po zjednoczeniu Niemiec siłą rzeczy zniknął z atlasów. Nie mając podjazdu do Zugspitze czy innych alpejskich gigantów.

Za czasów słusznie minionych okolica była też prężnie działającym ośrodkiem skoków narciarskich. To stąd pochodzi jeden z najbardziej utytułowanych zawodników w historii tej dyscypliny – Jens Weissflog, który przez pierwszy etap swojej kariery (lata 80-te) reprezentował jeszcze NRD. W Rudawach urodzili się też m. in. Sven Hannawald oraz Richard Freitag, a skocznia w Klingenthal często gości w kalendarzu Pucharu Świata. Ale generalnie skoki w Rudawach zdają się jednak być w odwrocie, bo aktualnie największymi gwiazdami niemieckiej kadry są przede wszystkim Bawarczyści (Geiger, Wellinger czy Eisenbichler).

\*\*\*

Dzisiaj Rudawy to przede wszystkim urokliwy, pagórkowy krajobraz z malowniczymi wsiami oraz miasteczkami pochowanymi w dolinach. Jedną z takich miejscowości jest Aue, które w 2019 r. połączyło się z sąsiednią gminą i przyjęło nazwę Aue-Bad Schlema. Ale nawet po tej fuzji liczba mieszkańców to niespełna 19 tys., więc gdyby nie pewien ciąg wydarzeń, to dzisiaj pewnie nikt nie potrafiłby wskazać na mapie tej górskiej miejscinki.

Generalnie już w średniowieczu korzystano z wielu zasobów naturalnych Rudaw (srebro, cyna, żelazo) i okolica dość szybko określiła się jako górnicza, ale czasy prawdziwego prosperity przyszedł dopiero po zakończeniu II wojny światowej. Bo jeszcze w pierwszej części XIX w. Aue było zapyziałą dziurą w górskiej dolinie, w której mieszkało ok. tysiąca osób. Gdy złożyła się wyczerpywały, to nastawał głód.

*„Kiepskie bryły domów, ustawionych w dwie, trzy aleje, przywodzą na myśl średniowiecze”* – pisał w 1848 r. niemiecki kronikarz Johann Traugott Lindner.

Okres industrializacji w całej Europie oczywiście pozytywnie wpłynął także na Aue, które od XX w. zaczęło się rozwijać zdecydowanie dynamiczniej, jednak – tak, jak wspominałem wcześniej – prawdziwa zabawa zaczęła się w okolicy dopiero po wojnie.

Sowieci od razu rzucili się bowiem do poszukiwania rud uranu w swoich strefach wpływu. A uran był niezbędny do majstrowania przy bombach atomowych. Już w 1946 r. okazało się, że Rudawy to strzał w dziesiątkę. Na kolejne dekady zostały największym producentem uranu dla Moskwy za żelazną kurtyną.

W okolicy powstało gigantyczne przedsiębiorstwo Wismut – tak naprawdę w całości kontrolowane przez ZSRR. Często nazywane państwem w państwie. Wismut był jednym z największych producentów uranu na świecie. W szczytowym momencie liczba pracowników przekraczała 100 tys.

To była największa radziecka operacja poza granicami kraju, która napędzała rozwój przemysłu nuklearnego.



Na początku zakładem zawiadowało NKWD, które wprowadziło zamordystyczne metody, ale z czasem zmieniono politykę. Zachęcając do podjęcia pracy wysokimi zarobkami, emeryturą górniczą, mieszkaniami, większymi racjami żywnościowymi, kartkami i dodatkami.



Oczywiście nikt nie przejmował się takimi niuansami, jak degradacja środowiska oraz wpływ promieniowania na zdrowie górników, którzy umierali na nowotwory.

– Ludzie żyli tutaj krótko, ale dostatnie – powiedział kiedyś Andrzej Juskowiak. Reprezentant Polski i wicemistrz olimpijski z Barcelony w Aue kończył swoją karierę.

Przy tak dużym zakładzie siłą rzeczy musiał powstać porządný klub sportowy z flagową sekcją piłkarską, ale chyba nikt nie spodziewał się, że drużyna z górskiego miasteczka położonego niemal na samym końcu świata napisze aż tak spektakularną historię.

BSG Wismut Aue dotarł do DDR-Oberligi (najwyższa klasa rozgrywkowa) już w 1951 r. i nie opuścił jej aż do... 1990 r.

To oznacza, że BSG Wismut ma najwięcej rozegranych sezonów (38) i meczów (1019) w elicie spośród wszystkich klubów w całej historii futbolu w NRD.

Ale niewiele brakowało, żeby historia piłki w Aue skończyła się bardzo szybko. W 1954 r. w okolicy powstał nowy klub sportowy SC Wismut Karl-Marx-Stadt (dzisiejsze Chemnitz). To tutaj znajdowała się siedziba całego przedsiębiorstwa, a jedno z największych miast w kraju dawało większe perspektywy na płynny rozwój sportowy niż górskie miasteczko.

Zdecydowano, że nowy klub przejmie sekcję piłkarską z Aue razem z miejscem w najwyższej klasie rozgrywkowej. Wywołało to protesty mieszkańców miasteczka (górnicy grozili strajkiem) oraz osób zarządzających klubem, które dały efekt. Piłkarze co prawda musieli zmienić nazwę na SC Wismut Karl-Marx-Stadt, ale zostali w Aue i mogli grać na swoim stadionie.

Mariaż miał też swoje plusy, ponieważ zespół mógł liczyć na większe wsparcie finansowe i w drugiej połowie lat 50-tych – już jako SC Wismut Karl-Marx-Stadt grający w Aue – zaczął osiągać największe sukcesy w swojej historii: trzy mistrzostwa kraju (1956, 1957, 1959), wicemistrzostwo (1955) i Puchar NRD (1955).

\*\*\*

SC Wismut był również pierwszym klubem z NRD, który wziął udział w utworzonym w 1955 r. Pucharze Europy Mistrzów Klubowych (czyli dzisiejszej Lidze Mistrzów). W rundzie wstępnej edycji 1957/1958 wyeliminował Gwardię Warszawa. I co ciekawe do rozstrzygnięcia potrzebne były aż trzy mecze oraz... rzut monetą.

W pierwszym spotkaniu Gwardia, na oczach 30 tys. widzów, wygrała u siebie 3:1. W rewanżu w Aue górą byli piłkarze z NRD, którzy też ograli warszawiaków 3:1. Zgodnie z ówczesnymi przepisami konieczne było rozegranie trzeciego, decydującego meczu.

Spotkanie odbyło się na berlińskim Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark. Gwardia strzeliła gola na 1:0 już w 3. minucie, SC Wismut wyrównał w 90. Trzeba było grać dalej, ale w 100. minucie na stadionie padło oświetlenie. O awansie do kolejnej rundy decydował więc rzut monetą. Los przepchnął dalej zespół z NRD, który kolejnej przeszkody już nie przebrnął i odpadł po dwóch porażkach z Ajaxem Amsterdam.

W kolejnej edycji Pucharu Europy 1958/1959 NRD znowu reprezentował SC Wismut (jeśli coś wam nie gra z datami, to dlatego, że wówczas w NRD ligę rozgrywano przez jakiś czas systemem wiosna-jesień).

Tym razem piłkarze z Aue spisali się lepiej i dotarli do ćwierćfinału, ale w dwóch z trzech przypadków do rozstrzygnięcia znowu potrzebny był trzeci mecz. Wismut wyeliminował rumuński Petrolul Ploiești (w trzecim meczu) i szwedzki IFK IFK Göteborg (dwa mecze), a w ćwierćfinale – po trzecim spotkaniu – musiał uznać wyższość szwajcarskiego Young Boys Berno.

Trzecie (i ostatnie) spotkanie z najważniejszymi klubowymi rozgrywkami w Europie to sezon 1960/1961 (efekt mistrzostwa z 1959 r.). Rundę wstępną Wismut przeszedł bez walki (irlandzki Glenavon oddał dwumecz walkowerem), natomiast w kolejnej zespół z Aue został wyeliminowany przez Rapid Wiedeń (oczywiście znowu trzeba było zagrać trzy razy).

Najciekawsze spotkania w Europie oglądało w Aue nawet po 30 tys. widzów.

\*\*\*

W 1963 r. – po niespełna dekadzie funkcjonowania – SC Wismut Karl-Marx-Stadt został rozwiązany. Stwierdzono, że mieście trzeba postawić na jeden silny klub, zamiast *rozwadniać* potencjał na dwóch *prospektów*.

SC Wismut zamknięto, a palmę pierwszeństwa w mieście przejął SC Motor Karl-Marx-Stadt, z którego kilka lat później – po reformach – wyłonił się piłkarski FC Karl-Marx-Stadt, który to z kolei po upadku NRD stał się dzisiejszym Chemnitzerem FC.

Sekcja piłkarska odzyskała natomiast niezależność i na stałe wróciła do górskiego miasteczka. Od 1963 r. aż do upadku NRD klub nosił pierwotną nazwę BSG Wismut Aue.

Powrót do macierzy miał też swoje negatywne konsekwencje.

Po pierwsze kilku ważnych zawodników zostało w drugim klubie z Karl-Marx-Stadt, który też grał w elicie (woleli mieszkać w dużym mieście), a wsparcie finansowe zostało ograniczone.

Dzięki temu mógł jeszcze dwa razy zagrać w Europie (Puchar UEFA). Już w 100 proc. na własny rachunek. W sezonie 1985/1986 Wismut Aue w 1. rundzie musiał uznać wyższość Dnipro Dnipropietrowsk, natomiast dwa lata później udało się przejść pierwszą przeszkodę, ale występ trudno było uznać za spektakularny.



W związku z tym BSG Wismut Aue – choć w elicie grał nieprzerwanie do 1990 r. – nie nawiązał już do dawnych sukcesów. Nigdy nie stanął na podium, przeważnie będąc drużyną dolnej części ligowej tabeli. Z nieprawdopodobną wręcz regularnością plasując się na miejscach 9–11, tuż nad strefą spadkową. Dwa nieco lepsze sezony nadeszły dopiero w drugiej połowie lat 80-tych, kiedy Wismut dwukrotnie finiszował tuż za podium.

Amatorski Valur Reykjavík udało się wyeliminować tylko dzięki zasadzie goli na wyjeździe (remisy 0:0, 1:1), natomiast odpadnięcie z albańskim KS Flamurtari Vlora w kolejnej fazie trudno było w jakikolwiek sposób racjonalnie usprawiedliwiać.

Wismut w tamtym okresie zapisał też na konto występy w mniej prestiżowym Pucharze Intertoto.



Czy kibice w Aue – po czasie – żałowali, że projekt SC Wismut Karl-Marx-Stadt, który gwarantował sukcesy tak szybko się zakończył? Absolutnie nie, co znakomicie oddaje mentalność kibiców za Odrą. Lokalny patriotyzm i przywiązanie do tradycji są tam ważniejsze niż pełna gabłota.

Ostatnie trzy sezony jako SC Wismut Karl-Marx-Stadt grający w Aue (1960–1963) to średnia frekwencja na trybunach wynosząca nieco ponad 5 tys. widzów. Później – tak, jak pisałem wcześniej – sekcja piłkarska wraca do miasteczka i znowu staje się pełnoprawną częścią BSG Wismut Aue. Wyniki zdecydowanie się pogarszają, ale kibice mają świadomość, że to znowu w 100 proc. jest ich klub. Średnia frekwencja od razu skacze do 9 tys., a potem będzie dalej rosła.

W latach 1980–1990 tylko w trakcie trzech sezonów średnia widzów spadła poniżej 10 tys. Rekord to średnio 12 538 kibiców na domowych meczach w sezonie 1981/1982, kiedy Wismut Aue kończy zmagania na 10. miejscu. To była wówczas piąta frekwencja w kraju. Przed BFC Dynamo, LOK Lipsk, Carl Zeiss Jena, Zwickau, Halle czy Energie Cottbus. A trzeba pamiętać, że choć w Aue prężnie działało wówczas górnictwo, to i tak w latach 80-tych w mieście mieszkało niecałe 30 tys. ludzi.

\*\*\*

Sezon 1989/1990 – przedostatni przed zjednoczeniem rozgrywek w Niemczech – zakończył się katastrofą i pierwszym spadkiem w historii klubu, który od 1951 r. nieprzerwanie grał w najwyższej klasie rozgrywkowej. Wismut i tak miał wówczas czwartą frekwencję w kraju (prawie 10 tys. widzów na mecz).

Po spadku Fiołki potrzebowały trochę czasu, żeby się otrząsnąć, ale niewiele brakowało, żeby zespół z Aue stanął przed szansą na grę w barażach o 2. Bundesligę. Zwycięzcy obu grup DDR-Ligi (zaplecze najwyższej klasy rozgrywkowej) mieli bowiem prawo powalczyć o bilety do zjednoczonej 2. Bundesligi z drużynami, które w ostatnim sezonie przed piłkarskim zjednoczeniem Niemiec finiszowały w dolnej połowie tabeli DDR-Oberligi.

W trakcie sezonu 1990/1991 nowy trener Klaus Toppmöller (porównywał klub z Aue do Schalke 04 – duże zainteresowanie piłką w górniczym mieście, w którym futbol jest największą atrakcją) zbudował silną drużynę, która dołączyła do ligowej czołówki na zapleczu. Na dwie kolejki przed końcem drugi w tabeli Wismut miał dwa punkty straty do liderującego FSV Zwickau (wówczas za wygraną przyznawano dwa oczka). Oba zespoły spotkały się w Derbach Zachodniej Saksonii właśnie w przedostatniej serii gier.

Mecz w mieście Trabanta trwał tylko 66 minut. Ponad 11 tys. kibiców na trybunach stadionu w Zwickau było w szoku. Liczyli, że ich drużyna przypieczętuje pierwsze miejsce i grę w barażach o 2. Bundesligę, tymczasem gospodarze wyszli na boisko sparaliżowani. Zespół z Aue grał koncertowo i prowadził 4:1. W drugiej połowie doszło do gigantycznej zadymy na stadionie i sędzia (też był goniony) zdecydował, że spotkanie – ze względów bezpieczeństwa – należy przerwać (m. in. jeden z zawodników gości został pobity i doznał urazu głowy). Kibole ze Zwickau po przedwczesnym zakończeniu spotkania nie odpuścili i obrzucili kamieniami autokary z zawodnikami oraz kibicami. Przedsiębiorstwo transportowe z Aue straty wyceniło na 30 tys. marek.

Kilkadziesiąt godzin później związek zdecydował, że za wiązacy należy uznać wynik z momentu przerwania spotkania, czyli 4:1 dla Wismutu.

Zwickau dostało też karę finansową oraz nakaz gry przy pustych trybunach.

Zespół z Aue zagrał u siebie z ligowym średniakiem Motorem Weimar, natomiast Zwickau pojechało na wyjazd do zdegradowanego FSV Kali Werra Tiefenort. Wismut w swoim meczu miał gigantyczną przewagę, ale długo nie potrafił jej przełożyć na gole.



Goście w pierwszej połowie wyszli nawet na prowadzenie 1:0. Ostatecznie Wismut wygrał 4:1.

Ale to i tak nie wystarczyło do tego, żeby przypieczętować pierwsze miejsce. Zwickau swoje spotkanie wygrało bowiem aż... 9:0. W Tiefenortcie był jeden z trenerów grup młodzieżowych Wismutu i po każdym голу biegł do telefonu w pobliskim budynku, żeby meldować do Aue o wyniku w meczu Zwickau.

W drugiej połowie przestał nadążyć, bo w ciągu kwadransa FSV strzeliło aż... pięć bramek. Wiele osób z klubu w sercu Rudaw do dzisiaj uważa, że ten mecz był po prostu z góry ustawiony.

To były jednak wszystkie konsekwencje ekscesów. FSV – wbrew żądaniom i protestom działaczy z Aue – nadal mogło grać o miejsce w barażach i wygranie ligi. Przed ostatnią kolejką obie drużyny miały tyle samo punktów. Co istotne – liczył się nie bilans spotkań bezpośrednich, a bramkowy. Tutaj Wismut miał pięć goli zapasu.

W niektórych relacjach można było przeczytać, że bramkarz z drużyny Kali Werra uśmiechał się po straconych golach.

FSV Zwickau – w mocno kontrowersyjnych okolicznościach – wywalczył prawo gry w barażach o 2. Bundesligę, ale nic w nich nie zwojował. Wszystkie mecze u siebie rozgrywając przy pustych trybunach.

Klub nową rzeczywistość powitał więc w rozgrywkach regionalnej Oberligi i wydawało się, że po zjednoczeniu Niemiec czeka go wegetacja i stopniowy upadek. Przedsiębiorstwo Wismut przeszło do historii i nie było przesłanek, że w okolicy nagle znajdą się środki, żeby w małym, upadającym miasteczku byłej NRD utrzymać piłkę na choć względnie przyzwoitym poziomie. Aue bez kopalni stało się prowincjonalną miejsciną bez przyszłości.

W latach 1991–1994 średnia frekwencja na stadionie nie przekraczała 2 tys. widzów, a klubowi groziło bankructwo. Na szczęście lokalna społeczność możliwie szybko otrząsnęła się z pozjednoczeniowego chaosu i nie pozwoliła na upadek drużyny z tak bogatą historią, która była zarazem symbolem górskiego regionu.

W 1993 r. zmieniono nazwę z Wismut na FC Erzgebirge Aue (*Erzgebirge* to niemiecka nazwa Rudaw), a wokół klubu pojawiło się grono miejscowych sponsorów. Na czele z braćmi bliźniakami – Uwe i Helge Leonhardtami, których era w klubowych gabinetach zakończyła się dopiero w poprzednim, 2022 r. Zaraz po zjednoczeniu zaczęli od małego salonu samochodowego, a dzisiaj są milionerami i właścicielami wielkiego holdingu. Przez trzy dekady byli twarzami FC Erzgebirge.

– *Celowo wybraliśmy nazwę Erzgebirge, żeby oddziaływać na cały region i na nowo zainteresować mieszkańców futbolem* – tłumaczy bracia Leonhardt.

Erzgebirge i jego właściciele mieli być sygnałem dla miejscowej ludności, że w biednym i trudno dostępnym regionie można coś osiągnąć. Mówiono, że bracia uczynili klub wielkim, utrzymując go małym.

Oczywiście nie brakowało przy tym kontrowersji, a kibicom często nie podobał się autorytarny i staroświecki styl rządów twardej ręki. Być może dlatego w ostatnich latach zaczęli sukcesywnie tracić wpływy w gabinetach.

\*\*\*

Ale koniec końców ocena ich rządów musi być pozytywna. Erzgebirge cierpliwie umacniało swoją pozycję po zjednoczeniu Niemiec i w sezonie 2003/2004 zadebiutowało w 2. Bundeslidze. Łącznie spędziło na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej aż 16 (!) sezonów (2003–2008, 2010–2015, 2016–2022). Bracia Leonhardt zwykli mówić, że każdy kolejny sezon *Fiołków* na zapleczu elity można porównać do kolejnego mistrzostwa kraju zdobytego przez Bayern.

To powoduje, że Erzgebirge to jeden z najlepszych i najbardziej stabilnych zespołów pochodzących z byłej NRD. Klub z małego miasteczka w sercu gór od wielu lat gra na nosie dawnym rywalom ze zdecydowanie większych ośrodków miejskich, którzy nie potrafili odnaleźć się w zjednoczonych Niemczech (Drezno, Lipsk, Chemnitz, Zwickau, Magdeburg). *Fiołki* – zgodnie z planem swoich sponsorów – stały się przy okazji klubem całego górskiego regionu.

Od 2003 r. do czasów pandemii średnia frekwencja na miejscowym stadionie nigdy nie spadła poniżej 8 tys. widzów, a w jednym z sezonów dobiła do 13 tys.

Jeśli nie jesteście w stanie uświadomić sobie skali sukcesu, to wyobraźcie sobie, że np. w jakimś miasteczku na Dolnym Śląsku (np. Kamienna Góra) jest klub, na który chodzi 10 tys. widzów.



Erzgebirge Aue – podobnie, jak np. Energie Cottbus – swego czasu chętnie korzystało z polskich piłkarzy.

Bogate, wręcz imponujące karty w Aue zapisali szczególnie: Andrzej Juskowiak, Tomasz Bobel i przede wszystkim Tomasz Kos.

Napastnik karierę zakończył właśnie w Aue, a klub – z tej okazji – zorganizował u siebie towarzyski mecz z Lechem Poznań, który oglądało 2,5 tys. widzów.

Juskowiak zagrał po połowie w obu drużynach, a mecz 4:2 wygrał zespół z Wielkopolski.



Juskowiak grał w Erzgebirge w latach 2004–2007. Pomimo tego, że był już grubo po 30-stce – imponował strzelecką formą i zapisał się w dziejach klubu (z 33 golami na koncie jest jednym z najsukuteczniejszych zawodników Erzgebirge w historii występów tego zespołu w 2. Bundeslidze). W lokalnych mediach można przeczytać, że w Aue nigdy nie było wielkich gwiazd, ale jeśli już takowych szukać, to do tego wąskiego grona na pewno należy Juskowiak.

Tomasz Bobel spędził w górniczym miasteczku cztery lata (2004–2008) i bronił z różnym szczęściem. Były sezony, kiedy miał pewne miejsce w składzie oraz został nawet wybrany najlepszym bramkarzem 2. Bundesligi, ale miewał też znacznie gorsze momenty. Bobel zmagął się z kontuzjami (m. in. musiał poddać się operacji barku) i przegrywał rywalizację o miejsce między słupkami z Axelem Kellerem.

U schyłku swojej przygody z Erzgebirge udało mu się „zluzować” głównego rywala, ponieważ ten wolął być przy narodzinach córki niż grać mecz, czym mocno podpadł w klubie.

W 2008 roku „Fiołki” zleciały jednak z 2. Bundesligi i Bobel zdecydował się na zmianę otoczenia. Na chwilę wylądował w Azerbejdżanie, potem intensywnie wygrzewał ławkę rezerwowych w Bayerze Leverkusen.

Tomasz Kos – z racji swojego nazwiska oraz pozycji – był często mylony z bardziej znanym Tomaszem Kłosem (razem zdobyli mistrzostwo Polski z ŁKS-em w 1998 roku). W trakcie kariery mocno niedoceniony, a dzisiaj raczej zapomniany.

Niestuszenie, ponieważ niewielu naszych zawodników – szczególnie w pierwszej dekadzie XXI wieku – potrafiło przez wiele lat stanowić o sile drużyny na zachodzie Europy i jeszcze zapracować w niej na opaskę kapitańską.

Kos w barwach Erzgebirge rozegrał ponad 200 spotkań (większość w 2. Bundeslidze) i to w fioletowych barwach zakończył przygodę z profesjonalnym futbolem (podobnie jak Andrzej Juskowiak).

Do dzisiaj jest bardzo ciepło wspominany przez kibiców, którzy zgotowali mu gorące pożegnanie na koniec kariery i nadal uważają go za jednego z najlepszych zawodników grających w klubie z Rudaw po zjednoczeniu Niemiec.

Zresztą po zawieszeniu butów na kołek na stałe osiadł w Aue, gdzie jego żona prowadzi restaurację i – dzięki temu – ciągle bywa na meczach, będąc na bieżąco z życiem klubu.

– Można powiedzieć, że spiąłem swoją karierę taką klamrą, zaczynając od niewielkich Pniew i kończąc w niewiele większym Aue. Z perspektywy czasu Aue okazało się bardzo dobrym wyborem. A przeżyłem tutaj dosłownie wszystko: zmiany trenerów, spadek do trzeciej ligi, powrót na zaplecze Bundesligi... W Aue poznałem też mnóstwo świetnych osób. Ludzie są tutaj otwarci, aczkolwiek twardo stąpają po ziemi – wspominał po latach w rozmowie z oficjalną stroną ŁKS-u. – Po siedmiu latach widocznie zasłużyłem na takie miłe chwile [pożegnanie zorganizowane przez fanów – red.]. W Aue bardzo ceni się pracowitość i najwyraźniej dostrzeżono ją u mnie. Piłkarsko mogło coś się nie udawać, ale na boisku musiała być walka od pierwszej do ostatniej minuty. Gdy ludzie widzieli, że schodzimy z boiska maksymalnie zmęczeni i po prostu przegraliśmy, bo byliśmy słabsi, umieli to docenić. Nie było gwizdów czy wyzywk, które spotyka się czasem na innych stadionach. Warto też spojrzeć na frekwencję. Prawie zawsze było na meczach powyżej 10 tysięcy osób, a stadion mógł pomieścić 16 tysięcy przy około 17 tysiącach mieszkańców. Czyli regularnie ponad pół miasta przychodziło nas oglądać, a czasem nawet i całe.

Jest honorowym obywatelem Koła (miasto rodzinne). Spekulowało się, że był blisko wyjazdu na mundial w Korei (rozegrał trzy mecze w kadrze narodowej). Dzisiaj próżno szukać go w mediach (również społecznościowych), od których stroni. W wywiadach żartuje, że mocno odczuwa różnicę pokoleniową i był jednym z ostatnich zawodników, którzy grali w czarnych korkach, a do autokaru wsiadali z gazetą a nie telefonem w rękę. To jeden z powodów, które zniechęciły go do podjęcia pracy szkoleniowej.

W tym sezonie Erzgebirge musiało się oswoić z trzecioligową rzeczywistością. Spadek był m. in. efektem czasów pandemii, która mocno uderzyła w małe kluby, których budżet składał się z rozproszonego kapitału od grupy mniejszych sponsorów.

Na szczęście bałagan w porę posprzątał stary-nowy trener Pavel Dotchev. Bułgar pracował już w Aue w latach 2015–2017. Wtedy również przejął zdegradowany do 3. Ligi zespół i z powrotem wprowadził go na zaplecze. Tym razem chodziło tylko o to, żeby uniknąć spadku.



Zadanie udało się wykonać bez większych problemów, dlatego na ostatni domowy mecz Erzgebirge w tym sezonie (z innym spadkowiczem z 2. Bundesligi – FC Ingolstadt) jechałem przede wszystkim po to, żeby poczuć wyjątkowy klimat Erzgebirgsstadion.

Nie zawiodłem się.

\*\*\*

Jadąc malowniczą, krętą drogą od strony Chemnitz stadion wydaje się ostatnią rzeczą, której możesz się spodziewać na tej trasie. Są góry, lasy, a na horyzoncie majaczą strzeliste wieże wiejskich kościołów.

Aż nagle wyjeżdżasz zza jednego z zakrętów i... widzisz jupitery.

Fiolki fatalnie zaczęły sezon 2022/2023 w 3. Lidze. Pierwszy mecz wygrały dopiero w 10. kolejce i aż do stycznia pozostawały w strefie spadkowej. Erzgebirge poważnie groził drugi spadek z rzędu. Tym razem na czwarty poziom rozgrywkowy, co na wiele lat mogłoby zahamować rozwój klubu i pogrzebać cały kapitał zbudowany przez dwie dekady.

Stadion jest położony na samym wjeździe do miasteczka i pięknie wkomponowany pomiędzy okoliczne wzgórza. W tej okolicy naprawdę od razu można się zakochać, choć teoretycznie sporych rozmiarów obiekt sportowy w ogóle tutaj nie pasuje.

Bo klimat wokół jest taki sielankowy, wiejski, prowincjonalny.



Stadion w obecnej formie funkcjonuje od 2017 r., kiedy zakończyła się gruntowna przebudowa. Erzgebirgsstadion zmienił się wtedy z obiektu wielofunkcyjnego w klasyczną arenę piłkarską. Cała inwestycja kosztowała niecałe 20 milionów euro (nie przekroczono budżetu) i nie ma wątpliwości, że została idealnie skrojona pod potrzeby takiego klubu. Możliwie prostymi środkami (dach z blachy, krzesła na prostych betonowych trybunach oraz jupitery pozostawione z poprzedniego stadionu) stworzono klimatyczne miejsce, z perspektywy którego – niezależnie od sektora – świetnie ogląda się boiskowe wydarzenia. Stadion w tej chwili może pomieścić 16,5 tys. widzów. Trybuna za bramką (młyn) oraz sektor gości to dobrze znane w Niemczech strefy bez miejsc siedzących.

Kibiców zmierzających na mecz wita napis *Willkommen im schacht*, czyli Witamy w szybie. To tylko początek wielu nawiązań do górniczej tradycji, z którymi na meczach w Aue spotkamy się na każdym kroku. Na samym stadionie wrażenie robi też tunel, którym piłkarze wychodzą na boisko. Jest stylizowany na stary, drewniany chodnik górniczy.

\*\*\*

Głównym sloganem klubu jest hasło *Kumpelverein*, czyli *Klub Kumpli*. W języku niemieckim słowo *kumpel* ma jednak podwójne znaczenie. To nie tylko koleżka, ale także – w mowie potocznej – określenie na górnika pracującego w kopalni. Za czasów NRD pracownicy Wismutu dostawali nawet przydziałową berbeluchę bez akcyzy, którą nazywano *Kumpelto*, czyli *Górnicza Śmierć*. Z perspektywy Erzgebirge nie można wymyślić lepszego hasła.

Na ostatni mecz z FC Ingolstadt zorganizowano nawet akcję pod tytułem zabierz swojego kumpla na mecz i drugi bilet sprzedawano za symboliczne pięć euro. Proste, skuteczne i na zdecydowanie na wyższym poziomie niż polska myśl marketingowa, która do biletów dorzuca gacie piłkarza z autografem albo symboliczną zniżkę do fanshopu na kolekcję, której trzeba pozbyć się z magazynów.

\*\*\*

Choć w tym roku minęło 30 lat od momentu, kiedy klub zmienił się w FC Erzgebirge Aue, to kibice nadal używają przede wszystkim starej nazwy oraz starego herbu z dwoma skrzyżowanymi młotkami górniczymi. Erzgebirge po prostu akceptują, ale przesadnie się z tą nazwą nie identyfikują.

*Wir kommen aus der Tief, wir kommen aus dem Schacht – Wismut Aue, die neue Fußballmacht (Przychodzimy z głębin, przybywamy z szybu – Wismut Aue to nowa piłkarska potęga)* – to ciągle jedna z bardziej popularnych przyśpiewek na stadionie.

\*\*\*

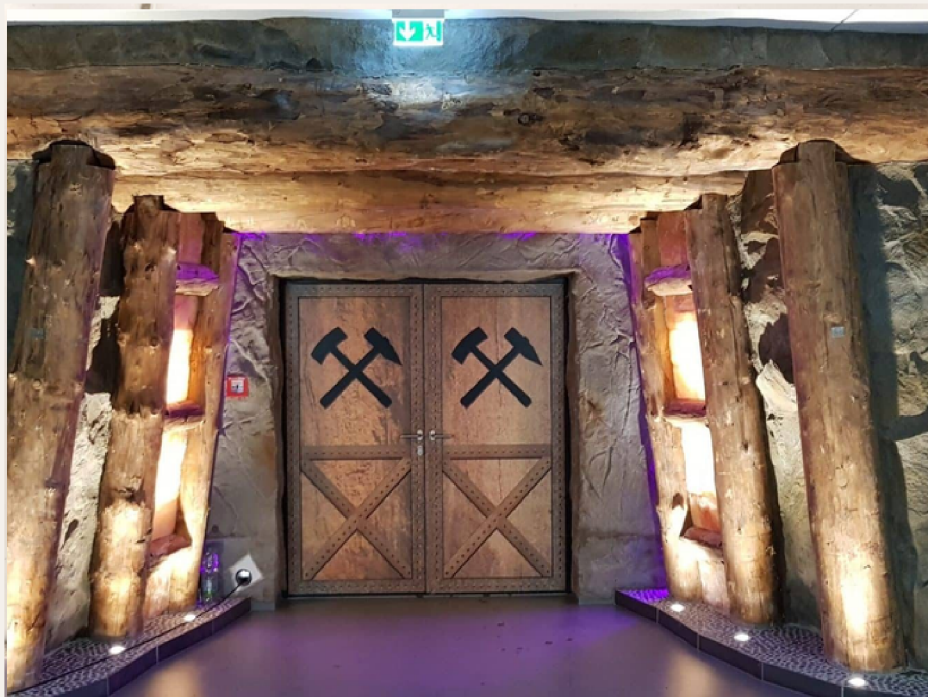
Mecz z FC Ingolstadt oglądało prawie 9,5 tys. widzów, co jest jednym z lepszych wyników w tym sezonie, który na początku zapowiadał się katastrofalnie (rekord to 13 tys. na derbach z Dynamem Drezno). Swoje zrobiła promocja na bilety, piękna pogoda oraz możliwość pożegnania kilku piłkarzy, którzy kończą swoją przygodę z Erzgebirge.

Przed wszystkim azerskiego rozgrywającego Dimitrija Nazarova, który grał tutaj od 2016 r.

Wielu kibiców niemal do gwizdka raczyło się piwem w okolicach obiektu, natomiast młyn szczelnie nabity był już na godzinę przed rozpoczęciem spotkania. Gdy piłkarze wybiegli na rozgrzewkę, to zostali powitani głośnymi okrzykami *Glück auf!*, czyli niemieckim odpowiednikiem znanego z polskich kopalni szczęść Boże!

Główna grupa kibiców Erzgebirge nosi nazwę „Fialova Sbor”, która została zaczerpnięta z języka czeskiego (do granicy jest stąd 30 km).

Można to dosłownie przetłumaczyć na „fioletowy chór”, ale jeśli ktoś dobrze zna język czeski, to od razu zauważy błąd.



Kibice Erzgebirge to uznana marka w byłej NRD. Zahartowana w boju – otoczona przez trzy kosy z większych miast w okolicy: Dynamo Drezno, Chemnitzer FC i FSV Zwickau. O miejscowych ultrasach głośno zrobiło się podczas pandemii, kiedy zgłosili się na ochotników do odśnieżania murawy podczas meczu w śnieżycy. Dostali się na zamknięty dla publiczności stadion, a topaty posłużyły im – zamiast bębna – do wybijania rytmu w czasie dopingu.

Poprawną formą byłaby nazwa „Fialovy Sbor”, ale kibicom w Aue, posługującym się saskim akcentem, trudno było wymówić to słowo, dlatego litera „y” została zamieniona na „a”. Fanatycy Erzgebirge używają też nazwy „Gonzo Ultras”, a w logo umieścili postać Raoula Duke’a znanego z filmu „Las Vegas Parano”. Ma być symbolem przyjaźni oraz „inności”, odrębności. Coś w tym jest, bo kibice w Aue oficjalnie nie mają żadnej zgody i są niemiłe widziani w Saksonii.

Mecz z innym ligowym średnikiem (sztucznym tworem FC Ingolstadt 04) zupełnie popsuł święto miejscowym kibicom, którzy chcieli w dobrych humorach zakończyć sezon na własnym stadionie. Gospodarze w pierwszej fazie meczu niby atakowali i mieli optyczną przewagę, ale zaledwie w 80 sekund (pomiędzy 23. a 24. minutą) stracili dwie bramki i zupełnie się rozsypali. Chwilę później dostali jeszcze trzeciego gola i było po zabawie.

W drugiej połowie obie drużyny czekały już na końcowy gwizdek i na murawie działo się niewiele. Pozostało wyłapywać kolejne smaczki z trybun. Następnym *tożsamościowym elementem* na stadionie są dzwonki z górniczej windy, które sygnalizują, że warto w danym momencie spojrzeć na telebim (statystyki, wyniki innych spotkań, frekwencja).

Słowo trzeba też poświęcić fanom gości. Nielicznym, funkcjonującym w klimacie podobnym do RB Lipsk czy Hoffenheim, ale – mimo wszystko – świetnie się bawiącym.. Ze skromną oprawą, pirotechniką (przebierali się pod małą sektorówką!) i bębniarzem, który dawał radę.

Dobra zabawa gości ewidentnie zirytowała piknikowych kibiców Aue siedzących w okolicy, którzy w przerwach pomiędzy kolejnymi porcjami nudeltopf (miejscowy przysmak, który jest klasykiem tutejszego stadionu) ironizowali z ich bawarskiego akcentu.

– Dlaczego oni śpiewają Ingotat, zamiast Ingolstadt? – retorycznie pytał jeden z kibiców Fiołków.

Humory poprawiły się po końcowym gwizdku, kiedy przez dwie godzinki – na koszt klubu – za jedną z trybun – można było się raczyć darmowym browarem i innymi napojami. Kumpelverein pełną gębą.

W sumie o to w tym wszystkim chodzi. O klimat, a nie o to, czy ten albo tamten trafi piłką do siatki.

\*\*\*

A klimat w Aue jest świetny i na pewno tam wrócę. Szczególnie jeśli po meczu widzisz, jak dziesiątki osób... przez las wracają na piechotę ze stadionu Erzgebirge do sąsiedniej wioski. I nie to jest to spotkanie w Kreisklasse, tylko na szczuble centralnym.





# Polski odcień regionalnego Pucharu Niemiec

czerwiec



Bayern Monachium albo Borussia Dortmund grająca mecz zaledwie 30 km od polskiej granicy? Naprawdę była taka możliwość. I to nie jest żaden clickbait.

Zacznijmy od tego, że Puchar Niemiec to wielkie święto i wzór dla całej Europy, jak organizować rozgrywki tego typu. Pierwsza runda jest rozgrywana w weekend, żeby wszyscy zainteresowani mogli dotrzeć na trybuny (a na jakieś wymyślone przez Polsat mecze w środę o godz. 12) i biorą w niej udział absolutnie wszyscy uczestnicy. Do gry od razu wjeżdżają Bayern, Borussia czy RB Lipsk.

Często dochodzi więc do sytuacji, że jakiś gigant niemieckiej piłki na dzień dobry przyjeżdża w weekend do prowincjonalnego klubiku z niższej ligi i mamy do czynienia z wielkim świętem futbolu. Ale żeby podarować sobie tę odrobinę luksusu, to najpierw trzeba się trochę napocić i wywalczyć przepustki do pierwszej rundy DFB Pokal poprzez wygranie regionalnego Pucharu Niemiec w danym landzie.

Landespokal w przygranicznej Meklemburgii-Pomorzu Przednim był w ostatnich latach wyjątkowo specyficzny.

Mogą w nim brać udział zespoły z 3. Ligi, więc przez kilka sezonów prawo startu miała też wegetująca do niedawna na trzecim poziomie rozgrywkowym Hansa Rostock, która w tym ateistycznym landzie jest ważniejsza od Boga. W promieniu kilkuset kilometrów nie miała żadnego godnego rywala (następne zespoły z tego landu grały w 5. Lidze, razem... m. in. z rezerwami Hansy), więc sześć razy z rzędu zgarnęła puchar i przepustki do pierwszej rundy DFB Pokal.

W Meklemburgii przez lata nikt więc nie liczył na wygranie regionalnego pucharu, tylko po prostu chciał możliwie szybko wylosować Hansę, żeby zorganizować piłkarskie święto w swojej sennej miejscowości.

\*\*\*

Ale drużyna z Rostocku po dekadzie banicji na szczęście wróciła do 2. Bundesligi i od 2022 r. regionalny Puchar Niemiec w Meklemburgii-Pomorzu Przednim przestał być już objazdowym tourem dla piłkarzy Hansy, a stał się rywalizacją dla reszty klubów w regionie o pieniądze, prestiż i występ w Pucharze Niemiec.

Rok temu puchar padł łupem piątoligowego TSG Neustrelitz, które występu w pierwszej rundzie DFB Pokal nie będzie jednak wspominać zbyt miło. Nie dość, że losowanie nie okazało się specjalnie atrakcyjne (Karlsruher SC), to jeszcze rywale – na oczach 5 tys. widzów w Neustrelitz – zapakowali aż osiem goli, nie tracąc żadnego.

W tym sezonie do wielkiego finału Landespokal Mecklenburg-Vorpommern dotarł piątoligowy Rostocker FC oraz szóstoligowy FSV Einheit Ueckermünde.

W decydującym pojedynku kciuki należało trzymać za zespół z 6. Ligi i to nie tylko dlatego, że Ueckermünde leży tuż przy polskiej granicy. W finale – w pierwszym składzie FSV Einheit – wybiegło aż siedmiu Polaków, a trzech kolejnych weszło z ławki rezerwowych. Biorąc pod uwagę, że w kadrze jest też drugi bramkarz Cezary Szybka, to spokojnie można zmontować jedenastkę złożoną tylko z naszych rodaków. To sytuacja bez precedensu. Oczywiście wiele razy pisałem już o takich zespołach, jak w 100 proc. polskie Nadrensee czy Husaria Schwedt, ale to drużyny rywalizujące w niższych ligach, natomiast tutaj mamy do czynienia już z całkiem wysokim poziomem. Szczególnie że większość z tych zawodników jeszcze niedawno grała w 5. Lidze, w Torgelowerze FC Greif.

Rok temu wódatarze sąsiednich klubów z Torgelow i Ueckermünde doszli jednak do wniosku, że trzeba połączyć siły, ponieważ na dłuższą metę w tak wyludnionym i pozbawionym młodzieży regionie nie da się prowadzić dwóch drużyn w relatywnie wysokiej lidze.

Przed sezonem 2022/2023 Torgelower FC Greif dobrowolnie wycofał się więc z 5. Ligi (stwierdzono, że zbyt duże koszty funkcjonowania w Oberlidze nie będą sprzyjały fuzji) i poprzedni sezon spędził na ósmym poziomie rozgrywkowym. Najlepsi zawodnicy (czyli m. in. cała grupa Polaków) przeszła natomiast do grającego w szóstej lidze FSV Einheit Ueckermünde. Od nowego sezonu 2023/2024 fuzja zostanie już oficjalnie „skonsumowana” i do rywalizacji przystąpi nowy zespół pod nazwą SpVgg Torgelow – Ueckermünde. Pierwsza drużyna zagra w 6. Lidze (zastępując Einheit), natomiast rezerwy w 8. Lidze (zastępując Torgelower FC Greif).

Polski zaciąg poprowadził FSV Einheit – tuż przed fuzją – do największego sukcesu w historii. Zespół z Ueckermünde z ligowego średniaka stał się czołowym zespołem Verbandsligi (6. Liga) i najprawdopodobniej zakończy zmagania na drugim miejscu.

Przed wszystkim drużyna dotarła jednak do finału regionalnego Pucharu Niemiec i stanęła przed szansą na wygranie tego trofeum ze wszystkimi jego profitami w pakiecie.

A rajd FSV Einheit do finału był imponujący. We wcześniejszych rundach drużyna znad Zalewu Szczecińskiego klepała oczywiście rywali z niższych lig, ale w ćwierćfinale wyeliminowała piątoligowego obrońcę tytułu TSG Neustadt, a w półfinale sprawiła w zasadzie sensację i ograła u siebie Greifswalder FC 2:1. Greifswalder na co dzień gra w czwartej lidze (to druga siła w całym landzie) i był głównym faworytem do zgranięcia trofeum. Szczególnie że finał odbył się właśnie na ich stadionie.

Po takiej „ścieżce zdrowia” wydawało się, że FSV Einheit nie stoi na straconej pozycji w finałowej rywalizacji z wicemistrzem regionalnej 5. Ligi, czyli Rostockerem FC.

\*\*\*

Hanzeatyckie i uniwersyteckie miasto Greifswald (stąd pochodzi Toni Kroos) jest bez wątpienia jednym z najładniejszych w północno-wschodniej części kraju. Na całym szeroko pojętym polsko-niemieckim pograniczu wyróżnia się przede wszystkim tym, że nie zostało zniszczone w trakcie wojny. Weteran bitwy pod Stalingradem i komendant miasta w 1945 r. Rudolf Petershagen wynegocjował z Sowietami poddanie się miasta bez walki w zamian za niespalenie go przez Armię Czerwoną.

Stadion Ludowy w Greifswaldzie – choć ma prawie 100 lat i jest pięknie położony w parku – nie robi specjalnego wrażenia. Niedawno, z racji m. in. na awans Greifswalder FC do 4. Ligi, przeszedł delikatny remont. Ławki zostały zastąpione przez krzeselka, ale tak niewygodne, że trudno na nich wysiedzieć.

Bilety na finał kosztowały 10 euro (za miejsce stojące) i 15 euro (za miejsce siedzące). Abstrahując już od tego, że siedziska są niewygodne, a trybuna tak płaska, że siedząc w pierwszych rzędach tak naprawdę niewiele widać (dodatkowo jest bieżnia), to na obiekcie nie było żadnej kontroli i trzeba było być zwykłym frajerem, żeby dołożyć tę piątkę. Jak chciałeś, to siadałeś.

Sam mecz miał natomiast bardzo fajną oprawę. Wszystkie finały regionalnego pucharu są bowiem rozgrywane jednego dnia (o trzech różnych porach). Transmisję, która łącznie trwa siedem godzin prowadzi natomiast ogólnokrajowy nadawca ARD, który przełącza się pomiędzy meczami i pokazuje je na żywo. Jest komentarz, są ścianki, wywiady, kilka kamer. Wieczorem, na koniec dnia, odbywa się natomiast właściwy finał Pucharu Niemiec na Stadionie Olimpijskim w Berlinie.

Finał oglądało 1272 widzów. Więcej było chyba fanów z Ueckermünde, ale i tak wspólnym mianownikiem dla większości kibiców na stadionie – jak zawsze w tym regionie – były barwy Hansy Rostock. Przybyśże z Ueckermünde wystawili mały młynek składający się w dużej mierze z dzieciaków i przy pomocy dwóch bębnow oraz megafonu próbowali zagrzewać swój zespół do walki (dopingowało też kilka osób w koszulkach z Torgelow, co wskazuje na to, że fuzja została zaakceptowana).



Rostocker FC ograniczył się do wywieszenia kilku flag. Atmosfera była w 100 proc. piknikowa. Ładna pogoda, piwko, wurst – miła sobota. W przerwie wraz moim towarzyszem zostajemy „rozkminieni” przez jednego z Polaków mieszkającego w Ueckermünde, który przyjechał kibicować naszpikowanej rodakami drużynie.

Na boisku niestety Einheit wyraźnie odstawał od wyżej notowanego rywala i przegrał 2:5. Ale to i tak największy sukces w historii klubu.

Po końcowym gwizdku odbyła się ceremonia medalowa, wręczenie pucharu, seria wywiadów na ściankach.



Był mocno zaskoczony, że ktoś z naszego kraju tak po prostu zawitał na to spotkanie i choć rozmowa była bardzo miła, to nie brakowało absurdalnych pytań w stylu „kto jest sponsorem tego projektu?”, „gdzie znajduje się siedziba?” i „czy mamy już załatwiony nocleg?”.

Nie mógł uwierzyć, że to po prostu hobby. Do dzisiaj nie wiem, czy wierzył w moje wyjaśnienia.

A Rostocker FC po raz drugi w historii dotarł do finału regionalnego Pucharu Niemiec. Można powiedzieć, że w pewien sposób się zrewanżował, ponieważ w 2010 r. przegrał 1:2 z Torgelowerem FC. Wtedy w Torgelow grał m. in. aktualny kapitan drużyny z Ueckermünde – Marcin Miśta.

W ramach ciekawostki można jeszcze dodać, że trenerem Rostockera FC jest szkoleniowiec z... Beninu – Dinalo Adigo.

# STAHL

# RIESA





Stahl Riesa zajmuje 17. miejsce w tabeli wszech czasów DDR Oberligi. Zespół z małego miasteczka w Saksonii – za czasów NRD – spędził aż 16 sezonów w najwyższej klasie rozgrywkowej. To najlepszy wynik wśród drużyn spoza „wielkiej 14”, która kształtowała futbol w NRD.

Gwoli ścisłości ta „wielka 14” – zgodnie z tabelą wszech czasów – to: Carl Zeiss Jena, BFC Dynamo, Dynamo Drezno, Lokomotive Lipsk, Wismut Aue (dzisiaj Erzgebirge Aue), FC Vorwärts Frankfurt/Oder (dzisiaj 1. FC Frankfurt), Rot-Weiss Erfurt, 1. FC Magdeburg, Saschenring Zwickau (dzisiaj FSV Zwickau), Chemie Halle (dzisiaj Hallescher FC), Hansa Rostock, FC Karl-Marx-Stadt (dzisiaj Chemnitzer FC), Chemie Lipsk i Union Berlin.

\*\*\*

Riesa to miasto zlokalizowane mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Dreznom a Lipskiem, czyli największymi ośrodkami w Saksonii. Prawdopodobnie najbardziej znaną atrakcją w okolicy jest przepływająca tędy Łaba – jedna z najdłuższych niemieckich rzek. Uwielbiana przez rowerzystów, którzy chętnie korzystają z poprowadzonych wzdłuż niej szlaków.

Ale Łaba na tym odcinku to nie tylko turystyka, ale także historia. 25 kwietnia 1945 w położonej kilka kilometrów na północ od Riesy miejscowości Strehla doszło do pierwszego spotkania wojsk amerykańskich i radzieckich (w wielu źródłach mylnie podaje się, że pierwsze spotkanie miało miejsce w Torgau). Dzisiaj Riesa liczy niespełna 30 tys. mieszkańców. Za czasów NRD było ich oczywiście zdecydowanie więcej. Ludnościowy „prime” miał miejsce na początku lat 80-tych, kiedy mieszkało tutaj prawie 52 tys. osób.

Miasto tętniło wówczas życiem za sprawą wielkiej huty stali, która zatrudniała ponad 13 tys. osób i była największym kombinatem metalurgicznym w NRD. Wokół giganta dobrze prosperowały też inne przedsiębiorstwa (m. in. fabryka zapalek, po której do dzisiaj pozostało jeszcze logo z charakterystycznym „R” w kółku, które aktualnie podobno wykorzystują... Chińczycy).

Po upadku NRD huta i jej przystawki zostały zamknięte, więc tysiące mieszkańców opuściło miasto, które miało przed sobą dość nieciekawe perspektywy na czele z wysokim bezrobociem.

Musiało minąć trochę czasu, żeby Riesa otrząsnęła się po zjednoczeniu Niemiec. Jednym z nielicznych zakładów, który jako tako przetrwał chaos lat 90-tych jest słynna fabryka makaronu (największa w NRD). „Pasta Riesa” została filią dużego zakładu z zachodnich Niemczech i znowu jest liderem ogólnokrajowego rynku.

\*\*\*

Huta była gwarantem istnienia silnej drużyny piłkarskiej – BSG Stahl Riesa. Zespół z Saksonii dość długo kopał się w niższych ligach, ale gdy w 1968 r. nareszcie dotarł do najwyższej klasy rozgrywkowej, to rozgościł się tam w zasadzie aż do 1990 r. Stahl rozegrała w elicie 16 sezonów i choć kilka razy zdarzyło jej się spaść na zaplecze, to zaraz znowu wracała do DDR-Oberligi. Nie ulega wątpliwości, że klub z Riesy maksymalnie zdyskontował i wykorzystał swój potencjał (wsparcie dużej firmy, ale w małym ośrodku). Stahl nie była w stanie rzucić rękawicy gigantom, ale mimo wszystko potrafiła przez wiele lat zachować miejsce w najwyższej klasie – będąc specjalistą w walce o utrzymanie się.



W trakcie 16 sezonów w liczącej 14 zespołów DDR-Oberlidze Stahl tylko dwukrotnie kończyła rozgrywki wyżej niż na 10. miejscu – spadając przy tym zaledwie cztery razy. Prawdziwym ewenementem był zdecydowanie najlepszy sezon 1974/1975, kiedy Stahl zajęła wysokie, 6. miejsce (m. in. przed Lokomotive Lipsk i Hansą).

Dzisiaj Stahl jest znana przede wszystkim ze względu na kultowy, ale opuszczony i zrujnowany Ernst-Grube-Stadion (Stadion Hutników), który jest żywą pamiątką po złotych czasach. Został oddany do użytku w 1955 r. Mógł pomieścić 11 tys. kibiców, ale gdy Stahl awansowała do elity, to pojemność zwiększono do 15 tys. miejsc.



Średnia widzów na przekraczała wtedy 8 tys. Frekwencyjny boom miał jednak miejsce wcześniej, w końcówce lat 60-tych, kiedy Stahl była nowicjuszem w DDR-Oberlidze. W czterdziestotysięcznym mieście na mecze chodziło po 10 tys. ludzi. Po zjednoczeniu klub podupadł, przechodził procesy upadłościowe i gra w 7. Lidze. W 2006 r. Stahl ustanowiła rekord Niemiec – zanotowała 78 oficjalnych spotkań z rzędu bez porażki (76 wygranych i dwa remisy).

Stadion był w użytku do 2003 r., kiedy klub zaczął zmagać się z procesami upadłościowymi i startował od najniższych lig. "Nowa" Stahl zagospodarowała wtedy kameralny obiekt w Merzdorfer Park. Dzisiaj stary obiekt jest zarośniętą ruiną i mekką dla osób interesujących się historią futbolu w NRD. Gospodarzem obiektu została natura, która odzyskuje ten teren dla siebie, ale ciągle można podziwiać trybunę główną, tablicę wyników czy kasy biletowe.



# WJAZD Z BRAMĄ PO BERLIŃSKU



Kibice BFC Dynamo nie dopuszczali możliwości, żeby spóźnić się na tak ważne wydarzenie, dlatego weszli na stadion w starym stylu. Piekielnie głośne, odbijające się od asfaltu „Dynamo, Dynamo” zaintonowane przez czterocyfrową grupę fanów czekających w zwartej kolejce ostatecznie utwierdziło ochronę obiektu w przekonaniu, że za kilka euro nie warto robić się z siebie bohaterów.

\*\*\*

Sympatycy BFC Dynamo czekali na ten moment przeszło dekadę. W zasadzie chyba większość z nich zdążyła się już pogodzić z faktem, że ta chwila prawdopodobnie nigdy nie nastąpi.

\*\*\*

Nie ma klubu, który gorzej zniósł zjednoczenie Niemiec, ale nie ma też klubu, który był mocniej podpięty pod aparat władzy za czasów NRD niż zespół ze wschodniego Berlina. Dziesięć mistrzostw kraju z rządu w latach 1979–1988 i pełna opieka ze strony szefa Stasi Ericha Mielke, który przez dekady stawiał na głowie, żeby jego „dziecko” w końcu dotarło na krajowy szczyt.

Po zjednoczeniu Niemiec klub stał się porzuconym bękartem poprzedniego ustroju, nad losem którego nikt nie chciał się rozczulać. Na trybunach zostało tylko kilkuset amatorów mocniejszych wrażeń, który za czasów NRD zapracowali na swoją złą sławą i przez partyjnych dygnitarzy nie byli mile widziani na stadionie.

Ale w ostatecznym rozrachunku tylko oni pozostali wierni klubowi, który w nowej rzeczywistości zmienił nazwę na FC Berlin – próbując zerwać z przeszłością.

Kibice nie zaakceptowali tego sztucznego odcinania się od korzeni, dlatego w 1999 r. klub wrócił do nazwy BFC Dynamo. Przy okazji pojawił się jednak problem, bo okazało się, że kapitalizm zadrwił sobie z postkomunistycznego reliktu. Po zjednoczeniu Niemiec nikt nie zastrzegł praw do historycznego herbu, z czego skwapliwie skorzystał handlarz pamiątkami (i kibic Herthy) Peter Mager, który za kilka marek stał się właścicielem praw do kultowego emblematu.

Po dekadzie bezskutecznych przepychanek, w 2009 r., zaprezentowano więc nowe logo: z niedźwiedziem znanym z miejskiego herbu Berlina. Z czasem nowy symbol zyskał nawet powszechną akceptację, ale nieoficjalnie gadżety i tak nadal robiono z charakterystyczną literą „D”.

\*\*\*

Na początku tego roku wschodni Berlin obiegła jednak informacja, że nareszcie udało się odzyskać prawa do historycznego herbu. Klub musiał za to zapłacić – zgodnie z doniesieniami mediów – sześciocyfrową sumę (oczywiście w euro).

Poprzedni sezon trzeba jeszcze było dograć z tymczasowym emblematem (z racji na umowy sponsorskie, stroje, gadżety itd.), ale od nowych rozgrywek BFC Dynamo będzie już biegło po ligowych boiskach z kultowym „D” na piersi.

Uroczysty „debiut” trykotów ze starym herbem miał miejsce 7 lipca podczas sparingu z Herthą BSC. BFC Dynamo na to spotkanie wynajęło swój dawny stadion Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark, który pozwalał na wpuszczenie zdecydowanie większej liczby kibiców niż Sportforum.



Jednocześnie Hertha zgodziła się, żeby cały dochód ze spotkania znalazł się na koncie BFC Dynamo. Pomagając tym samym „Die Weinrotten” zrekompensować finansowe straty wynikające z tego, że zawodnicy ze wschodniej części stolicy skompromitowali się w Pucharze Berlina i nie awansowali do 1. rundy Pucharu Niemiec, co zawsze gwarantuje wyprzedany stadion oraz spotkanie z atrakcyjnym rywalem.

\*\*\*

Władze BFC Dynamo nie spodziewały się frekwencji większej niż 8 tys. Finalnie okazało się, że mocno nie doszacowały zainteresowania tym spotkaniem.

Piątkowy termin spowodował, że wiele osób dotarło na stadion w Prenzlauer Berg na ostatnią chwilę. Główna brama wejściowa dla kibiców BFC Dynamo miała natomiast mocno ograniczoną przepustowość i nawet ustawiając się w kolejce na prawie pół godziny przed pierwszym gwizdkiem (jak np. autor tego tekstu) stało się jasne, że pojawienie się na trybunach o godz. 19 jest niewykonalne.

Tłum w szczytowym momencie oscylował wokół czterocyfrowej liczby. Oczywiście jego trzon stanowili goście po 40. i 50. urodzinach z jasno określoną przeszłością. Kibice zaskakująco długo wykazywali się cierpliwością, ale gdy w tle było już słychać hymn BFC Dynamo, zaczęły się pierwsze nerwy.

Najpierw tłum zaczął skandować pod adresem ochrony „auf die Fresse”, co miało zasygnalizować, że zaczyna rozważać siłowe rozwiązanie tego problemu, a potem okolicą dosłownie wstrząsnęło potężne „Dynamo, Dynamo”, które popłynęło z setek gdań zniecierpliwionych fanów.

Bojowy okrzyk ściągnął pod bramy wejściowe wiele osób, które były już na stadionie i prostymi gestami dawały znać, żeby po prostu „wjeżdżać z bramą”. Ochrona i stewardzi byli teraz otoczeni z dwóch stron. Jako że nieliczne siły policyjne rozplynęły się w powietrzu, to oni też poczuli się zwolnieni z obowiązku i – z wymalowanym na twarzy niepokojem – po prostu grzecznie się odsunęli. Zaraz pękła też zamknięta do tej pory brama ewakuacyjna i tłum dosłownie wlał się na stadion. Oczywiście w tym momencie nie trzeba już było posiadać biletów, bo nikt ich nie sprawdzał.

Szybko okazało się, że stadion jest już w zasadzie pełny i trzeba wygospodarować jeszcze trochę miejsca na trybunach dla kolejnych setek kibiców, którzy zameldowali się na Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark. Tłum zbyt długo się nie zastanawia i zajmuje miejsca na sektorach na łuku, które były otoczone taśmą i wyłączone z użytku (organizatorzy nie spodziewali się takiej frekwencji i nie udostępniłi wszystkich sektorów, żeby ograniczyć koszty związane z ochroną itd. – normalna procedura także w Polsce). Oczywiście żadne służby porządkowe nie stawiają oporu, a na wielu twarzach starych kibiców widać ewidentną satysfakcję z przeprowadzonego rajdu.

Z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku idą napić się piwa, bo wejść na stadion, to wcale nie oznacza oglądać mecz. Szczególnie w przypadku BFC Dynamo. Parafrazując rapera Łonę – to klimat jest ważny. Klimat jest ultraistotny! Ale ci, którzy byli zainteresowani wydarzeniami na boisku też nie mieli powodów do narzekania, ponieważ – z racji sytuacji pod bramkami – rozpoczęcie przesunięto mniej więcej o dziesięć minut.

Młyn z dobrze rozgrzаныmi już kibicami BFC Dynamo uformował się na mniejszej z trybun rozciągających się wzdłuż boiska. Dokładnie tam, gdzie mieścił się jeszcze kilka lat temu, kiedy „Die Weinrotten” rozgrywali swoje mecze właśnie na niezwykle klimatycznym Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark.

Dynamo z chęcią rozgościło się na większym oraz nowoczesnym stadionie, gdzie świętowało dziewięć z dziesięciu mistrzowskich tytułów (w 1986 r. na jeden sezon, z powodu remontu, wróciło na Sportforum). Po zjednoczeniu zainteresowanie spadło, więc Dynamo znowu grało w Hohenschönhausen.



Bo choć prawdziwym domem Dynamo jest kultowy Sportforum Hohenschönhausen, to właśnie stadion w Prenzlauer Berg był świadkiem największych sukcesów w historii klubu ze wschodniego Berlina.

BFC przeniosło się tutaj w 1972 r., kiedy Erich Mielke wypchnął do Frankfurtu nad Odrą największego rywala w mieście i dotychczasowego gospodarza tego stadionu, czyli wojskowy Vorwärts.

Aż do 2014 r., kiedy awans do 4. Ligi wymusił kolejną wyprowadzkę na Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark. I pewnie BFC grałoby tutaj do dzisiaj, gdyby nie plany wyburzenia tego stadionu i postawienia w tym miejscu nowego obiektu. Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark – wobec katastrofalnej infrastruktury w Berlinie – nie pozwala się jednak zmieścić z planszy i co chwilę jest potrzebny kolejnym klubom (np. Viktorii, która miała epizod w 3. Lidze).

Sparing BFC z Herthą oglądało ponad 10 tys. widzów. Liczba kibiców była zdecydowanie wyższa niż przewidywano, a spotkanie uznano za wyprzedane. Dokładna frekwencja okazała się niemożliwa do oszacowania z racji incydentu przy bramkach wejściowych, który spowodował, że bilety nie były już sprawdzane.

Za czasów słusznie minionych były po dwóch różnych stronach muru dzielącego miasto, a po zjednoczeniu Niemiec grały w zupełnie innych ligach. Hertha Berlin nigdy nie spadła niżej niż na zaplecze elity, natomiast BFC Dynamo po upadku NRD nigdy nie doczłapało się na szczebel centralny.



Swoje sektory – w sile kilku tysięcy – wypełnili też fani Herthy. Teoretycznie sympatycy obu klubów mieli wyznaczone swoje ścieżki wejścia na stadion oraz osobne kasy biletowe, ale jedni i drudzy bezboleśnie wymieszali się na szerokich alejach wokół Friedrich-Ludwig-Jahn-Sportpark. Relacje kibiców Herthy i BFC są co najmniej neutralne, a obie strony – choć są z jednego miasta – w całej historii nie miały ze sobą zbyt wiele do czynienia.

Kibiców obu klubów zdecydowanie łączy niechęć do Unionu Berlin, dlatego podczas meczu nie brakowało wspólnych śpiewów „pozdrawiających” aktualnie jedynego przedstawiciela stolicy Niemiec w 1. Bundeslidze.

Kosa Unionu i BFC to już dekady wzajemnej niechęci od czasów głębokiej NRD, natomiast w przypadku Herthy to stosunkowo świeża sprawa.



Przed 1990 r. kibice „Starej Damy” i Unionu bardzo się lubili, ale po zjednoczeniu – szczególnie wśród młodych pokoleń – zaczęła się normalna, derbowa rywalizacja o prymat w mieście, która przybrała na sile w ostatnich latach. Zbiegło się to oczywiście z awansem Unionu do elity.

\*\*\*

Na początku meczu kibice BFC Dynamo zaprezentowali małą, dwustronną kartoniadę. Najpierw ukazał się na niej dotychczasowy, tymczasowy herb klubu, a później już ten właściwy, który nareszcie wrócił na swoje miejsce. Oczywiście nie była to żadna wybitna choreografia, ale taki jest właśnie styl fanów BFC. Surowy i wyspiarski, a klimaty ultras są tutaj tylko dodatkiem. Mimo wszystko – jak na sparing – atmosfera na trybunach była fantastyczna. Nisko usadowiony dach sprzątał akustycznie i doping był zdecydowanie głośniejszy niż na Sportforum, gdzie śpiewy często są tłumione przez wiejący wiatr. W młynie BFC zameldowało się wielu kibiców Pogoni Szczecin (wisiąca też flaga berlińskiego FC portowców), więc oczywiście nie brakowało wokalnych pozdrowień dla Dumy Pomorza. Relacje fanów obu klubów w ostatnich miesiącach systematycznie się zacieśniają, a Pogoń i Eintracht Trier to aktualnie najbliżsi przyjaciele Dynamo.

\*\*\*

A co na boisku? W sumie za bardzo nawet nie patrzyłem... BFC Dynamo zaczęło nadspodziewanie dobrze i w pierwszej połowie miało kilka szans, żeby strzelić gola. Finalnie Hertha należyście jednak wywiązała się z roli faworyta, na początku drugiej części spotkania szybko strzeliła dwa gole i ostatecznie wygrała sparing 2:0.

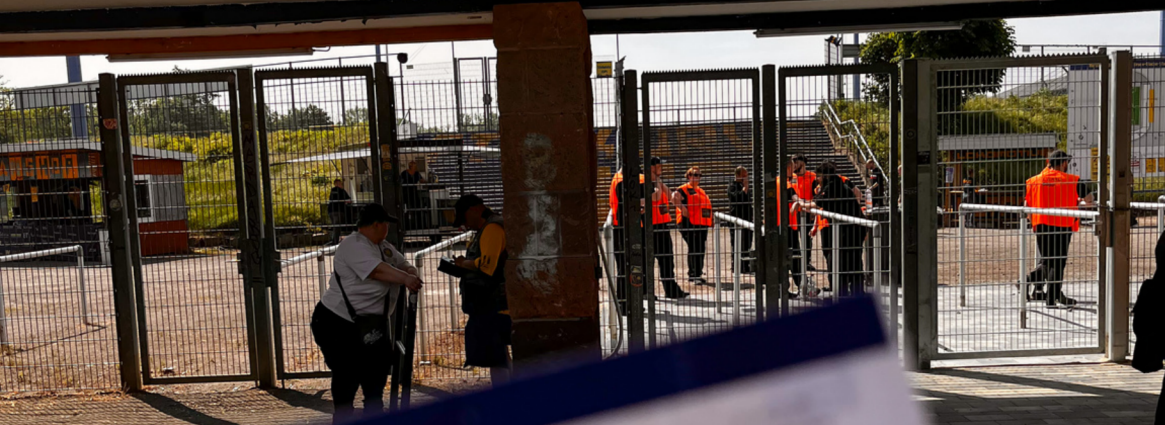
Jak już wcześniej pisałem – nie wszyscy jednak przesadnie interesowali się tym, co na boisku. Nadkomplet widzów spowodował, że stoiska cateringowe były zupełnie nieprzygotowane i w kolejce po piwo trzeba było stać nawet kilkadziesiąt minut. Ale raczej nikomu to nie przeszkadzało. Za trybunami toczyło się swoje życie, a większość meczu spędzili tam nie tylko spragnieni piwa, ale także zwykli kibice, dla których BFC Dynamo to po prostu styl życia. Przychodzisz pogadać ze znajomymi, pośmiać się i poczuć część tej hermetycznej społeczności. Zresztą już kiedyś żartowałem, że gdyby na boisku zamiast meczu piłkarskiego zaczął się konkurs rzutu oszczepem, to niektórzy fani BFC Dynamo nawet by tego nie zauważyli.

Po końcowym gwizdku można było odnieść wrażenie, że zawodnicy BFC Dynamo właśnie zgarnęli jakieś trofeum, ponieważ – pomimo porażki i rangi meczu – byli wręcz fetowani przez licznie zgromadzoną publiczność. Wspólne śpiewy, oklaski, zbijanie piątek. Trwało to wszystko dobrych kilkanaście minut. W zespole BFC było wielu nowych piłkarzy, którzy – jak powiedział później trener Heiner Backhaus – w szatni jeszcze długo dochodzili do siebie. Nie spodziewali się takiej atmosfery na zwykłym meczu sparingowym. – Będziemy jednością na boisku i trybunach – cieszy się Backhaus.

Przed BFC Dynamo sezon wielkich oczekiwań. Tym razem Regionalliga Nordost w idiotycznym, rotacyjnym systemie rozgrywek na szczęście wypadła z barałów, więc zwycięzca grupy północno-wschodniej wywalczył bezpośredni awans do 3. Ligi, co zapowiada pasjonujące miesiące walki pomiędzy BFC, LOK Lipsk, Chemie Lipsk, Energie Cottbus, Carl Zeiss Jena, FSV Zwickau czy Rot-Weiss Erfurt.

1. FC LOKOMOTIVE LIPSK.  
120 TYS. KIBICÓW, MARADONA  
I REKORD ŚWIATA W 11. LIDZE!

Bruno-Plache-Stadion



Za czasów NRD 1. FC Lokomotive Lipsk określano mianem piłkarskiego sfinksa. Historia klubu z Saksonii jest bowiem zbieżna z definicją oraz symboliką tego mitycznego stworzenia. Tajemnicza, nieodgadniona, pełna sprzeczności i wydarzeń, które czasami trudno było racjonalnie wytłumaczyć.

W ciągu jednego tygodnia LOK Lipsk potrafił wylądować na łamach Daily Telegraph z wymownym dopiskiem koszmar angielskiego futbolu, a zaledwie kilka dni później zbłąźnić się na ligowych boiskach i stracić punkty na jakimś wygwizdowie.

\*\*\*

Miasto ma bogate piłkarskie tradycje. W 1903 r. pierwszym oficjalnym mistrzem Niemiec została drużyna VfB Lipsk, która przed wybuchem pierwszej wojny światowej wywalczyła jeszcze dwa tytuły mistrzowskie. Wówczas zespół z Saksonii – jako lider skromnej jeszcze tabeli wszech czasów z trzema złotymi medalami – uważany był za piłkarskiego giganta. W 1914 r. wybuchła wojna, która zakończyła prymat VfB Lipsk na niemieckich boiskach. Wielu członków klubu wylądowało w okopach. Na froncie zginęło m. in. kilku zawodników z drużyny, która jeszcze w 1913 r. świętowała ostatnie mistrzostwo.

Po pierwszej wojnie światowej VfB Lipsk nie odzyskało dawnej świetności. Karty na krajowych boiskach zaczęły rozdawać 1. FC Nürnberg, Hertha Berlin, a potem Schalke 04 Gelsenkirchen.

\*\*\*

W 1946 r. – w nowej rzeczywistości – dla VfB Lipsk nie było już miejsca.

Wszystkie przedwojenne kluby, które znalazły się na terenie sowieckiej strefy okupacyjnej zostały zdelegalizowane. Byli zawodnicy pierwszego mistrza Niemiec z 1903 r. założyli jednak nowy zespół o nazwie SG Probstheida.

Probstheida to dzielnica na południowo-wschodnich rubieżach miasta, gdzie do dzisiaj znajduje się stadion, na którym aktualnie gra 1. FC Lokomotive Lipsk, a przed wojną występowało VfB Lipsk.

W 1949 r. SG Probstheida zmieniła nazwę na BSG Erich Zeigner (na cześć zmarłego, pierwszego powojennego burmistrza Lipska), a zaledwie kilka miesięcy później, w 1950 r., na BSG Einheit Ost Lipsk. I to właśnie pod tym szyldem w sezonie 1953/1954 zadebiutowała w najwyższej klasie rozgrywkowej, czyli DDR-Oberlidze. Beniaminek ukończył zmagania na 12., ostatniej bezpiecznej pozycji (utrzymał się tylko dzięki lepszemu bilansowi bramkowemu od Lokomotive Stendal).

Warto wspomnieć, że w pierwszej połowie lat 50-tych najlepszą drużyną w mieście było Chemie Lipsk, które w tym samym sezonie (1953/1954) świętowało wicemistrzostwo, a trzy lata wcześniej sięgnęło po jeden z dwóch tytułów mistrzowskich w swojej historii.

Przez DDR-Oberligę jak meteoryt przemknął też wojskowy zespół SV Vorwärts Lipsk, który szybko został jednak przeniesiony do Berlina Wschodniego (a w latach 70-tych do Frankfurtu nad Odrą).

No dobra. Zakładam, że do tego momentu – choć zespół z przedmieść Lipska na przestrzeni zaledwie kilku akapitów już kilka razy zmienił nazwę – dotrwalicie w pełnej koncentracji i nadal wiecie, kto jest kim.



Teraz poziom trudności jednak wzrośnie. Czas zapiąć pasy i jeszcze mocniej wyteżyc szare komórki. Bo tak pogmatwane historie w internecie komentuje się tylko w jeden sposób. Słynnym memem z jednego z programów kryminalnych, na którym pada pytanie: "To który, k\*rwa, jest synem kogo?"

\*\*\*

W kolejnym sezonie (1954/1955) futbol w NRD został dość mocno zreformowany. Przede wszystkim wiele drużyn piłkarskich zostało włączonych do dużych, nowo powstałych klubów sportowych i zaczęło funkcjonować jako ich sekcje.

Tym samym BSG Einheit Ost Lipsk znowu musiał zmienić szyld i drugi sezon w elicie zaczął już jako SC Rotation Lipsk (taką nazwę miał nowy klub wielosekcyjny). Nazwę Rotation otrzymywały kluby wspierane przez przemysł wydawniczy i poligraficzny.

Reformy dotknęły również Chemie Lipsk. Państwowe zakłady chemiczne stwierdziły bowiem, że zabierają zabawki do chemicznej stolicy NRD, czyli Halle, więc zespół piłkarski mimowolnie stał się sekcją klubu SC Lokomotive Lipsk, który w międzyczasie został założony przez koleje państwowe.

Od 1954 do 1963 r. Chemie Lipsk grało więc jako SC Lokomotive Lipsk, a dawny BSG Einheit Ost Lipsk jako SC Rotation Lipsk. W tym okresie spektakularnych sukcesów było niewiele. Obie drużyny nigdy nie finiszowały wyżej niż na trzecim miejscu, z reguły będąc ligowymi średniakami. Trochę lepiej radziło sobie SC Lokomotive, które w 1957 r. wygrało krajowy puchar, a rok później dotarło do finału tych rozgrywek.

Derbowe pojedynki cieszyły się jednak gigantycznym zainteresowaniem. Jeden z nich oglądało 100 tys. widzów, co pozostaje rekordem frekwencji na ligowym meczu w Niemczech.

W 1963 r. władze stwierdziły, że obecna formuła się wyczerpała i długofalowo nie gwarantuje żadnych sukcesów, bo piłkarski potencjał w mieście jest rozdrabniany na dwa duże kluby. Doszło więc do fuzji SC Rotation z SC Lokomotive i w ten sposób powstał SC Lipsk.

SC Lipsk miał być piłkarską wizytówką miasta. Drużynę oparto na najlepszych zawodnikach z obu klubów, którzy nareszcie mieli zagwarantować wyniki na miarę oczekiwań jednego z największych oraz najważniejszych ośrodków miejskich w NRD.

W DDR-Oberlidze Lipsk ciągle miał jednak dwa miejsca, bo sezon 1962/1963 oba miejskie kluby zakończyły w środku stawki. Z braku laku wygaszony SC Lokomotive Lipsk został więc zastąpiony przez reaktywowane BSG Chemie Lipsk, które z racji na piękne karty historii zapisane w pierwszej połowie lat 50-tych mogło wrócić do swojej tradycyjnej nazwy (choć nie miało już nic wspólnego z przemysłem chemicznym).

Władze pozwoliły więc na reaktywację, ale koniec końców miały jednak BSG Chemie Lipsk w głębokim poważaniu. Kadra drużyny została oparta przede wszystkim na *odpadach*, które nie przeszły selekcji do flagowego SC Lipsk. Do zespołu szybko przylgnął więc przydomek *reszta Lipska*.

– *A grajta se, ale nie zawracajcie nam du\*y*  
– taki przekaz szedł od decydentów w stronę tej gorszej drużyny z Lipska.

I choć Lipsk w tamtych czasach leżał za żelazną kurtyną, to scenariusz okazał się godny amerykańskiego filmu.

– Nie bądźcie smutni. Zobaczycie, że popełnili błąd przywracając ten klub do życia – mówił kapitan Siegfried Fettke.



Miał rację. W sezonie 63/64 złożone z odpadów z podrażnioną ambicją Chemie grało fantastycznie i zostało najbardziej sensacyjnym mistrzem w historii NRD. Przy okazji dwukrotnie ograło SC Lipsk w derbach i miało dwa razy większą frekwencję (średnia ponad 20 tys. widzów na mecz, najwyższa w całym kraju). W mediach mówiono o cudzie w Lipsku.

SC Lipsk też nie grało źle. W lidze zakończyło zmagania na trzeciej pozycji, dotarło do finału krajowego pucharu. Pozostało jednak w cieniu sensacyjnego mistrzostwa Chemie. Ale z czasem sytuacja w mieście się unormowała. SC Lipsk zostało numerem jeden, Chemie podupadło.

A już w 1966 r. doszło do kolejnych zmian. NRD przygotowywało się do igrzysk olimpijskich w 1972 r. w Monachium oraz mundialu w RFN w 1974 r. Z propagandowego punktu widzenia były to imprezy niezwykle ważne dla władz we wschodnim Berlinie.

Stwierdzono, że eksperyment z klubami wielosekcyjnymi nie wypalił i najlepsze drużyny piłkarskie powinny działać na własny rachunek – jako samodzielnie jednostki. Z SC Lipsk bezboleśnie wyłoniło się więc 1. FC Lokomotive Lipsk – nadal mogące liczyć na wsparcie kolei państwowych.

Na szczęście to była już ostatnia poważna zmiana w lipskim futbolu – chaos z nazwami się zakończył.

Od 1966 r. aż do momentu zjednoczenia Niemiec w mieście funkcjonowały dwa kluby: 1. FC Lokomotive Lipsk i Chemie Lipsk. Cały paradoks polega jednak na tym (i jest to też symbol tych wszystkich kombinacji alpejskich na przełomie lat 50 i 60-tych), że – tak, jak już wcześniej pisałem – Chemie przez kilka lat grało jako... SC Lokomotive.

Nie ogarnęła tego nawet polska Wikipedia, która swego czasu dokonania SC Lokomotive łączyła z historią 1. FC Lokomotive Lipsk, choć to dwa różne kluby.

Właściwa historia 1. FC Lokomotive Lipsk zaczęła się więc dopiero w 1966 r.

Już na starcie (w sezonie 1966/1967) dotarł do ćwierćfinału Pucharu Miast Targowych (protoplasta Pucharu UEFA), a po drodze klepnął m. in. Benficę z Eusebio w składzie. To była jednak dopiero przygrywka do spektakularnych historii napisanych w Europie w latach 70 i 80-tych.



Wtedy o *rozpędzonej lokomotywie* szeroko rozpisywały się *Daily Telegraph* czy włoska *La Stampa*.

W 1974 r. LOK dotarł do półfinału Pucharu UEFA eliminując we wcześniejszych rundach Torino, Wolverhampton, Fortunę Düsseldorf i Ipswich Town. Sposób na jedenastkę z Lipska znalazł dopiero Tottenham.

LOK i tak zapisał się jednak w historii jako pierwszy zespół z NRD, który potrafił skutecznie eliminować teoretycznie silniejsze drużyny z Anglii i RFN.

*Lokomotive Lipsk jest naszym koszmarem* – zgodnie pisały wówczas największe wyspiarskie media.

Nieco ponad dwie dekady pozwoliły jednak zapracować na łatkę jednego z najbardziej specyficznych klubów w historii NRD. LOK był bowiem nazywany *piłkarskim sfinksem*.

Zespół z dzielnicy *Probstheida* w europejskich pucharach rozegrał prawie 80 spotkań (więcej mają na koncie tylko Dynamo Drezno i Carl Zeiss Jena).

Największy sukces w Europie (i jeden z największych w całej historii futbolu w NRD) nadszedł w 1987 r. kiedy Lokomotive zameldowało się w finale Pucharu Zdobywców Pucharów.

Rewanżowe spotkanie półfinałowe z Bordeaux na własnym stadionie uważa się za najbardziej legendarne w dziejach klubu.



LOK wygrał pierwsze spotkanie we Francji 1:0, ale w rewanżu przed własną publicznością szybko stracił gola na 0:1 i o awansie do finału zdecydował konkurs rzutów karnych, w którym górą byli piłkarze z Lipska. Bohaterem został bramkarz René Müller, który najpierw obronił jedenastkę, a... później sam wykorzystał decydującego karnego. Uderzył w lewy górny róg, więc trudno się dziwić, że właśnie tak nazywa się wydana przez niego kilkadziesiąt lat później biografia.

LOK mecze w Europie rozgrywał nie u siebie w Probstheida, tylko na gigantycznym Zentralstadion, gdzie później zbudowano od podstaw nowy obiekt na mundial w 2006 r., który dzisiaj jest zarazem domem RB Lipsk. Lokomotive w lidze miało frekwencję oscylującą wokół kilkunastu tysięcy, ale w pucharach na ich spotkania przyjeżdżali ludzie z całego kraju.

Mecz z Bordeaux – według oficjalnych protokołów – oglądało nieco ponad 70 tys. widzów. Ale tak naprawdę frekwencja oscylowała wokół... 120 tys. Obiekt był skrajnie przepełniony, dzisiaj nie byłoby mowy o takich nadużyciach z wpuszczaniem ludzi na stadion.

W rozgrywanym w Atenach wielkim finale LOK przegrał z Ajaxem Amsterdam 0:1. Holendrów trenował wówczas Johan Cruyff, a po boisku biegali Marco van Basten (autor jedyne go gola), Dennis Bergkamp czy Frank Rijkaard.

LOK w Europie rozgrywał też spotkania z FC Barceloną czy AC Milan, a ostatni międzynarodowy dwumecz to rywalizacja z Napoli w Pucharze UEFA w sezonie 1988/1989. Włosi wygrali wtedy całe rozgrywki, a w ich składzie brylował będący wówczas w swoim *prime* Diego Maradona.

Lokomotive przez ponad dwie dekady ugruntowało swoją pozycję w Europie. Piłkarze z Lipska regularnie sprawdzali swoje umiejętności na tle kolejnych gwiazd światowej piłki: Eusebio, van Bastena czy Maradony.

Z dużą dozą pewności można by więc założyć, że taka kapela potrafiła też na spokojnie zdominować krajowe podwórko.

Nic bardziej mylnego. Oczywiście LOK kręcił się w czołówce, bo inaczej przecież nie mógłby grać w europejskich pucharach, ale NIGDY nie sięgnął po mistrzostwo kraju. Jest najwyższą sklasyfikowaną drużyną w tabeli wszech czasów DDR-Oberligi (4. miejsce), która nie ma w gablocie ani jednego złota.

Zespół z Lipska słynął z tego, że po znakomitych meczach w Europie w środku tygodnia, później przychodziły ligowe kompromitacje w weekendy. Było to widoczne szczególnie w latach 70-tych, kiedy LOK ani razu nie finiszował w Oberlidze wyżej niż na czwartej pozycji.

Lokomotive na krajowych boiskach ogarnęło się dopiero w latach 80-tych, ale wtedy było już za późno. To był okres naznaczony przez BFC Dynamo, które przez dekadę nie schodziło z najwyższego stopnia podium – będąc odpowiednio ubezpieczone przez najbardziej prominentnych dygnitarzy w kraju.

W tamtym okresie LOK był często jedynym rywalem mogącym rzucić rękawice uprzywilejowanej drużynie ze stolicy, ale ostatecznie ani razu nie udało się jej przechytrzyć. LOK w latach 80-tych sześciokrotnie kończył zmagania na pudle. Dwukrotnie jako wicemistrz, czterokrotnie z brązowymi medalami.

W 1988 r. LOK przegrał z BFC Dynamo mistrzowski tytuł tylko gorszym bilansem bramkowym, a dwa lata wcześniej o losach złotych medali zdecydował bezpośredni mecz pomiędzy obiema drużynami rozegrany w Lipsku, który zakończył się sędziowskim skandalem. Spotkanie było symbolem sędziowskiej protekcji nad BFC.

Zespół z lipskiej dzielnicy Probstheida w latach 80-tych zdobył go aż trzy razy, co choć trochę rekompensowało brak złota.

– *Składy nie były wówczas tak szerokie, jak dzisiaj. Obracaliśmy się wokół 15, 16 zawodników grając na trzech frontach* – wyjaśnia René Müller.



– Nie żałuję chłopakom z BFC tych 10 mistrzostw, bo to była drużyna z klasą, ale w trakcie tej dekady my też zasłużyliśmy na tytuł – oceniał René Müller. – W 1988 r. do złota zabrakło nam tylko kilku bramek. W konsekwencji w książkach pisze się o nas nie jako o mistrzowskiej, ale tylko pucharowej drużynie.

Bo LOK świetnie radził sobie nie tylko w Europie, ale także w Pucharze NRD.

– W 1987 r. poprosiliśmy federację, żeby przełożyła nam chociaż o jeden dzień ważne spotkanie w lidze z BFC Dynamo, które wypadło zaraz po pierwszym półfinale z Bordeaux w PZP, ale bezskutecznie. W czwartek zagraliśmy we Francji, w sobotę z BFC w lidze, a już w środę z Dynamem Drezno w pucharze kraju. Zawsze marzyliśmy o mistrzostwie, ale w takiej sytuacji nie byliśmy w stanie nie zaliczyć wpadki na któryś z frontów.

A dzień po niesamowitym rewanżu z Bordeaux niektórzy piłkarze LOK musieli... stawić się na zgrupowaniu reprezentacji narodowej.

*– Świętowaliśmy do 7 rano, a potem, bez snu, wsiedliśmy do autokaru. Żałuję, że nie mieliśmy czasu, żeby na spokojnie przetworzyć to, co się stało. Ten mecz, dogrywkę, rzuty karne i ponad 100 tys. ludzi na trybunach – mówi legendarny bramkarz LOK.*

\*\*\*

Po upadku NRD 1. FC Lokomotive Lipsk zmienił nazwę na VfB Lipsk – nawiązując tym samym do tradycji przedwojennego klubu, który był zarazem pierwszym mistrzem Niemiec w 1903 r.

Pierwsze lata po zjednoczeniu kraju były dla klubu z Lipska dość obiecujące. Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, jak w tamtym okresie (nie) poradziły sobie inne drużyny z byłej NRD. VfB Lipsk na początku załapał się do 2. Bundesligi, z której już po dwóch sezonach awansował do 1. Bundesligi. W tamtym okresie potrafiiono ściągnąć do Saksonii nawet tak klasowych zawodników, jak były napastnik reprezentacji Francji Didier Six (później udało się też wypożyczyć z Interu Mediolan Darko Pančeva).

VfB Lipsk w sezonie 1993/1994 – jako beniaminek – z hukiem zleciało jednak z 1. Bundesligi. Biedny klub z byłej NRD wyraźnie odstawał od konkurencji i wygrał zaledwie trzy spotkania przez całe rozgrywki (w tym 1:0 z Borussią w Dortmundzie). Kibice zapamiętali jednak gorące, wschodnie derby z Dynamem Drezno oraz spotkanie z Bayernem Monachium, które oglądało 40 tys. widzów.

Wtedy zespół znowu musiał grać na Stadionie Centralnym, ponieważ obiekt w dzielnicy Probstheida nie spełniał wymogów bezpieczeństwa, a kibice z Lipska już niedługo po zjednoczeniu Niemiec zaprezentowali się szerszej publiczności kilkoma głośnymi zadymami.

To właśnie w pierwszej połowie lat 90-tych zespół z rubieży Lipska zaczął pracować na swoją chuligańską sławę, ponieważ wszelacy amatorzy mocniejszych wrażeń swoje kroki kierowali właśnie na mecze VfB/LOK, które – jak na byłą NRD – grało w bardzo wysokiej lidze. A Chemie (wówczas grające jako Sachsen) sportowo w tamtym okresie prezentowało się zdecydowanie gorzej od odwiecznego rywala. Sam Lipsk po zjednoczeniu Niemiec był zresztą tzw. dzikim wschodem. Wysokie bezrobocie i mnóstwo młodzieży bez perspektyw, która się radykalizowała i dawała upust swojej życiowej frustracji na pustych stadionach, które nierzadko były wyjęte spod prawa.

VfB – koniec końców – nie oszukało przeznaczenia. Jeszcze przez jakiś czas pograło w 2. Bundeslidze, ale potem zaczęło systematycznie podupadać sportowo oraz finansowo, co zakończyło się bankructwem, ogłoszeniem upadłości i rozwiązaniem drużyny.

\*\*\*

Wtedy sprawy w swoje ręce wzięli kibice, którzy w 2003 r. założyli nowy klub – przy okazji wracając do historycznej nazwy 1. FC Lokomotive Lipsk. Zespół musiał oczywiście wystartować od najniższej możliwej klasy rozgrywkowej, czyli 11. Ligi.

Cała otoczką wokół tej reaktywacji spowodowała, że LOK zaczął się cieszyć ogromnym zainteresowaniem kibiców.



Starszych fanów przyciągały powroty: do nazwy z czasów NRD, która kojarzyła z najlepszymi czasami oraz na kultowy stadion Bruno Plache.

Innych z kolei fascynowała oddolna inicjatywa osób oddanych klubowi, które nie pozwoliły zginać drużynie z tak bogatą historią.

Najlepszy dowód na wielkie zainteresowanie nowym-starym Lokomotive to fakt, że klub już w 2004 r. znalazł się w Księdze rekordów Guinnessa. 12 421 widzów na spotkaniu z Eintracht Großdeuben II to najwyższa udokumentowana frekwencja na jedenastym poziomie rozgrywkowym na świecie.

W czasach 11. Ligi symboliczne występy w barwach LOK zaliczyli m. in. 62-letnia wówczas legenda klubu Henning Frenzel czy sam Lothar Matthäus, który już dawno zakończył karierę, ale w jednej z gazet zadeklarował swoje wsparcie dla odbudowy LOK i słowa dotrzymał.

Legenda reprezentacji Niemiec wyszła na boisko w jednym ze spotkań pucharowych.

– *Futbol wciąż tutaj żyje. Ten klub oddycha piłką nożną* – mówił po swoim występie Matthäus oklaskiwany przez sześć tysięcy kibiców.

W tamtym okresie do Lipska na mecze towarzyskie przyjeżdżały też zespoły, których działalność jest mocno związana z maksymą *#againstmodernfootball*: baskijski Athletic Bilbao oraz angielski FC United of Manchester, czyli klub również założony od podstaw przez kibiców, którym nie podobał się kierunek obrany przez właściwi Manchester United.

Lokomotive (po drodze, dzięki różnym zabiegom, udało się nieco szybciej przeskoczyć kilka lig) dotarło na najwyższy możliwy poziom regionalny, czyli do 4. Ligi (Regionalliga Nordost) już w 2012 r. I gra tam – z krótką przerwą w latach 2014–2016 – aż do dzisiaj.

LOK najbliższej awansu do 3. Ligi był w sezonie 19/20, kiedy rozgrywki w trakcie rundy wiosennej zostały przerwane przez pandemię. W tym momencie drużyny miały na koncie różną liczbę rozegranych meczów (od 20 do 24), dlatego pandemicznego mistrza wyłoniono na podstawie wyliczenia średniej punktowej (liczba punktów podzielona przez liczbę spotkań). Dzięki temu to właśnie Lokomotive Lipsk uzyskało prawo startu w barażach o 3. Ligę.

LOK u siebie zremisował z SC Verl 2:2, a na wyjeździe 1:1 i – z racji tego, że wtedy bramki zdobyte na wyjeździe liczyły się jeszcze podwójnie – musiał zostać w Regionallidze Nordost.

W trakcie pandemii o klubie z Lipska zrobiło się jednak głośno z innego powodu. Klub wpadł na znakomity pomysł, żeby nieco podreperować nadszarpnięty w związku z sytuacją na świecie (zawieszeniem rozgrywek) budżet. Zorganizował tzw. mecz duchów, na który sprzedawano wirtualne bilety za symboliczne 1 euro. Pierwotnym celem było pobicie frekwencji ze spotkania z Bordeaux (120 tys. widzów), ale ostatecznie sprzedano ponad 180 tys. wejściówek, ponieważ akcja szerokim echem odbiła się w całej Europie. Klub pociągnął temat dalej i zorganizował na YouTube bardzo ciekawą transmisję z niecodziennego spotkania. Były gole, pirotechnika, wywiady i komentatorzy TV. Zarobiono ponad 200 tys. euro.

Probstheida to dzielnica zlokalizowana na południowo-wschodnich rubieżach miasta. Wjeżdżając tutaj od strony Drezna (czyli de facto od strony polskiej granicy) – jadąc na stadion LOK – nawet nie liżniecie centrum Lipska. Kilka przecznic, niskie kamienice, małomiasteczkowy klimat, jakieś supermarkety.

Na stulecie największej bitwy tzw. okresu napoleońskiego, którą stoczono właśnie pod Lipskiem (to w jej trakcie poległ książę Józef Poniatowski). Monument jest największym pomnikiem w całej Europie i naprawdę robi niesamowite wrażenie swoim rozmachem (ma prawie 100 m wysokości).



Ani się obejrzyście (po wjeździe do miasta) i już będziecie na miejscu. W niedzielne, majowe przedpołudnie jest tutaj po prostu sennie. Czuć, że do 1910 r. była to osobna jednostka administracyjna, niezależna od Lipska.

Co ciekawe – największą atrakcją dzielnicy (oraz całego miasta) wcale nie jest stadion LOK, a zlokalizowany tuż obok słynny Pomnik Bitwy Narodów z 1913 r.

Bruno-Plache-Stadion jest tylko kilka lat młodszy od Pomnika Bitwy Narodów, ponieważ oddano go do użytku na początku lat 20-tych ubiegłego wieku.

W 1932 r. powstał natomiast najbardziej charakterystyczny element stadionu, czyli drewniana, zadaszona trybuna główna, która w praktycznie niezmienionym stanie przetrwała do dziś. To jedna z najstarszych trybun tego typu w całej Europie.

Klimat (przedmeczowy i meczowy) jest na tym stadionie niepodrabialny, a zimne piwo smakuje w takich okolicznościach wybornie (Adam, dzięki za wszystko!). *Bruno-Plache-Stadion* jest wymarzonym miejscem dla wszystkich miłośników hasła #againstmodernfootball.

Stoiska gastronomiczne na świeżym powietrzu oraz drewniane stoły przy których przyjemnie płynie czas przed pierwszym gwizdkiem. Do tego bardzo duża przestrzeń pod trybunami, po której nie ganiają cię żadni stewardzi. Tu oddycha się futbolem.



Większość stadionu to natomiast tylko i wyłącznie miejsca stojące poprzecinane co kilka rzędów barierkami. Na barierkach oczywiście setki vlepek, a nad całym tym inwentarzem górują strzeliste jupitery w starym stylu. Jeśli dodamy do tego jeszcze tę drewnianą trybunę, to w klimacie *Bruno-Plache-Stadion* naprawdę można się zakochać. Takich miejsc nie ma już wiele. Tutaj czas zatrzymał się co najmniej dwie dekady temu.

Jednym z haseł marketingowych LOK-u jest motto *Fußball pur*, czyli *Czysty futbol*.

Pasuje idealnie.

\*\*\*

Zmęczonych nowoczesnymi stadionami przypominającymi centra handlowe oraz wszechobecną komercją. Tutaj od pierwszych kroków oddychasz pełną piersią, czujesz stadionową wolność.

Drewniane budki, w których znajdują się świetnie zaopatrzone sklepy z gadżetami (zarówno klubowymi, jak i kibicowskimi).

Ligowy mecz z Carl Zeiss Jena – choć nie miał już większego znaczenia dla układu tabeli 4. Ligi – był dla obu stron jednym z najbardziej prestiżowych w całym sezonie. LOK i Carl Zeiss to jedne z największych piłkarskich marek pochodzących z byłej NRD. O Lokomotive wszystko napisałem już wcześniej, natomiast klub z Jeny ma jeszcze bardziej imponujące osiągnięcia:



– 3 mistrzostwa NRD, 9 wicemistrzostw NRD, 5 brązowych medali,

– 1. miejsce w tabeli wszech czasów DDR-Oberligi (1097 zdobytych punktów),

– finał Pucharów Zdobywców Pucharów w sezonie 1980/1981,

– ćwierćfinał Pucharu Europy (1970/1971), ćwierćfinał Pucharu UEFA (1969/70, 1977/78),

– 87 meczów w europejskich pucharach (więcej ma tylko Dynamo Drezno – 98).

Druga sprawa to kwestie kibicowskie. Fani Carl Zeiss Jena są znani ze swoich lewicowych poglądów, a ich największą kosą jest lokalny rywal z Turyngii, czyli Rot-Weiss Erfurt (tutaj sympatie na trybunach zdecydowanie bardziej kierują się w prawą stronę, więc rywalizacja pomiędzy obiema grupami odbywa się na kilku płaszczyznach i nie chodzi tylko o prymat w regionie). Przede wszystkim chodzi jednak o to, że Rot-Weiss Erfurt mocno sympatyzuje z kibicami LOK-u, co chyba jasno określa relacje na linii Lipsk-Jena.

Klimat na LOK jest nieco zbliżony do tego, który panuje na trybunach BFC Dynamo. Tutejsza publika za swoich złotych czasów również kwalifikowała się do tej kategorii fanów, o których zwykło się mówić, że nie posiadają talentu wokalnego, skupiając się na bardziej sportowych elementach kibicowskiego rzemiosła. Co tu dużo pisać – LOK w latach 90-tych to była ścisła czołówka, jeśli chodzi o zadymy na stadionach. Klimat ultras pojawił się tutaj zdecydowanie później i – choć wydaje się bardziej rozwinięty niż na BFC Dynamo – to chyba nadal nie odgrywa najważniejszej roli na trybunach.

Nie ulega też wątpliwości, że LOK, jeśli chodzi o doping i oprawy, jest daleko za swoimi odwiecznymi rywalami z Chemie Lipsk.

Szczególnie że we wcześniejszych latach *ultrasi* mieli różne przeboje z *ekipą sportową* LOK, której niespecjalnie podobały się lewicowe zapędy nowej frakcji na stadionie. W związku z tym były sezony, kiedy na meczach Lokomotive w ogóle nie było zorganizowanego dopingu, a niektóre grupy były ze sobą mocno skonfliktowane.

*Bruno-Plache-Stadion* jest trochę jak *Sportforum Hohenschönhausen*. Dużo starych chłopów na kibicowskiej emeryturze, którzy dzisiaj mecz traktują przede wszystkim jak spotkanie towarzyskie. Jakieś malowanie opraw to już zdecydowanie nie ich działka. LOK wydaje się jednak zdecydowanie mniej hermetyczny niż BFC. Tam w zasadzie nie spotkacie nikogo spoza jasno określonego klimatu, natomiast w Lipsku na mecze chodzi też sporo bardziej przypadkowych osób, które nie wychowały się na półfinale z Bordeaux i innych europejskich przebojach w wykonaniu kapeli z *Probstheida*. W młynie jest też sporo młodzieży.

Na trybunach, wśród kibiców widać też sporo odniesień do VfB Lipsk. To hołd nie tylko dla krótkiego prosperity z pierwszej połowy lat 90-tych (wspomniany epizod w 1. Bundeslidze), ale także dla czasów przedwojennych. Klub długo walczył o to, żeby zostać oficjalnym spadkobiercą pierwszego mistrza Niemiec i móc uważać się za kontynuatora jego tradycji, przy okazji powiększając swoją gablotę o trofea wywalczone przez VfB.

Udało się to zrobić w 2021 r.

W związku z tym data założenia Lokomotive Lipsk zmieniła się z 1966 na... 1893 r., a nad klubowym herbem pojawiła się gwiazdka symbolizująca trzy mistrzostwa kraju zdobyte pomiędzy 1903 a 1913 r.

Do tej młynowej klateczki w porywach uda się napchać z kilkaset osób, a jej marna akustyka oraz duża odległość od murawy powodują, że doping absolutnie nie powala na kolana.



\*\*\*

Młynek LOK-u to prostu *klatka* na łuku stadionu bardzo oddalona zarówno od murawy, jak i pozostałych sektorów na popularnym *Bruno*. Jeśli zapytalibyście kogoś mniej zorientowanego o to, gdzie znajduje się sektor gości, to niechybnie wskazałby właśnie na młyn LOK-u.

Trybuna nazywana *Fankurve* 1966 podczas meczu z Carl Zeiss Jena była oczywiście szczelnie wypełniona, ale to wcale nie oznacza jakiegoś spektakularnego wyniku.

Głośno robi się dopiero wtedy, kiedy do dopingu spontanicznie podłącza się cały stadion na czele z drewnianą, zadaszoną trybuną.

Klimat brytyjski, analogiczny do tego, który panuje na BFC Dynamo (mnóstwo kibiców na płocie rozwiesza swoje, prywatne flagi, które trzyma w domach).

Ma to wszystko swój urok. Szczególnie patrząc z polskiej perspektywy, gdzie nabity młyn to podstawa dobrej atmosfery na trybunach.

Zdecydowanie głośniejsi byli więc kibice Carl Zeiss Jena, którzy szczególnie, w kilkaset osób, wypełnili sektor gości. Ekipa z Jeny to zresztą ścisła czołówka byłej NRD, jeśli chodzi o doping i oprawy.

A derbowa rywalizacja w mieście jest naprawdę napięta i uznawana za jedną z najgorętszych w całych Niemczech. Obie strony mają się różnych pomysłów, żeby uprzykrzyć życie rywalom.

Fot. Sudkurve/Carl Zeiss Jena



Fani Carl Zeiss dopingują we włoskim stylu, zawsze są świetnie oflagowani (zarówno na płotach, jak i trybunach, gdzie obok dużych flag na kijach są też te znacznie mniejsze na dwóch). Daje to super efekt wizualny. Fanów z Turynii na pewno dodatkowo podkreśla emocjonujący przebieg meczu, który ich zespół wygrał 4:2.

Nieco ponad 4 tys. widzów na stadionie LOK-u nie rozdzierało jednak szat z powodu porażki, ponieważ wszyscy czekali już na finał Pucharu Saksonii, który niedługo później był rozgrywany na *Bruno*. LOK w wielkim finale ograł Chemnitzera FC 3:0 i awansował tym samym do 1. rundy Pucharu Niemiec. Losowanie okazało się niezwykle atrakcyjne i w sierpniu do Lipska przyjedzie Eintracht Frankfurt, czyli najmocniejsza zgoda... Chemie.

LOK kiedyś wywieszał na ulicach kukły-podobizny najważniejszych kibiców Chemie, a rywale swego czasu zamurowali fanom LOK tunel prowadzący na stadion *Bruno*. Gdy policja rozbiła pierwszy mur, to okazało się, że zaraz za nim jest jeszcze jedna ściana. Tym razem z cytatem z *Forresta Gumpa*: „Życie jest jak pudełko czekoladek. Nigdy nie wiesz, na co trafisz”.

Warto dodać, że finał z Chemnitzerem FC oglądało aż 10 700 widzów, co jest najwyższą frekwencją na Bruno od 1998 r. (rekord w 11. Lidze pobito na Stadionie Centralnym).



BAZAR  
OTO CZONY  
ZABYTKAMI  
Z LISTY  
UNESCO



Jedynym miejscem w przygranicznym Bad Muskau, w którym w weekendy tworzą się kolejki jest bankomat. W niedzielę, wczesnym popołudniem, wypłata gotówki coraz częściej odbywa się przy akompaniamencie najpopularniejszych niemieckich przekleństw. Mocno eksploatowana od kilkudziesięciu godzin maszyna wyświetla bowiem komunikat, że nie dysponuje już pełną paletą nominałów i chętnie wypłaci 50 euro, zamiast trzy razy po 20. Revolut zostaje natomiast bezceremonialnie wypłuty, niczym bękart wśród instrumentów płatniczych. Wypłacona gotówka rozplynie się zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej. Ale już po drugiej stronie granicy.

\*\*\*

Bad Muskau oraz Łęknica tworzą chyba najdziwniejszy transgraniczny konglomerat, jaki powstał wzdłuż Odry i – w tym przypadku – Nysy Łużyckiej. Na przestrzeni zaledwie kilku kilometrów kwadratowych można tu zobaczyć zarówno rzeczy zachwycające, jak i budzące trwogę.

\*\*\*

Zachwycający jest oczywiście założony na początku XIX wieku Park Mużakowski, który rozciąga się obu stronach granicy i – gdyby nie słupki graniczne, ewentualnie znajomość sieci hydrograficznej – nie sposób byłoby dostrzec, w którym momencie dokonujemy transferu z Polski do Niemiec oraz w drugą stronę. Większa część parku leży po stronie polskiej, ale jego największe atrakcje są już stricte niemieckie. To oczywiście słynny zamek, oranżeria czy najbardziej efektowna część ogrodu angielskiego z niebieskim, ukwieconym mostkiem, który jest mocno eksploatowany na Instagramie.

Jedyne kontrowersje budzi czasami tylko twórca tego miejsca (i tym samym patron niemieckiej części parku), czyli hrabia Hermann von Pückler-Muskau. Człowiek o niewątpliwie szerokich horyzontach, który np. jako pierwszy niemiecki pisarz używał papieru kalkowego. Ale jak to typowy arystokrata z tamtych czasów miewał też nieco mniej przemyślane pomysły. Z jednej z wypraw do Afryki wrócił bowiem z kochanką kupioną na targu niewolników.

Żonie hrabiego, delikatnie rzecz ujmując, niespecjalnie się to spodobało. W konsekwencji gość błyskawicznie wrócił pod pantofel i wyjechał do Berlina ratować małżeństwo, a Afrykanka została w pałacu w Bad Muskau. Surowy, środkowoeuropejski klimat zrujnował jej zdrowie, dlatego szybko umarła.

\*\*\*

Samo Bad Muskau to z kolei uroczne, saksońskie miasteczko, które – z racji warunków naturalnych – rozciąga się w zasadzie wzdłuż jednej ulicy. Wciśnięte pomiędzy Nysę Łużycką wraz z Parkiem Mużakowskim oraz zalesione pagórki już po niemieckiej stronie. W telegraficznym skrócie: zadbane, malutkie kamienice, kostka brukowa, sterylny porządek oraz status uzdrowiska (Bad). Dokładając do tego park wraz z pałacem oraz m. in. starą kolejkę wąskotorową otrzymujemy wymarzoną miejscówkę na spędzenie weekendu. Szczególnie że klimatu dodają nazwy ulic napisane także w języku serbołużyckim, czyli zdecydowanie bliższej naszemu sercu słowiańszczyźnie.

\*\*\*

W takim razie który element nie pasuje do tej układanki?



Jest nim Łęknica. Dzisiaj osobne miasteczko, a przed wojną peryferia Bad Muskau. Konkretnie chodzi jednak o tzw. Polenmarkt, czyli – przynajmniej w teorii – klasyczne targowisko na granicy.

Nie urwałem się z choinki. Mieszkam zaledwie kilka kilometrów od granicy, swego czasu napisałem też kilka zdań o wielkim bazarze w Słubicach. Neon z wielkim napisem Zigaretten nie wywołuje u mnie epilepsji, a podróbę Stone Island rozpoznam obudzony w środku nocy. Wiem, z czym się je życie na granicy. Chodzi mi o formę podania.

W Słubicach bazar jest kawałek za miastem, gdzieś pod lasem. W Kostrzynie – choć zaraz za wjazdem do Polski – to dość dyskretnie schowany. W Osinowie Dolnym ulokowany w ruinach starej fabryki. Jeśli nie jesteś tym zainteresowany, to nie będzie pierwszy obrazek, jaki rzuci się w oczy na terenie naszego kraju.

A w Łęknicy?

W Łęknicy bazar zaczyna się razem z białoczerwonym słupkiem granicznym. Nie wjedziesz do Polski, jeśli najpierw nie przejedziesz przez bazar. Kontrast i szok są tym większe, że pełniąc rolę naturalnej granicy Nysa Łużycka to nie jest Odra. To mała rzeka, której brzegi spina w zasadzie symboliczny mostek. W kilka sekund zamieniasz więc urokliwe Bad Muskau na obrazek z trzeciego świata.

– Widziałam już kiedyś takie targowisko. W Wietnamie – usłyszałem od narzeczonej w trakcie forsowania Nysy Łużyckiej.

Przekraczając granicę od razu wjeżdża się w samo serce bazaru, który składa się przede wszystkim ze zdezelowanych bud.

Ludzie chodzą środkiem ulicy, bo nie ma chodników – panuje wszechobecny chaos i totalny ro\*pierdol. Targowisko w Słubicach wygląda przy Łęknicy jak luksusowy dom towarowy Harrods w Londynie.

Łęknica to początki drapieżnego kapitalizmu w Polsce. Wczesne lata 90-te, brakuje chyba tylko łózek polowych. Płatność tylko gotówką (euro), brak paragonów, ceny ustalane po wybadaniu zasobności portfela potencjalnego klienta.

Opinie siłą rzeczy też są nienajlepsze. Nie tylko dlatego, że to budy z dykty i kartonu. Swoje towary oferuje tutaj coraz mniej Polaków.





Dominują Bułgarzy i przedstawiciele innych byłych demoludów – nachalnie próbując wyciągnąć od DDR-owców każdego eurocenta.

Stary NRD-owiec to nie jest skomplikowana jednostka. Chodzi w niemodnych koszulkach spod szyldu Camp David, lubi tandetę i niepotrzebne rzeczy. Nie ma też wyrafinowanego podniebienia. Nie trzeba stawać na głowie, żeby go zadowolić. Polacy już dawno to skumali – zauważyli, że stosunkowo łatwo można zapracować na lojalność sąsiada, jeśli nie próbujesz go skrócić na rympał. A DDR-owiec potrafi odwzajemnić się lojalnością. Na przykład w trakcie pandemii niektórzy w ogóle nie chodzili do niemieckich fryzjerów, tylko czekali na otwarcie granic i zarośnięci wracali do Osinowa Dolnego, czyli tzw. wioski fryzjerów, gdzie przypada najwięcej zakładów tego typu na mieszkańca w Europie.

Na łęknickim „Polenmarkt” nie ma jednak sentymentów, a lokalna społeczność chyba się do tego dostosowuje. Ja na stacji nie musiałem płacić za toaletę, DDR-owiec musiał.



Całość idealnie uzupełniają komentarze na google. O zwiedztłych kwiatkach malowanych farbą i oszukiwaniu na parkingach. Do tego odpowiedzi administratora, który w zdumiewający sposób tłumaczy wszelkie zażalenia klientów. Na przykład tym, że ten bazar to 30 lat historii (pożarów, powodzi i ludzi, którzy umarli), dlatego chcą, żeby pozostał w takiej formie, jak dotychczas. Social media ninja.

Mimo wszystko interes ciągle się kręci, a bankomat w Bad Muskau co weekend przeżywa oblężenie. A to wszystko w otoczeniu pięknych zabytków z listy UNESCO. Jedna wycieczka, ale dookoła świata.

\*\*\*

Miejscowy klub SV Rot-Weiß Bad Muskau słynie przede wszystkim z sekcji hokejowej, ale w zespole piłkarskim karierę kończył m. in. wicemistrz olimpijski z Barcelony Andrzej Kobylański.

Aktualnie drużyna gra w 9. Lidze, choć sama określa się mianem „Sity znad Doliny Nysy”.



# Hokejowy cud na łużyckiej prowincji



Weisswasser (tż. Bęta Woda) dopiero w 1935 r. otrzymało prawa miejskie. Załedwie kilkanaście lat później w miasteczku zaczęła się natomiast pisać historia najbardziej utytułowanej drużyny hokejowej w historii NRD.

\*\*\*

Weisswasser dosłownie wyrasta z gęstego lasu, który przed wiekami dawał schronienie Serbotużyczanom. To najbardziej na zachód wysunięte plemię słowiańskie, które jako jedyne po drugiej stronie Odry przetrwało aż do dzisiaj, choć jego populacja liczona jest w tej chwili na co najwyżej kilkadziesiąt tysięcy w większości zgermanizowanych ludzi.

Sama miejscowość przez wieki nie odgrywała żadnej znaczącej roli, będąc tylko podnóżkiem dla opisywanego w poprzednim "odcinku" Bad Muskau. Zmiany nastąpiły dopiero w XIX wieku, kiedy w okolicach zaczęto wydobywać węgiel brunatny, a w samej miejscowości bardzo mocno rozwinął się przemysł szklarski. Produkowano tutaj wszystko. Od okien, przez zastawę stołową aż po klosze do żarówek znanej i lubianej firmy Osram.

W konsekwencji Weisswasser – jako miasto (oficjalnie dopiero od 1935 r.) stricte robotnicze – zaczęło rozbudowywać się bardzo późno. Nie posiada starówki ani żadnych zabytków. Zabudowania się co najwyżej kilkudziesięcioletnie (przeważnie już z czasów NRD), a siatka ulic zaprojektowana na deskach kreślarskich, więc zdominowana przez kąty proste.

Miasto rozbudowało się wbrew warunkom naturalnym, w środku lasu. Na początku XX wieku natura chciała wyrwać to, co należało do niej i Weisswasser nawiedzały pożary.

Problem rozwiązał miejscowy leśniczy, który prawdopodobnie jako pierwszy człowiek na świecie zaczął budować w lasach obserwacyjne wieże przeciwpożarowe wraz z całym systemem ostrzegania.

Po wojnie – już za czasów NRD – miasto nadal słynęło z produkcji szkła, ale prawdziwy boom w kwestii rozwoju populacji nastąpił w latach 70-tych, kiedy w okolicy powstały: wielka elektrownia Boxberg (do dzisiaj uznawana za jednego z największych trucicieli w tej części Europy) oraz odkrywkowa kopalnia węgla brunatnego, ale tym razem na naprawdę gigantyczną skalę.

W 1970 r. w Weisswasser mieszkało 19 tys. ludzi, dekadę później już 30 tys., a w 1988 r. ponad 38 tys. (najwięcej w historii).

\*\*\*

Po zjednoczeniu Niemiec tendencja – w równie szybkim tempie – zaczęła się odwracać. Gdy NRD chyliła się ku upadkowi, mieszkało tutaj prawie 40 tys. mieszkańców. Dzisiaj załedwie nieco ponad 15 tys.

Transformacja była bolesna – wiele firm musiało zostać zamkniętych, a inne, odcięte od państwowej kropłówki, dokonywały drastycznej redukcji etatów, żeby przetrwać. Nie było już możliwości, żeby w elektrowni Boxberg nadal pracowało 4600 osób, jak u szczytu jej sławy w latach 80-tych.

W konsekwencji zaczęto wyburzać kolejne kwartały bloków z wielkiej płyty. Niewiele jest zresztą miast w byłej NRD, w których systematyczne kurczenie się substancji miejskiej jest aż tak widoczne.



Wszystko za sprawą tzw. pasażu południowego, czyli centrum handlowego (dzisiaj to po prostu Kaufland i kilka mniejszych sklepów), które lata temu zostało zbudowane w samym sercu osiedla mieszkaniowego.

Po upadku NRD zaczęto burzyć kolejne bloki w okolicy i dzisiaj ten pasaż handlowy znalazł się de facto już poza miastem, ponieważ wokół nie został już żaden budynek mieszkalny. Są tylko uliczki i pusty obszar, który znowu na swoje potrzeby odzyskuje naturę. Od jakiegoś czasu po Niemczech nareszcie można sobie pojeździć dzięki googłowskiemu street view, więc w wolnej chwili polecam taką wycieczkę przed ekranem komputera.

\*\*\*

Naturze zaczął też pomagać sam człowiek. Tereny na których zakończyło się odkrywkowe wydobywanie węgla brunatnego są rekultywowane, tj. ponownie zalesiane itd. Efekty można podziwiać z jednej z największych atrakcji miasta, czyli wieży widokowej usytuowanej tuż przy terenie kopalni. Widok z niej przypomina kosmiczny krajobraz oraz obrazuje rozmach tego, jak wielkie przestrzenie są degradowane przez odkrywkowe wydobywanie węgla. A gdy się obrócimy, to widać, jak Weisswasser dosłownie wyrasta z lasu.

Jeśli ktoś potrzebuje nieco mniej kontrowersyjnych obrazków, to powinien z kolei udać się pod Weisswasser, a konkretnie do pięknego ogrodu rododendronów i azalii w Kromlau ze słynnym kamiennym mostkiem, który jest jednym z najpopularniejszych instagramowych kadrów w tej części Niemiec. Wstęp jest darmowy, trzeba tylko, ewentualnie, skorzystać z parkometru.

Zdecydowanie największą dumą Weisswasser jest jednak drużyna hokejowa – wizytówka miasta od wielu dekad.

W hokeja grano tutaj jeszcze przed wojną, więc w nowej, socjalistycznej rzeczywistości szybko stało się jasne, że niewielkie miasteczko przy granicy z Polską też będzie chciało zbudować klub liczący się w tej dyscyplinie sportu. Nikt nie spodziewał się jednak, że miejscowa drużyna zapracuje na miano najbardziej utytułowanej w historii NRD i łącznie zdobędzie aż 25 (!) tytułów mistrzowskich.

Klub szybko trafił pod resortowe skrzydła Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które w 1953 r. utworzyło stowarzyszenie sportowe „Dynamo”, więc hokeiści z Białej Wody siłą rzeczy przyjęli nazwę SG Dynamo Weisswasser. Aż do zjednoczenia Niemiec toczyli pasjonującą rywalizację o prymat w NRD z „bratnim” SC Dynamo Berlin. Nikt nigdy nie przerwał dominacji tego duopolu. Od 1951 do 1990 r. po mistrzostwo sięgały tylko dwa Dynama.

Historię hokeja w NRD trzeba jednak podzielić na dwa etapy. Od 1951 do 1970 r. funkcjonował normalny system ligowy – kilka klas rozgrywkowych, spadki, awanse, normalna tabela na koniec sezonu. W tym okresie zespół z Weisswasser był absolutnym hegemonem. Zdobył aż siedemnaście tytułów mistrzowskich, a odwieczni rywale ze wschodniego Berlina tylko trzy.

W 1970 r. władze stwierdziły jednak, że hokej to inwestycja o skrajnie niskiej stopie zwrotu. Sport w NRD był bowiem bardzo ważny, a medale olimpijskie oraz sukcesy na mistrzowskich imprezach niezbędne, żeby budować na międzynarodowej arenie mit silnego państwa.

Inwestowano więc w te dyscypliny, które dawały realną szansę na dobre wyniki, a w przypadku hokeja nie było na to szans. Już wtedy w zbyt wielu państwach na świecie był to sport narodowy (Ameryka Północna, północna Europa, ZSRR, Czechosłowacja), żeby na imprezach najważniejszej rangi zakręcić się w okolicach podium.

Przekonał się o tym chociażby Jacek Wszół, który w 1980 r. na igrzyskach w Moskwie został "tylko" wicemistrzem olimpijskim. Przegrał z urodzonym w Schwerinie Gerdem Weissigiem, który wyskakał złoto oraz przy okazji pobił rekord świata. Oczywiście był to jedyny medal w karierze reprezentanta NRD.



Poza tym hokej był bardzo drogi w utrzymaniu, bo większość sprzętu trzeba było sprowadzać ze zgniłego zachodu. Za dewizy.

Wajchę przedstawiono więc w zupełnie inną stronę i w NRD skupiono się m. in. na lekkiej atletyce. Sporcie indywidualnym, w którym "wystarczyło" dobrze naszprycować zawodników, żeby osiągać wyniki lepsze od konkurencji.

Weissig na imprezę docelową został po prostu odpowiednio "doładowany", co sam – po kilku głębszych – przyznał w prywatnej rozmowie z Jackiem Wszółą już po zakończeniu kariery.

\*\*\*

Hokej po 1970 r. miał być w NRD totalnie zaorany. Mówiło się nawet o tym, żeby podłączyć się do polskiej ligi.

Ostatecznie na całkowite rozwiązanie ligi nie zgodził się wszechmocny Erich Mielke, który chciał uratować przynajmniej dwa swoje Dynama (z Weisswasser i Berlina). Lobbował za tym, żeby te dwa kluby pozostały profesjonalne oraz nadal mogły w oficjalny sposób rywalizować na taflach lodu.

Reszta zespołów, które wcześniej też grały w najwyższej klasie rozgrywkowej została natomiast wykluczona z oficjalnych struktur hokeja w NRD. Od tego momentu pozostałe drużyny grały więc sobie już czysto amatorsko i we własnym zakresie. Bez możliwości dołączenia do eksportowej dwójki.



Poza tym mówiło się też, o tym, że NRD musiało pozostać w międzynarodowych strukturach hokejowych, żeby mocne ZSRR i Czechosłowacja miały po swojej stronie dodatkowego sojusznika podczas głosowań itd.

Stworzono więc najmniejszą ligę świata, w której przez dwadzieścia lat rywalizowały tylko dwie drużyny: Dynamo Weisswasser i Dynamo Berlin.

Na początku w nowej, zreformowanej lidze składającej się tylko z dwóch drużyn nadal dominował zespół z Weisswasser (pięć tytułów z rzędu), ale później zdecydowanie lepiej prezentowała się drużyna ze stolicy, która od 1975 do 1990 r. tylko trzykrotnie oddała mistrzostwo hokeistom z Łużyc. Inna sprawa, że – podobnie jak w piłce nożnej – sporo mówiło się o sędziowaniu na korzyść zawsze uprzywilejowanego Dynama Berlin.



To też powodowało, że lodowisko na Sportforum świeciło pustkami, natomiast mecze w Weisswasser oglądało nawet 15 tys. kibiców (grano też na odkrytym lodowisku). Goście nie byli witani chlebem i solą. Na trybunach zdarzały się zamieszki i przerwane mecze.

– Oni byli stolicą, my prowincją. Relacje między nami, zawodnikami, były w porządku, bo później w drużynie narodowej musieliśmy się przecież dogadać, ale z kibicami było zupełnie inaczej. Trzeba pamiętać o systemie zaopatrzenia w NRD: Berlin zawsze był na pierwszym miejscu. W walce politycznej z Berlinem Zachodnim musieli coś ludziom zaoferować, dlatego tak dużo inwestowali w stolicę. Chcąc mieć np. Adidasy trzeba było jechać do Berlina. Można to opisać w ten sposób. Jeśli było milion par tych butów, to tysiąc trafiało do Drezna, sto do Weisswasser, a reszta była w stolicy – mówi były zawodnik Dynamo Weisswasser Peter Slapke w rozmowie z portalem "Merkur".

Hokeiści z Weisswasser – choć na prowincji – żyli na całkiem niezłym poziomie. Jako członkowie związku "Dynamo" – w zależności od posiadanego stopnia – zarabiali tyle, co dobrze sytuowani policjanci oraz dostawali nieoficjalne premie za sukcesy z reprezentacją. Jako że liga składająca się z dwóch drużyn trwała krótko, to sporo jeździli po Europie – grając dodatkowo np. mecze towarzyskie z różnymi reprezentacjami. Brali też oczywiście udział w europejskich pucharach. Dynamo Weisswasser w latach 70-tych dwukrotnie dotarło do półfinału Pucharu Europy. Na wszystkich wyjazdach byli monitorowani przez Stasi, a przed ważniejszymi spotkaniami (przede wszystkim kadry) łkali Turinabol, który przyspieszał wzrost masy mięśniowej.

– Mówiono nam, że w Moskwie jest wszystko, a gdy tam pojechaliśmy, to okazało się, że to miasto pełne ruder i beznogich weteranów wojennych. W Szwecji było natomiast wspaniale, więc tłumaczyli, że to wszystko mistyfikacja, potiomkinowska wioska i pochowali przed nami żebraków – śmieje się Slapke.

\*\*\*

Po upadku muru berlińskiego zespół z Weisswasser – razem z Dynamo Berlin – załąpał się do zjednoczonej, 1. Bundesligi, ale nie był w stanie zagrać tam na dłużej miejsca. Od początku lat 90-tych, w zasadzie nieprzerwanie, gra w 2. Bundeslidze.

Dzisiaj nazywa się Lausitzer Füchse, czyli Łużyckie Lisy, co ma podkreślać związek nie tylko z Weisswasser, ale i całymi Łużycami, bo hokej w tym regionie jest ważniejszy niż religia. Liczba sprzedanych karnetów na nadchodzący sezon będzie rekordowa i czterocyfrowa. A Weisswasser ma dzisiaj tylko 15 tys. mieszkańców.

Zmieniły się też relacje z klubem z Berlina (dzisiaj dawne Dynamo to Eisbären) – teraz jest to ścisła współpraca na terenie byłej NRD.



**BLOCK B**

**TUTAJ  
STRZELAŁ  
ROMAN  
KOSECKI**



Eisenhüttenstadt, czyli w dosłownym tłumaczeniu „Miasto Huty Żelaza” to nrdowska odsłona Nowej Huty w wersji premium. Miasto zaprojektowano i zaczęto budować od podstaw w latach 50-tych – pod pierwotną nazwą Stalinstadt – jako osiedle dla pracowników wielkiej huty żelaza. W ciągu pierwszej dekady istnienia przybyło tutaj 10 tys. ludzi. U schyłku NRD mieszkało tutaj prawie 55 tys. osób.

Wraz z miastem powstał też klub piłkarski najbardziej znany pod nazwą BSG Stahl Eisenhüttenstadt.

Per saldo Eisenhüttenstadt było zbyt małym ośrodkiem miejskim, żeby na dobre zadomowić się w NRD-owskiej Oberlidze, w której grało zaledwie 14 drużyn i trzeba było pomieścić zespoły ze stolicy, Drezna, Magdeburga, Rostocku, Lipska, Chemnitz (Karl-Marx-Stadt), Halle, Turynii czy nawet sąsiadów z Frankfurtu nad Odrą, którzy na początku lat 70-tych dostali wypchniętą z Berlina przez szefa BFC Dynamo Ericha Mielke drużynę Vorwärts wspieraną przez wojsko.

Na zapleczu NRD-owskiej ekstraklasy, czyli w DDR-Lidze BSG Stahl była jednak gigantem. W tabeli wszech czasów drugiej klasy rozgrywkowej zajmuje drugie miejsce, tuż za Wismutem Gera. Zespół z Eisenhüttenstadt w DDR-Lidze rozegrał aż 30 sezonów, wygrał prawie połowę z 779 rozegranych spotkań.

Świetna postawa na zapleczu zaowocowała trzema sezonami rozegranymi w elicie, czyli DDR-Oberlidze. BSG Stahl zadebiutowała w ekstraklasie w sezonie 1969/1970. Huta sygnęła wówczas groszem, żeby wzmocnić zespół, ale beniaminek i tak wyraźnie odstawał od reszty stawki i rozgrywki zakończył na ostatniej, czternastej pozycji.

BSG Stahl po spadku chciała szybko się odbudować i jeszcze raz zaatakować elitę, ale zaledwie po dwóch kolejkach kolejnego sezonu 1970/1971 została karnie zdegradowana do ligi okręgowej. Klub został ukarany za „futbolowe kłusownictwo”. Przyjemne warunki do życia we wzorowym socjalistycznym mieście (duże mieszkania w nowym budownictwie i dobrze płatne etaty w hucie bez konieczności ciężkiej pracy) były atrakcyjną ofertą dla wielu zawodników nawet z Oberligi. Przedstawiciele Stahli grasowali więc po całej NRD i – za plecami klubów – próbowali ściągać do siebie coraz lepszych piłkarzy. Pięć nowych mieszkańców równało się pięciu nowym zawodnikom. Władze uznały to za niemoralny brak poszanowania dla socjalistycznego miru.

BSG Stahl szybko wróciła z rozgrywek regionalnych na zaplecze najwyższej klasy rozgrywkowej, ale skrupulatnie kontrolowana przez władze, na kilkanaście lat ugrzęzła w DDR-Lidze. Do elity ponownie zapukała jednak w kluczowym momencie, ponieważ po raz drugi awansowała do DDR-Oberligi w 1989 roku, gdy socjalistyczny raj definitywnie chylił się ku upadkowi. Zespół z Eisenhüttenstadt rozegrał w NRD-owskiej ekstraklasie jeszcze dwa sezony i – jak się okazało – to były ostatnie dwa sezony w historii tych rozgrywek. BSG Stahl nieoczekiwanie wzięła więc udział w gaszeniu światła w NRD-owskim futbolu i jeszcze bardziej nieoczekiwanie uszczknęła dla siebie całkiem pokąźny kawałek zjednoczeniowego tortu.

Największy sukces osiągnęła w Pucharze NRD. W sezonie 1990/1991 dotarła do wielkiego finału, w którym przegrała 0:1 z Hansą Rostock (po drodze opędzlowała jednak m. in. Carl Zeiss Jena, FC Magdeburg i Union Berlin).



Hansa w tamtym sezonie sięgnęła po podwójną koronę, więc Stahl – jako finalista – wywalczyła przepustki do gry w Pucharze Zdobywców Pucharów.

To nie był chichot. To był już rehot historii. Modelowe, wzorcowe miasto NRD mogło pokazać się na europejskiej arenie w momencie, gdy kraj, który wydał je na świat był właśnie wymazywany z map i atlasów.

Klub, który w międzyczasie musiał zmienić nazwę na Eisenhüttenstädter FC Stahl (po zjednoczeniu Niemiec nie mógł już korzystać ze skrótu BSG oznaczającego Zakładowe Stowarzyszenie Sportowe) nie miał szczęścia w losowaniu PZP i trafił na słynne Galatasaray. W pierwszym meczu na własnym stadionie Hutnicy postawili się faworyzowanym Turkom i przed przerwą wyszli nawet na prowadzenie 1:0.

Ostatecznie zespół ze Stambułu odwrócił jednak losy spotkania i wygrał 2:1. Jednego z goli strzelił Roman Kosecki, czyli ówczesna gwiazda Galaty. Mecz w Eisenhüttenstädt oglądało zaledwie 3,5 tys. widzów (ludzie mieli wówczas inne problemy na głowie).

W rewanżu w Turcji zespół z Eisenhüttenstädt nie miał już nic do powiedzenia i przegrał 0:3. Kolejnego gola w tym dwumeczu zdobył Kosecki. Tak zakończyła się pierwsza i ostatnia przygoda Hutników w Europie.

Dzisiaj klub nazywa się FC Eisenhüttenstadt i gra w 7. Lidze. Ciągłe na tym samym stadionie (Stadion der Hüttenwerker), na którym ponad 30 lat temu Stahl grała z Galatasaray. Obiekt od tamtego czasu w zasadzie w ogóle się nie zmienił i jest żywą pamiątką po czasach NRD.



# Jedyny piłkarz z Afryki w historii NRD

Fot. NDR

październik



Neubrandenburg to jedno z trzech największych miast (obok Rostocku i Schwerina) północnej części byłej NRD, która dzisiaj funkcjonuje jako land o nazwie Meklemburgia-Pomorze Przednie. W latach 80-tych zabrakło niewiele, żeby zrealizować tutaj ambitny cel, jakim było złamanie bariery 100 tys. mieszkańców.

Neubrandenburg – choć był naprawdę dużym ośrodkiem – nigdy nie odniósł znaczących sukcesów w nrdowskiej piłce nożnej. Miejscowy SC Neubrandenburg spędził zaledwie jeden sezon w najwyższej klasie rozgrywkowej, czyli DDR-Oberlidze.

Tego historycznego awansu nie udałoby się wywalczyć, gdyby nie gwinejski napastnik Cherif Souleymane.

Gwinea uzyskała niepodległość w 1958 r. i początkowo nie za bardzo wiedziała, w którym kierunku podążyć. Francuzi przestali się interesować swoją byłą kolonią, więc nowe państewko zaczęło szukać wsparcia w innym systemie walutowym – próbując ogarnąć rzeczywistość m. in. pod skrzydłami ZSRR. Koniec końców Gwinea i tak wróciła pod „opiekę” Francji oraz szeroko pojętego kapitalizmu, ale przez kilka lat współpracowała z „demoludami”.

Jej efektem były chociażby wymiany studenckie. W ten sposób na początku lat 60-tych do Neubrandenburga z Gwinei trafił Cherif Souleymane. Niedoszły hydraulik, który przez dwa lata miał studiować w NRD architekturę w ramach rządowego stypendium. Na początku mieszkał z prawie 30 innymi studentami z Angoli oraz Mozambiku i niespecjalnie odnajdował się nowej, socjalistycznej rzeczywistości surowej Europy Wschodniej.

W wolnych chwilach uprawiał sport (m. in. koszykówkę) w lokalnych drużynach studenckich, a jego ponadprzeciętne umiejętności szybko zauważyli przedstawiciele miejscowego klubu SC Neubrandenburg, którzy bez wahania zaproponowali mu grę w zespole występującym na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej.

Souleymane szybko stał się gwiazdą i podstawowym zawodnikiem drużyny, w której zapracował na przydomek „Pele z Neubrandenburga”. W klubie z północnych rubieży NRD spędził dwa sezony. W drugim (1963/1964) w 23 meczach strzelił 12 goli i poprowadził SC Neubrandenburg do sensacyjnego, historycznego i jedyne w dziejach awansu do najwyższej klasy rozgrywkowej.

Niestety – regulamin DDR-Oberligi nie pozwalał grać w niej obcokrajowcom (wg. socjalistycznych założeń to miały być elitarne rozgrywki dla najlepszych piłkarzy tylko z NRD), dlatego wielki sukces był jednoznaczny z końcem przygody gwinejskiego napastnika z SC Neubrandenburg. Siłą rzeczy pozostał na zapleczu elity i odszedł do lokalnego rywala, Emporu Neusterlitz (w tym mieście też studiował), z którym w sezonie 1964/1965 spadł do ligi okręgowej.

Później dostał nakaz powrotu do Gwinei, gdzie miał się przygotowywać do pierwszego, historycznego występu swojej reprezentacji na igrzyskach olimpijskich.

SC Neubrandenburg bez swojego asa z Gwinei w kadrze w DDR-Oberlidze spędził tylko jeden sezon (1964/1965) i od razu spadł z najwyższej klasy rozgrywkowej. Później już nigdy nie wrócił do elity.

– Gdybyśmy mieli w składzie Pele, to nie spalibyśmy z ligi tak szybko – zgodnie opowiadają po latach byli zawodnicy drużyny z Neubrandenburga.

Souleymane i tak był jedynym zawodnikiem z Afryki w historii futbolu w NRD, ale gdyby udało mu się zagrać w DDR-Oberlidze, to byłby też pierwszym piłkarzem z Czarnego Łądu w najwyższej klasie rozgrywkowej w całych Niemczech, ponieważ w RFN szlaki przetarł dopiero w 1975 r. Ibrahim Sunday z Werderu Breme.

Souleymane do dzisiaj jest postacią dobrze znaną w Neubrandenburgu. Kilka lat temu powstał nawet film dokumentalny pod tytułem „Pele z Neubrandenburga”, w którym prawie 80-letni zawodnik z Gwinei opowiadał o kulisach swojego pobytu w NRD.

Epizod w Europie uznał za jeden z najlepszych momentów w swoim życiu, choć spotkało go też kilka nieprzyjemnych momentów. Z jednej strony był ulubieńcem miejscowej publiczności, z drugiej doświadczał również przejawów rasizmu ze strony rywali.

Nie udało mu się także ożenić ze swoją ówczesną sympatią, ponieważ jej rodzice zablokowali możliwość małżeństwa swojej córki z Gwinejczykiem.



Souleymane wspominał też o tym, że dzieci na ulicy dotykały go, żeby sprawdzić, czy nie jest wysmarowany węglem, a największą terapią szokową był zimowy obóz przygotowawczy, kiedy po raz pierwszy zetknął się ze śniegiem i założono mu na nogi narty biegowe.

Gwinejczyk prawdziwą karierę zaczął jednak robić dopiero po powrocie do ojczyzny. Souleymane został największą gwiazdą stołecznego Hafii FC (co ciekawe teraz ten klub prowadzi polski trener Kazimierz Jagiełło, który po wielu latach odzyskał mistrzowski tytuł).

Z klubem z Konakry w latach 70-tych kilka razy wygrywał Afrykańską Ligę Mistrzów, był też czołową postacią reprezentacji, a w 1972 r. został piłkarzem roku w Afryce (zdobył tzw. afrykańską Złotą Piłkę jako jedyny Gwinejczyk w historii).

Aktualnie Cherif Souleymane jest uważany za najlepszego gwinejskiego piłkarza w historii, który do dzisiaj jest w swoim kraju żywą legendą oraz jednym z najważniejszych futbolowych autorytetów. Prawdopodobnie nigdy by do tego nie doszło, gdyby nie wyjazd na studia do NRD. Co ciekawe – studiów nigdy nie ukończył.



Jahnstadion w Neubrandenburgu, gdzie gole strzelał Cherif Souleymane.

# MIASTO CZTERECH BRAM





Dysproporcje pomiędzy północą i południem NRD były od zawsze kolosalne i to w zasadzie na wszystkich płaszczyznach. Dzisiejsze tereny Saksonii i Turyngii szybko zostały przemysłowym zagłębieniem socjalistycznego kraju, dodatkowo naznaczonym mnóstwem większych oraz mniejszych ośrodków miejskich. Północ (Meklemburgia i północna część dzisiejszej Brandenburgii) były natomiast pustynią.

Jeśli futbol jest zwierciadłem, w którym odbija się otaczająca nas rzeczywistość, to w NRD ta maksyma również znalazła swoje zastosowanie. Nie licząc Hansy Rostock – w całej historii DDR-Oberligi – kluby z dzisiejszego terenu Meklemburgii-Pomorza Przedniego razem uzbierały tylko sześć sezonów w najwyższej klasie rozgrywkowej. Żadna z tych czterech drużyn nie spędziła w elicie więcej niż dwa lata.

Zresztą gdyby nie sztuczna próba wyrównania szans, to być może nigdy nie narodziłaby się potęga Hansy Rostock. W sezonie 1953/1954 aż 14 z 16 drużyn biorących udział w rozgrywkach było z południa NRD. Poza tym swojego reprezentanta w elicie miały jeszcze tylko Poczdam i miasteczko Stendal na zachodzie kraju. Największe zagęszczenie klubów było natomiast w Saksonii, w okolicach dzisiejszego Chemnitz (wówczas Karl-Marx-Stadt), gdzie na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów były aż cztery ekstraklasowe zespoły (nie wspominając już o tym, że kawałek dalej znajdowały się jeszcze Lipsk i Drezno ze swoimi reprezentantami).

To dlatego w 1954 r. klub BSG Empor Lauter został w całości przeniesiony z Saksonii do Rostocku, gdzie później – na jego fundamentach – narodziła się Hansa Rostock.

Na chęci wyrównywania szans pomiędzy poszczególnymi rejonami NRD swoją pozycję zbudował m. in. Neubrandenburg. Miasto położone wyjątkowo niekorzystnie – tak naprawdę pośrodku niczego, gdzieś w połowie drogi pomiędzy Rostockiem a Berlinem, skąd w linii prostej najbliżej jest do granicy z Polską. Władze NRD chciały, żeby Neubrandenburg stał się najważniejszym ośrodkiem (metropolitarnym) tego wyludnionego regionu, który po przejęciu Szczecina przez Polskę został w pewnym sensie obszarem z odciętą głową – bez historycznej stolicy.

Plan był ambitny, ale gdyby NRD przetrwała jeszcze kilka lat dłużej, to prawdopodobnie udało by się go zrealizować praktycznie w 100 proc. Jeszcze w 1950 r. mieszkało tutaj zaledwie 22 tys. ludzi, natomiast docelowo Neubrandenburg miał stać się miastem stutysięcznym! Zabrakło niewiele, ponieważ w 1989 r. liczba mieszkańców znacznie przekroczyła 90 tys. W ten sposób Neubrandenburg – na przestrzeni kilku dekad – awansował z prowincjonalnej „pipidowy” do „20” największych miast w NRD.

Za czasów NRD otwierano w okolicy dużo państwowych zakładów przemysłowych oraz oddelegowano do Neubrandenburga najślynniejszą nrdowską architekt Iris Grund, która miała w zasadzie od podstaw zaprojektować miasto, które w 1945 r. zostało spalone przez Armię Czerwoną. Jej działalność niewątpliwie ukształtowała dzisiejszy wyjątkowo specyficzny wygląd Neubrandenburga.

Jeśli – za pomocą Google Maps – wybierzemy się na krótką, wirtualną wycieczkę po mieście, to rzut satelitarny na historyczne centrum od razu przykuje naszą uwagę.



Bo z góry, zachowując wszelkie proporcje, można odnieść wrażenie, że Neubrandenburg wygląda jak jakaś beta-wersja np. Krakowa. Zachowana siatka prostokątnych uliczek, centralny plac, a to wszystko otoczone plantami, które tworzą skrupulatnie zaplanowany owal wokół tej – mogłoby się wydawać – starówki.

Dynamiczny wzrost liczby ludności wymusił również konieczność rozbudowy miasta i powstania wielu nowych osiedli, które zdominowały bloki z wielkiej płyty. Bez wątpienia najbardziej charakterystycznym osiedlem w mieście jest wybudowane w końcu lat 70-tych Datzeviertel (docelowo dla 10 tys. mieszkańców).



Niestety sama „zawartość” starego miasta nie robi już wielkiego wrażenia i jak na dłoni widać według jakiej myśli architektonicznej przebiegała po wojnie odbudowa historycznej części Neubrandenburga. Wystarczy tylko napisać, że w latach 60-tych Iris Grund „postawiła” na centralnym placu liczący prawie 60 metrów wieżowiec znany jako Dom Kultury i Edukacji, który jest żywym pomnikiem po czasach słusznie minionych.

Jego głównym „elementem” są bloki mające nawet po 14 pięter. Biorąc pod uwagę, że dzielnica jest zlokalizowana na jednym ze wzgórz okalających Neubrandenburg, to doskonale widać je prawie z każdego punktu w mieście. Datzeviertel to w zasadzie „miasto w mieście”. Położone na głębokich suburbiach z pełnym zapleczem edukacyjno-usługowym – dobrze znanym także z polskich blokowisk, które kojarzą się z wielką płytą.

Czasy świetności ma oczywiście już dawno za sobą, a wiele bloków zostało wyburzonych (pozostała po nich osobiwa pamiątka w postaci skwerku, na którym ustawiono różne prefabrykaty). Dzisiaj Datzeviertel to miejsce, które w Neubrandenburgu cieszy się najgorszą sławą.

Piłkarska historia Neubrandenburga (niezbyt bogata) za czasów NRD to natomiast przede wszystkim derbowa rywalizacja pomiędzy wojskowym Vorwärts Neubrandenburg a BSG Post Neubrandenburg, który wcześniej nosił także nazwy: Turbine Neubrandenburg oraz SC Neubrandenburg.



Ma najwięcej wolnych mieszkań do kupienia (już dekadę temu mieszkało tutaj mniej niż 5 tys. ludzi na 10 tys. miejsc) oraz jest skupiskiem ludzi ze smutkiem wypisanym na twarzy (nie brakuje też imigrantów). Pustoszące postnrdowskie blokowiska zawsze kojarzyły mi się z porządkiem. Tak, jakbyś sprzątał trumnę przed jej ostatecznym zamknięciem. Datzeviertel to natomiast bałagan, krzaki, śmieci oraz zarośnięta przestrzeń.

Tak, jak pisałem w poprzednim wpisie miasto doczekało się zaledwie jednego sezonu w DDR-Oberlidze, czyli w najwyższej klasie rozgrywkowej. Historyczny awans w sezonie 1963/1964 wywalczył SC Neubrandenburg, a jego architektem był rewelacyjny Gwinejczyk Cherif Souleymane, który w 23 meczach strzelił 12 bramek. Zawodnik przyjechał do Neubrandenburga w ramach wymiany studenckiej, a został największą gwiazdą zespołu.

Niestety przepisy nie pozwalały grać obcokrajowcom w ekstraklasie, więc awans był jednoznaczny z końcem przygody jedyne go zawodnika z Afryki w historii nrdowskiego futbolu z klubem z Neubrandenburga. Bez swojego asa zespół z północy NRD od razu zleciał z elity i już nigdy do niej nie wrócił.

Po zmiany nazwy na BSG Post Neubrandenburg klub stał się jednak bardzo solidnym zespołem zaplecza ekstraklasy i w tabeli wszech czasów DDR-Ligi zajmuje wysokie, szóste miejsce. Łącznie rozegrał na drugim poziomie rozgrywkowym aż 29 sezonów. Niewiele gorszym wynikiem może pochwalić się lokalny rywal, czyli wojskowy Vorwärts, który w DDR-Lidze spędził 23 sezony (armia przeniosła tutaj piłkarzy w latach 50-tych z Prenzlau).

Derbowa rywalizacja obu zespołów na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej to zdecydowanie najbardziej pamiętny element piłkarskiej historii miasta z czasów NRD (sympatie kibiców rozkładały się mniej więcej po równo). Czasami mecze BSG Post z Vorwärts przyciągały na trybuny prawie 10 tys. widzów i były to spotkania z jedną z najwyższych frekwencji na zapleczu elity w całej NRD.

Najciekawszy – z perspektywy mieszkańców Neubrandenburga – był bez wątpienia sezon 1983/1984, kiedy na zapleczu elity zameldowały się aż trzy zespoły z tego miasta, ponieważ do Vorwärts i BSG Post na rok dołączył też przyzakładowy BSG Baumechanik. Baumechanik od razu spadł, BSG Post zakończył zmagania na trzeciej pozycji, a Vorwärts wygrał całą grupę i wywalczył tym samym prawo gry w barażach o historyczny awans do DDR-Oberligi.

Niestety w tym samym czasie wojsko zdecydowało się rozwiązać kilka swoich klubów w NRD (było ich sporo, a niewiele – poza flagowcem z Frankfurtu nad Odrą – prezentowało odpowiedni poziom) i Vorwärts Neubrandenburg – zamiast grać o awans – został zlikwidowany. Prawo walki w barażach przejęło Dynamo Schwerin (przegrało), a najlepsi zawodnicy przeszli do BSG Post.

Dzisiaj kontynuatorem tradycji BSG Post i największym klubem w mieście jest 1. FC Neubrandenburg 04, który występuje w 6. Lidze.

FC Neubrandenburg swoje mecze rozgrywa w historycznym kompleksie sportowym Jahnsporforum, ale nie na głównym stadionie wielofunkcyjnym z charakterystyczną tablicą wyników, tylko na nieco mniejszym boisku nieopodal, gdzie znajduje się jedna trybuna na 5 tys. widzów. Najbardziej znanym wychowankiem klubu jest Tim Borowski. Były reprezentant Niemiec i zawodnik m. in. Werderu Breme oraz Bayernu Monachium.

Neubrandenburg przede wszystkim jest jednak bastionem kibiców Hansy Rostock, a w mieście od ponad dwóch dekad funkcjonuje jeden z największych fanclubów znany jako VTPNB, czyli Vier Tore Power Neubrandenburg (nazwa oczywiście odwołuje się do czterech bram). O mocnej pozycji VTPNB świadczy fakt, że w 2020 r. dostali możliwość zaprezentowania oprawy na słynnej Südtribüne, której motywem przewodnim było hasło „Zawsze obecni i powszechnie znani: Neubrandenburg to Hansaland”. Nieoficjalne początki VTPNB to 1991 r., a prosta, czarna flaga grupy z białym napisem uważana że jedną z najbardziej kultowych oraz charakterystycznych w młynie Hansy.





*RB Lipsk - Crvena zvezda  
Belgrad*

RB Lipsk to klub, który z byłą NRD nie ma absolutnie nic wspólnego. Zasady jego egzystencji są sprzeczne z wartościami, którym hołdują pozostałe zespoły ze wschodnich Niemiec – traktujące swoją tradycję, tysiące kibiców oraz historię jako rodzaj kropelki trzymającej wegetującego pacjenta przy życiu. Z drugiej strony nie ma przypadku w tym, że to akurat w Lipsku zakotwiczył wielki koncern spod szyldu dwóch byków. Z marketingowej perspektywy to był strzał w dziesiątkę. Wielkie miasto położone na piłkarskiej pustyni, ale z gotową infrastrukturą, która została po mundialu w 2006 r.

Aktualnie dwie wielkie marki z czasów NRD: Chemie i Lokomotive wycierają się w 4. Lidze. To bastiony futbolu sygnowanego etykietką #againstmodernfootball. Kultowe dla każdego, kto na piłkę nożną patrzy z nieco szerszej perspektywy niż „dyscyplina sportu, w której 22 gości biega po murawie”. Dzisiaj, w czasach powszechnej komercjalizacji, futbolowi romantycy są jednak w defensywie.

Tak, jak Jotuze nawijał na „Świątłach Miasta” Grammatika, że hajs nie śmierdzi, bo dziecku nie nakarmi się wdychanym powietrzem, tak samo stuletnia, drewniana trybuna na stadionie „Bruno Plache” należącym do Lokomotive – choć przepiękna – nie zaspokoi futbolowego głodu w mieście, w którym mieszka ponad pół miliona ludzi. I właśnie dlatego w Lipsku pojawił się Red Bull. Nuworysz, który postarał się o nowy, wspaniały świat dla tych wszystkich, którzy całą tę konserwatywną otoczkę wokół futbolu traktują jako zbytek. Jakby na to nie spojrzeć – RB pozwoliło wyleczyć się mieszkańcom Lipska z prowincjonalnych kompleksów byłej NRD. Dostali pakiet: „Liga Mistrzów, Big City Club, place to be”.

Spotkanie pomiędzy RB Lipsk a Crveną zvezdą Belgrad w Lidze Mistrzów było przede wszystkim starciem dwóch zupełnie odmiennych światów.

RB to bijący po oczach #modernfootball, którego nikt tutaj nie próbuje nawet ukrywać, natomiast Crvena zvezda to biegun przeciwny. Skrajny #againstmodernfootball dodatkowo napędzany tysiącami groundhopperów, którzy każdego roku pielgrzymują do Belgradu, żeby doświadczyć książkowej definicji fanatyzmu.

Z drugiej strony – i tutaj mamy z kolei wspólny mianownik – był to też mecz drużyn, które generalnie nie cieszą się w tej chwili powszechną sympatią w Europie. RB Lipsk, z racji na swoją historię i sposób funkcjonowania, pod górkę ma od zawsze i raczej nie jest w stanie zjednać sobie zbyt wielu neutralnych sympatyków futbolu na kontynencie, którzy tylko czekają aż któryś z mniejszych graczy nieco namiesza na europejskiej scenie.

Crvena zvezda kuchennymi drzwiami (a konkretnie na swoich koszulkach) przemyciła natomiast do Ligi Mistrzów słynny rosyjski koncern gazowy, który wcześniej z wiadomych powodów został zbanowany przez UEFA. Poza tym nie trzeba być też ekspertem od geopolityki, żeby mieć świadomość, że powszechnie znane sympatie Serbów – wobec aktualnej sytuacji w Europie – nie stawiają ich w roli klasowego pupila.

Ale jakkolwiek na to nie spojrzeć – możliwość zobaczenia na żywo „Delije” tak blisko od domu nie zdarza się zbyt często, więc plan na środowy, deszczowy wieczór mógł być tylko jeden – Liga Mistrzów w Lipsku.



Mecz teoretycznie był wyprzedany (albo rozdany) wśród członków/posiadaczy karnetów, jednak w Niemczech znakomicie rozwinęty jest tzw. rynek wtórny (czyli odblokowywanie miejsc przez nieobecnych), więc złapanie wejściówek nie było sprawą nawet umiarkowanie trudną.

Zaskakująco bezboleśnie – szczególnie jak na porę dnia – udało się też objechać północno-zachodnią część Berliner Ringu i potem została już w zasadzie tylko ostatnia prosta do Lipska. Zapas czasowy zrobił się imponujący, ale zanim doszło do debaty, co zrobić z tak pięknie zaczęłym popołudniem, to okazało się, że Lipsk po prostu stoi.



W zasadzie sprowadziło się nawet do wyrzadzania w oczekiwaniu na jakieś bardziej przyjazne cenowo miejsca niż te od 40 euro w górę. Skończyło się na 19 euro. Biorąc pod uwagę, że więcej płacono się np. za 4. Ligę w Cottbus, to nie sposób było narzekać. Wyjazd w dwuosobowym składzie w pierwszej jego fazie przebiegał zgodnie z planem. Udało się przed czasem "odbić kartę na zakładzie" i Szczecin opuścić przed największą falą korków.

Z jednej strony popołudniowe korki, z drugiej remonty, a z trzeciej – najważniejszej – wielkie koreto kibiców Crveneje zvezdy, którzy już po godzinie 18, w sile ponad trzech tysięcy, ruszyli w asyście rac i śpiewów na Red Bull Arenę. Trzeba pamiętać, że to nowy stadion wybudowany w niecce starego giganta, więc położony prawie w ścisłym centrum. Dzisiaj już tak się nie buduje, żeby nie paraliżować ruchu w mieście.



Policji wokół było mnóstwo, a „Bild” już kilka dni przed meczem straszył mieszkańców Lipska najstępszym belgradzkim chuliganem – Iwanem Bogdanowem. „On może być wśród tych, którzy przyjadą!” – zapowiadał tabloid.

Ostatecznie meldujemy się pod stadionem na nieco ponad godzinę przed pierwszym gwizdkiem (plus za duży parking i rozsądne kierowanie na nim ruchem), więc najrozsądniejszą opcją wydaje się miłe spędzenie czasu na wielkim placu pod samym stadionem, gdzie rozstawione są stoiska gastronomiczno-alkoholowe.

I tutaj pojawia się pierwszy szok.

Generalnie Niemcy, a była NRD to już w ogóle, to kraj, w którym nadal operuje się przede wszystkim gotówką. W wielu mniejszych sklepach (nawet w Berlinie) nadal nie można płacić kartą albo ewentualnie dopiero od określonej kwoty (np. 10 euro).

Stadiony we wschodnich Niemczech, szczególnie w niższych ligach, to już z kolei absolutne bastiony gotówki, gdzie sprzedają kartą w „gastro” pojawia się sporadycznie i tylko na zdecydowanie wyższym poziomie ligowym (np. Hansa).

Zresztą znam kilku DDR-owców i jeszcze nigdy nie widziałem, żeby używali innego środka płatniczego niż plik banknotów o relatywnie niskich nominałach.

A pod i na stadionie RB Lipsk nastała absolutna nowoczesność w domu i w zagrodzie. Na wszystkich stoiskach można płacić tylko i wyłącznie kartą. Gotówka w ogóle nie jest akceptowana. Mało tego – nawet zwrot kaucji za kubek do piwa (1 euro) odbywa się na kartę!

Ja rozumiem argumenty tych wszystkich, którzy są przeciwni całkowitej likwidacji gotówki (anonimowość itd.), ale akurat w tym przypadku ten stuprocentowy cashless sprawdza się znakomicie. Nie trzeba szukać po drodze bankomatów, kantorów itd. Po prostu nabijasz Revoluta eurasami i „pijesz, bawisz się”. Wygodnie i bez żadnych dodatkowych kosztów w postaci prowizji. Nie mówiąc już o tym, jak drastycznie redukuje to kolejki.

Np. na Hercie kiedyś stałem w kolejce ponad godzinę i jeszcze musiałem wybrać, czy chce coś wypić, czy zjeść (punkty są osobne). A w Lipsku (mecz oglądało ponad 40 tys. widzów) wszystko i wszędzie dostawało się praktycznie od ręki.

Zupełnie nie podoba mi się natomiast fakt sprzedawania biletów tylko w formie kodów QR. Papierowa wejściówka jest pamiątką i integralną częścią futbolowej kultury.

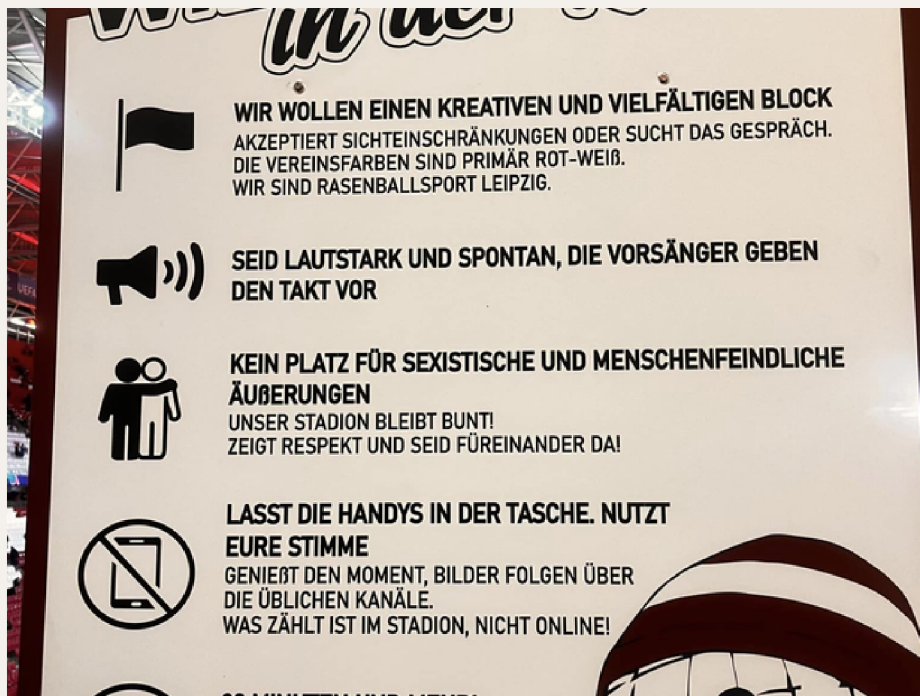
\*\*\*

W „Piłkarskim przewodniku po byłej NRD” napisałem:

„Zupełnie przypomina ich kawę, jak mu zdjąć tę piankę” – puszczał oko do „Ryby” oraz Jurka Kitera dyrektor więzienia Mieczysław Klonisz w filmie „Kiler-ów 2-óch”. Gwiazda penitencjarnej Polski popijała sobie na stołówce Guinnessa, udając przed osadzonymi, że razem z nimi raczy się właśnie więzienną lurą. Na pierwszy rzut oka trudno było się „pokapować”, że coś jest nie tak, ale „pianka” zdradzała, że są jednak pewne rozbieżności pomiędzy zawartością kubka naczelnika, a tym, co piją więźniowie. Mniej więcej tak – oczywiście w dużym uproszczeniu – wygląda różnica pomiędzy RB Lipsk a resztą niemieckiej piłki.”

I kolejna wizyta tylko utwierdziła mnie w tym przekonaniu. Młyn szczelnie zapelniony już na godzinę przed meczem, kiedy inne trybuny świecą jeszcze pustkami. Przed wejściem na sektor tablica informująca, że tutaj się śpiewa, słucha gniazdowego i telefon trzyma w kieszeni. Do tego zbiórka na oprawy.

Skłamałbym pisząc, że nóżka nie chodziła do zarzuconej na melodię z kultowego "Freed from desire" przyśpiewki "Leipzig on fire". Do tego przez cały mecz w środku młyna w ruchu było sporo flag na kijach, a na rozpoczęcie spotkania zaprezentowano oprawę, której głównym elementem były białe-czerwone pelerynki.



Na młynie próżno jednak szukać ubranej na czarno tzw. kumaterii. Są młodzi, starzy, kobiety i dzieci. Cała ta zbieranina na pierwszy rzut oka przypomina "kupionych" kibiców FC SkyTech Nowe Miasto z filmu "Skrzydlate Świnie". Siła kilku tysięcy garded powoduje jednak, że są momenty, gdy w eterze coś się dzieje. Gdyby to nie był młyn RBL, tylko klubu bez konszachtów z wielkim koncertem, to wiele osób stwierdziłoby, że lecą sobie całkiem całkiem.

Sama choreografia nie mogła jednak zrobić wielkiego wrażenia i – nawet jak na możliwości „ultrasów” RB – była przeciętna. Zdecydowanie najgorzej na sektorach RB wygląda jednak oflagowanie. Nie dość, że flagi są drukowane, to jeszcze paskudnie zaprojektowane. Większość wygląda jak namalowana w trzy minuty w Paincie, ale z jedynym kryterium – oczojeb\*ość. Za niektórymi fanami spokojnie mogłaby stać brygada od robót drogowych.

Kibice Crveneje zvezdy wykupili wszystkie bilety na sektor gości oraz kilka tysięcy na sektory okalające klatkę dla przyjezdnych. Było ich też sporo rozsianych po całym stadionie. Oczywiście poruszali się po Red Bull Arenie w barwach i bez żadnego problemu. Łącznie fanów Czerwonej Gwiazdy mogło być w Lipsku nawet ponad 5 tys., z czego spory procent stanowiła diaspora mieszkająca w Niemczech.

Na rozpoczęcie spotkania „Delije” zgodnie unieśli szale i odpalili kilkanaście rac, które zostały im po pochodzie na stadion (poza tym wygwizdali też hymn Ligi Mistrzów). W skali całego meczu ich forma była jednak – jak na możliwości – dość przeciętna. Kilka hitowych przyśpiewek znakomicie poniosło się po stadionie, inne były męczzone zbyt długo i bez sami wiecie czego.

W drugiej połowie – kiedy stewardzi przestali sprawdzać bilety przed poszczególnymi sektorami – udało się przedostać na trybunę zlokalizowaną tuż nad sektorem gości, gdzie stacjonowała czterocyfrowa grupa kibiców Crveneje zvezdy, którzy nie załapali się na miejsce w „klatce”. Dzięki temu udało się znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego doping – pomimo wielu tysięcy gardeł – nie stał na najwyższym możliwym poziomie. Większość towarzystwa na tej trybunie była bowiem pijana w sztok. Mnóstwo zataczających się ludzi bez większego kontaktu – idących po kolejne piwa tylko po to, żeby zaraz je rozlać. W związku z tym można było nieźle obłować się na kaucjach z kubków, bo tam już niewielu Serbów miało pełny obraz sytuacji wokół.

Na szczęście właściwy sektor gości płynął z dopingiem bez przerwy i gdy Crvena zvezda złapała kontakt na 1:2, to na stadionie zrobiło się naprawdę głośno.

A hity takie, jak „Ajde, igraj i bori se” czy „I da mi ponude milione, bilione” na moment otrzeźwiły nawet tych najbardziej pijanych.

Ostatecznie spotkanie zakończyło się zupełnie zasłużonym zwycięstwem RB Lipsk 3:1, a piłkarzom z Belgradu pozostała walka z Young Boys Berno o 3. miejsce w grupie.

Wymownym (być może nawet najbardziej w perspektywie całego meczu) obrazkiem było to, że piłkarze Crveneje zvezdy spędzili więcej czasu pod sektorem gości (brawa, wspólne śpiewanie) niż zawodnicy RB Lipsk pod młynem swoich kibiców.





# Czy 70 km od polskiej granicy będzie wielka piłka?

Fot. Greifswalder FC



listopad

Tak, jak w filmie Vinci "Szerszeń" przytomnie stwierdził, że w Polsce jest tylko jeden obraz [Dama z Gronostajem autorstwa Leonarda da Vinci], tak nikt nie ma wątpliwości, że na futbolowej pustyni byłej NRD znanej jako land Meklemburgia-Pomorze Przednie jest tylko jeden klub piłkarski: Hansa Rostock. A cała reszta się nie liczy.

Niewykluczone, że ten funkcjonujący od ponad trzech dekad porządek zostanie naruszony. Tuż przy polskiej granicy coraz odważniej poczyną sobie projekt, który już w tym sezonie chce awansować do 3. Ligi.

To byłby pierwszy awans innego klubu z Meklemburgii-Pomorza Przedniego niż Hansa Rostock na szczybel centralny w historii zjednoczonych Niemiec.

Znakomita postawa Greifswaldera FC to największe zaskoczenie pierwszej części sezonu w północno-wschodniej, postnrdowskiej grupie 4. Ligi. Zespół, który w poprzednich rozgrywkach był beniaminkiem i prawie do końca musiał drzeć o utrzymanie, aktualnie jest sensacyjnym liderem tabeli. W 14. kolejkach ani razu nie zaznał smaku porażki! Ta seria to nie jest przypadek.

Zanim przejdziemy dalej trzeba przede wszystkim podkreślić fakt, że w tym sezonie rotacyjny system barałów nie dotyczy grupy północno-wschodniej. A to oznacza, że jej zwycięzca wywalczy bezpośredni awans do 3. Ligi. Jeszcze kilka miesięcy temu wydawało się więc, że kibiców we wschodnich Niemczech czeka pasjonująca walka postnrdowskich gigantów o upragnione opuszczenie Regionalligi i awans na szczebel centralny. Tymczasem na razie wszystko wskazuje na to, że wielkie marki może pogodzić mały klub z Greifswaldu.

Lokomotive Lipsk, Chemie Lipsk, Carl Zeiss Jena i Chemnitzer FC (nie wspominając już o spadkowiczu ze Zwickau) prezentują się koszmarnie i w zasadzie już mają po zabawie. W środku tabeli na dobre utknęło natomiast Rot-Weiss Erfurt.

Na razie kroku rewelacji z Greifswaldu są w stanie dotrzymać tylko BFC Dynamo, Energie Cottbus oraz – dość niespodziewanie – SV Babelsberg 03, który po cichu zaatakował z drugiego szeregu. Cała trójka stara się trzymać dystans do sensacyjnego lidera, ale po drodze solidarnie zalicza jakieś wpadki, natomiast Greifswald nieustannie pruje do przodu. W ostatniej kolejce rozbił Berlinera AK aż 5:0. A w międzyczasie zagrał już z trójką najgroźniejszych rywali u siebie i łączył przyzwoite pięć punktów.

Greifswald leży u bram Bałtyku. Nieopodal wysp Uznam i Rugia. Do Świnoujścia jest stąd 70 km. Do Szczecina trochę dalej, ale biorąc pod uwagę, że na upartego można jechać cały czas autostradą (na A20 przeważnie nie ma limitów prędkości), to – z perspektywy szczecinian – jest to w zasadzie taka sama wyprawa, jak na polskie wybrzeże.

Liczący ok. 60 tys. mieszkańców Greifswald – jak na warunki byłej NRD – jest miastem dość żywym. W dużej mierze z powodu miejscowego uniwersytetu, który zapewnia stały dopływ młodzieży, którą widać na ulicach. Na pierwszy rzut oka wydaje się zresztą, że symbioza żaków z tkanką miejską przebiega tutaj nieco lepiej niż np. na słynnej Viadrinie we Frankfurcie nad Odrą.

Greifswald wraz z bliźniaczym Stralsundem tworzy duocentryczny ośrodek – najważniejszy na północno-wschodnich rubieżach kraju. Stralsund jest ładniejszy (ma starówkę wpisaną na listę UNESCO), ale na korzyść Greifswaldu przemawia fakt, że w przeciwieństwie do swojego sąsiada – jako jedna z nielicznych miejscowości w tej części Europy – nie został zniszczony w trakcie wojny. Zaocznie skazany na karę śmierci za niewykonanie rozkazów komendant miasta Rudolf Petershagen dał się przekonać miejscowej inteligencji, żeby wyprzedzić kolejne kroki Armii Czerwonej i oddać miasto bez walki.

\*\*\*

Za czasów NRD w mieście funkcjonował klub BSG KKW Greifswald, który spędził aż 31 sezonów w DDR-Lidze, czyli na zapleczu najwyższej klasy rozgrywkowej. To daje wysokie, 9. miejsce w tabeli wszech czasów tych rozgrywek.

Za tajemniczym skrótem KWW kryje się słowo Kernkraftwerk, czyli elektrownia jądrowa w pobliskim Lubminie, która za czasów NRD sponsorowała sport w mieście. W latach 80-tych szefostwo elektrowni atomowej zamarzyło sobie, że w Greifswaldzie zrobi zespół na miarę DDR-Oberligi, czyli najwyższej klasy rozgrywkowej.

W tym celu nawiązano współpracę z Hansą Rostock i planowano przebudować miejscowy Volksstadion.

Niestety na realizację ambitnych planów zabrakło czasu. W międzyczasie NRD przeszła do historii, a skandynawscy sąsiedzi wymusili w 1990 r. zamknięcie elektrowni jądrowej. Szczególnie że specjaliści widzieli w niej sporo podobieństw do tej z Czarnobyla.

Elektrownia pozytywnie zapisała się jednak na kartach historii w trakcie śnieżnej katastrofy na przełomie 1978 i 1979 r., kiedy burze śnieżne i inne anomalie zupełnie sparaliżowały oraz odcięły od świata NRD. Elektrownia w Lubminie jako jedyna w kraju działała wtedy na pełnej mocy, a jej załoga – pracując nawet po 50 godzin bez przerwy – była transportowana do pracy... helikopterami (drogi i kolej nie funkcjonowały). Legendarny inżynier Manfred Haferburg zszedł ze zmiany dopiero po 70 godzinach i jest uważany za osobę dzięki której udało się utrzymać dostawy elektryczności w kraju. Co ciekawe później był szykanowany i represjonowany przez Stasi i inne służby, ponieważ nie chciał wstąpić do partii, był apolityczny i pozytywnie wypowiadał się o strajkach Solidarności w Polsce.

Greifswalder FC co prawda odwołuje się do historii z czasów NRD, ale tak naprawdę klub w obecnej formie powstał dopiero w 2015 r. w wyniku fuzji FC Pommern Greifswald z Greifswalderem SV. Generalnie historia futbolu w tym hanzeatyckim mieście po upadku NRD to przede wszystkim kolejne bankructwa i węgotacja w niskich ligach. W ten sposób już w 2004 r. w mieście rozsypany był ruch kibicowski, który nie akceptował kolejnych połączeń i przyłączeń.

Jedyne, co naprawdę się w tym mieście udało po 1990 r. stricte piłkarsko to... Toni Kroos, który urodził się w Greifswaldzie i wychowywał w miejscowym klubie. Do dzisiaj w Greifswalderze FC ważną postacią jest zresztą jego ojciec Roland, który pełnił już chyba wszystkie możliwe funkcje (poczynając od trenera).

GFC w 4. Lidze gra dopiero drugi sezon, tymczasem w klubie nie ukrywają, że ich kolejnym celem jest awans na szczebel centralny i zostanie drugą siłą piłkarską w Meklemburgii. Za wszystkim stoją pieniądze możnego sponsora Jonasa Holtza, dla którego projekt w Greifswaldzie nie jest tylko kaprysem bogacza, ponieważ to człowiek stąd – mocno zaangażowany w lokalne sprawy. Holtz chce zrobić w Greifswaldzie 3. Ligę oraz zbudować nowy stadion, ponieważ na aktualnym nie ma szans rozgrywać meczów na szczeblu centralnym (co stawia ciekawe pytania w przypadku ewentualnego awansu).

Kiedyś w GFC grało sporo Polaków (np. Sebastian Olszar czy Kamil Poźniak). Aktualnie w kadrze nie ma naszych rodaków, ale kibice mogą kojarzyć np. napastnika Soufiana Benyaminę, który przewinął się przez Pogoń Szczecin i omal nie stracił wzroku (odniósł poważną kontuzję głowy w jednym ze sparingów). Aktualnie ma na koncie 9 goli i jest najlepszym strzelcem w drużynie.

Jeśli GFC awansowałby do 3. Ligi, to tuż przy polskiej granicy (albo tam, gdzie zespół będzie rozgrywał mecze) będzie można zobaczyć takie marki, jak np. TSV 1860 Monachium, Erzgebirge Aue albo Arminia Bielefeld. A głód piłki w okolicy jest spory, bo frekwencja na niektórych meczach już przekracza 3 tys. widzów i będzie tylko rosta.



# Zasieki

gotowe do zamieszkania miasto w 1945 r.  
trafiło w polskie ręce, kilka lat później zostało  
rozebrane do ostatniej cegły



Ustanowienie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej w 1945 r. spowodowało, że kilka miast zostało podzielonych na pół, na dwa niezależnie od siebie byty. W dodatku funkcjonujące w dwóch różnych krajach i systemach walutowych.

\*\*\*

Zresztą w tym roku już sporo na ten temat napisałem.

Jest piękne Görlitz, w którym kręcono filmy reżyserowane przez Quentina Tarantino czy Wesa Andersona oraz mocno kontrastujący, nastroszony boczny Zgorzelec, który po wojnie wyrósł jako zaplecze mieszkaniowe dla pracowników kopalni węgla brunatnego „Turów”.

Frankfurt nad Odrą i Słubice, to natomiast – jak na warunki polsko-niemieckie – wzorowy przykład spajania tego, co kiedyś podzielono. Dzisiaj Słubfurt w wielu kwestiach znowu funkcjonuje jak jeden organizm, choć chichot losu polega na tym, że teraz to ogon kręci psem. Bo aktualnie transgraniczne życie tętni przede wszystkim w Słubicach, które przed wojną były suburbium Frankfurtu o nazwie Dammvorstadt.

Gubin i Guben cierpią natomiast solidarnie. Przed wojną mieszkało tutaj prawie 50 tys. ludzi i jeździły tramwaje. Teraz oba ośrodki pełnią marginalną rolę na zapomnianych krańcach swoich krajów. Gubin straszy ruinami nigdy nieodbudowanego kościoła farnego, Guben klasyczną dla byłej NRD pustką.

Bad Muskau i Łęknica to z kolei kontrasty. Z jednej strony dzielą między sobą przepiękny Park Mużakowski, o którym można pisać tylko w superlatywach.

Tym razem czas na historię, w której nie będzie szczęśliwego zakończenia.

Forst to miejscowość gdzieś mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Gubinem i Guben oraz Łęknica i Bad Muskau. Miasteczko jest położone niedaleko Cottbus oraz przy starcie niemieckiej autostrady A15, która w czasach, kiedy nie istniała jeszcze droga ekspresowa S3, stanowiła najszybszą trasę z południa na północny zachód Polski.

Od XIX wieku aż do upadku NRD Forst słynęło z przemysłu tekstylnego, dlatego mniej więcej od 1850 r. miasto określano mianem „niemieckiego Manchesteru”. Dzisiaj po tamtych czasach zostały tylko postindustrialna zabudowa i muzea. Teraz Forst ma nowy przydomek – „miast róż”. Wszystko za sprawą istniejącego od ponad stu lat ogrodu różanego, który jest uważany za jeden z najładniejszych parków w całych Niemczech.

Wracając jednak do czasów tekstylnego prosperity – na przełomie XIX i XX wieku liczba mieszkańców Forst rosła w zawrotnym tempie, więc miasto trzeba było rozbudować. Naturalnym krokiem było zagospodarowanie terenów na drugim brzegu Nysy.

W ten sposób na początku XX wieku powstała prawobrzeżna dzielnica Forst o nazwie Berge. Była to bardzo nowoczesna, niemal reprezentacyjna część miasta, która swoją przestrzenią mocno kontrastowała z położonym po drugiej stronie rzeki ciasnym i industrialnym centrum otulonym kominami kolejnych zakładów przemysłowych. Berge miało gwiazdasty układ ulic, szerokie aleje, duże place, parki oraz mnóstwo modernistycznych budynków zarówno użyteczności publicznej, jak i mieszkalnych.

Na swój sposób można by je porównać do polskiej Gdyni, którą również zbudowano od podstaw sto lat temu. W szczytowym momencie mogło mieszkać tutaj nawet 8–10 tys. osób z ponad 40 tys. mieszkańców całego Forst.

\*\*\*

Lubuskie to najbardziej zalesione województwo w Polsce. Lasy zajmują połowę jego powierzchni. Jest też – przynajmniej moim zdaniem – jednym z najmniej docenionych i odkrytych regionów w naszym kraju. Im jestem starszy, tym bardziej lubię je eksplorować.

Być może dlatego, że wraz z wiekiem wzrasta zapotrzebowanie na święty spokój, a Lubuskie to w większości zielone morze spokoju. Lasy, lasy, lasy. A gdzieś pomiędzy poniemieckie, nieco zapuszczone miasteczka oraz wioski.

To jest prawdziwy dziki zachód w polskiej wersji. A w klimat lubuskich lasów i tajemnic, które skrywają idealnie wpisuje się historia miejscowości Zasieki.

\*\*\*

Droga wojewódzka nr 289 w swojej końcowej fazie, przez kilkadziesiąt kilometrów, prowadzi praktycznie cały czas przez gęsty las. W pewnym momencie, zupełnie niespodziewanie, asfaltowa szosa zmienia się jednak w szeroką, brukowaną aleję wraz z poprowadzonymi po obu stronach chodnikami.

Arteria jest ewidentnie zaprojektowana w sposób charakterystyczny dla dużych miast, tymczasem cały czas znajdujemy się w lesie. Co jakiś czas widać też zarysy skrzyżowań.

Ale wszystkie odnogi głównej drogi albo z miejsca toną w gąszczu drzew, albo co najwyżej zmieniają się w nieutwardzone, leśne ścieżki.

Czy to jakaś architektoniczna fantasmagoria?

Nie.

Po prostu tylko tyle zostało z gwiazdzonego układu ulic w Berge, czyli prawobrzeżnej części miasta Forst, w której mieszkało nawet 10 tys. ludzi.

\*\*\*

Lewobrzeżna, stara część miasta Forst wiosną 1945 r. została zmasakrowana przez Armię Czerwoną, która na całej długości Odry oraz Nysy Łużyckiej prowadziła już szeroko zakrojoną operację berlińską, której efektem ubocznym było ścieranie z powierzchni ziemi praktycznie wszystkich miast w okolicy. Forst podzieliło więc los m. in. Kostrzyna, Frankfurtu nad Odrą, Gubina czy Schwedt.

W pierwszych latach po wojnie wydawało się, że lewobrzeżnej części Forst nie ma nawet sensu odbudowywać, bo w mieście nie został kamień na kamieniu. Zdecydowanie lepiej wyglądała natomiast prawobrzeżna dzielnica Berge, która w zasadzie w ogóle nie ucierpiała w trakcie działań wojennych.

Bo to stąd Armia Czerwona prowadziła działania mające na celu sforsować Nysę i przeprowadzić się na drugi brzeg. Z perspektywy Niemców nie było przecież sensu bronić Berge – lepiej do obrony wykorzystać rzekę, która jest naturalnym sprzymierzeńcem we wszelkich działaniach defensywnych.





W 1945 r. Nysa stała się rzeką graniczną, więc Berge znalazło się w polskich rękach. Wybrano burmistrza, a nazwę – posiłkując się językiem zamieszkujących te ziemie od wieków słowiańskich Łużyczan – zmieniono na Barść/Barszcz.

Miasto, jak na warunki tzw. ziem odzyskanych, znajdowało się w świetnym stanie. W większości budynków wystarczyło tylko wstawić okna i można było się wprowadzać.

Tak niewielki nakład pracy wystarczający do rozpoczęcia nowego życia wydawał się luksusem w porównaniu do wielu innych miejscowości regionu, które trzeba było podnosić z gruzów.

Zaraz po wojnie wydawało się więc, że po polskiej stronie będzie stało całkiem ładne, nowoczesne miasteczko, natomiast po starym Forst, już na terenie NRD, pozostaną tylko wspomnienia i kilka cegieł.

Dość szybko nastąpił jednak zwrot akcji o 180 stopni, a historia po raz kolejny zachichotała sobie z tych wszystkich, którym wydawało się, że istnieje tylko jeden możliwy wariant przyszłości.

Bo dzisiaj niemieckie Forst ma się całkiem dobrze. Po wojnie, wbrew pierwotnym planom, władze NRD zdecydowały się w zasadzie od zera odbudować miasto, a potem znowu rozkręciły tutaj przemysł tekstylny. Już w latach 50-tych Forst miało 30 tys. mieszkańców (dzisiaj niecałe 20 tys.).

A Berge, które wojnę zakończyło co najwyżej lekko drażnione zostało na zawsze wymazane z map i atlasów...

\*\*\*

Już w 1946 r. zmieniono tymczasową nazwę miejscowości z Barść/Barszcz na Zasięki. Podobno dlatego, że urzędnicy, którzy przyjechali tutaj z wizytacją byli zaszokowani skalą umocnień w okolicy.

Zasięki – pomimo wysokiej jakości infrastruktury mieszkalnej – finalnie nie okazały się jednak łatwym miejscem do życia. Po pierwsze dlatego, że odcięto im głowę w postaci centralnej części Forst, co bardzo szybko znalazło bolesne odzwierciedlenie w najbardziej trywialnych kwestiach. W mieście nie działała kanalizacja, bo główny kolektor przechodził pod Nysą do oczyszczalni ścieków w Forst. A o transgranicznej współpracy nie było wtedy mowy.

Sporo trudności nastroczało zresztą samo mieszkanie w strefie przygranicznej, gdzie karty rozdawały Wojska Ochrony Pogranicza. W okolicy było mnóstwo niewybuchów, kręciły się bandy szabrowników, a poza tym panowało ogólne przeświadczenie, że koniec końców te tereny i tak wrócą pod niemiecką jurysdykcję.

Zgodnie z uchwałami podjętymi na początku lat 50-tych tzw. ziemie odzyskane miały więc posłużyć jako źródło cegieł przeznaczonych przede wszystkim na odbudowę Warszawy.

I właśnie w ten sposób cieszące się małym zainteresowaniem repatriantów Zasięki, czyli dawne Forst-Berge przeszły do historii.

W zasadzie każdy budynek został rozebrany na cegły, które wywieziono w głąb Polski. Przez wiele lat istniało przeświadczenie, że Zasięki w całości „pojechały” do Warszawy.



Ale Gazeta Lubuska dotarła do dokumentów, które świadczą o tym, że pozyskany stąd materiał budowlany wykorzystywano przede wszystkim w Wielkopolsce, a najdalej dotarł do Łowicza. Trzeba przyznać, że była to robota bardzo profesjonalna, ponieważ dzisiaj po mieście w zasadzie nie ma już żadnych śladów.



Po moście zostały przęsła, a w pobliżu stoją dwie betonowe latarnie i dolna część pomnika-fontanny tkacza (symbol dawnego, tekstylnego Forst). Poza tym na terenie Zasiiek można natknąć się jeszcze na pojedyncze, przedwojenne słupy elektryczne, czy betonowe fragmenty ogrodzeń domów rozrzucone po lasach.

Bo na przykład na kostrzyńskiej starówce uchowały się dolne części poszczególnych kamienic: piwnice i fundamenty, natomiast Zasiieki zamieniły się w najprawdopodobniej najlepiej skanalizowany las w Europie. Aż szkoda, że nie można, niczym w kultowej grze SimCity 2000 podczas układania rur, podejrzeć co jest pod powierzchnią. Warto jednak zerknąć na google maps, gdzie widok z satelity ładnie pokazuje nam ślady dawnego miasta. Stara, gęsta knieja nagle zamienia się w przerzedzony laszek poprzecinany prostymi drózkami.

Kilka śladów po Berge można znaleźć w okolicach dawnego Mostu Długiego, który przed wojną łączył oba brzegi Nysy.

Nowe, polskie Zasiieki to natomiast osiedle kilkunastu domków jednorodzinnych oraz krajobraz typowy dla pogranicza, czyli stacje benzynowe i jakieś punkty usługowe z fajkami oraz alkoholem. Jest tego jednak niewiele i w porównaniu np. z Łęknicą nie trąci to trzecim światem.





# CZYTAJ WIĘCEJ:



**@MATKASPRZYK**



**@JAVOLIMFUDBAL.POLAND**



**PRZEWODNIKPONRD.BLOG**



MATEUSZ  
KASPRZYK  
2023